

I
To dopiero nazywam zimnem! — Lukę Sky-walker przerwał ciszę, której przestrzegał od opuszczenia nowej bazy Rebeliantów kilka godzin wcześniej. Dosiadał tautauna, jedynej poza nim żywej istoty w zasięgu wzroku. Czuł się zmęczony i samotny, więc dźwięk własnego głosu zaskoczył go.

Wraz z innymi uczestnikami rebelianckiego Przymierza kolejno badali białe pustkowia Hoth, zbierając informacje o swym nowym domu. Wszyscy wracali do bazy z mieszanymi uczuciami ulgi i osamotnienia. Nic nie przeczyło ich wcześniejszym odkryciom, że na tej zimnej planecie nie istnieją żadne inteligentne formy życia. Podczas swych długich samotnych wypraw Lukę widział jedynie jałowe białe równiny i łańcuchy niebieskawych gór, które zdawały się znikać we mgłach odległych horyzontów.

Młody mężczyzna uśmiechnął się pod podobną do maski szarą chustą, która chroniła go przed zimnymi wiatrami Hoth. Patrząc na lodową pustynię przez gogle, głębiej nacisnął na głowę obszyty futrem kaptur.

Uśmiechnął się kącikiem ust, próbując wyobrazić sobie oficjalnych badaczy w służbie rządu Imperium. „Galaktyka jest usiana osadami kolonistów, których niewiele obchodzi sprawy Imperium czy jego opozycji — Przymierza — pomyślał. — Lecz szalony musiałby być osadnik, który rościłby sobie prawa do Hoth. Ta planeta nie ma nic do zaoferowania nikomu — oprócz n a s”.

Przymierze ponad miesiąc temu założyło na tym lodowym świecie wysuniętą placówkę. Lukę był dobrze znany w bazie i choć miał zaledwie dwadzieścia trzy lata, inni Rebelianci zwracali się do niego per komandor Skywalker. Ten tytuł wprawiał go w lekkie zakłopotanie. Tym niemniej jego pozycja upoważniała go do wydawania rozkazów zespołowi wytrawnych żołnierzy. Wiele przeżył i bardzo się zmienił. Jemu samemu trudno było uwierzyć, że jeszcze trzy lata temu był naiwnym chłopcem z farmy na swym rodzinnym Tatooine.

Młody komandor przynaglił tauntauna do szybszego biegu.

— No, dalej, mały — zachęcił go.

Szare ciało jaszczura śnieżnego było pokryte gęstym futrem chroniącym go przed zimnem. Galopował na muskularnych tylnych nogach, których palce podobne do palców trydaktyla zakończone były wielkimi zakrzywionymi szponami wzbijającymi ogromne fontanny śniegu. Głowa tauntauna podobna do głowy lamy wyciągnęła się w przód, a jego ruchliwy ogon rozwinął się za nim, kiedy zwierzę wbiegało po oblodzonym stoku. Obracał z boku na bok rogatą głowę, jakby bodąc wiatr, który atakował jego kudłaty pysk.

Lukę marzył o zakończeniu swej misji. Czuł, że mimo grubo watanego ubrania używanego przez Rebeliantów,

jest niemal zamrożony, ale wiedział, że jest tu z własnego wyboru; zgłosił się na ochotnika do przeczesywania pól lodowych w poszukiwaniu innych form życia. Wzdrygnął się patrząc na długi cień, jaki on i zwierzę rzucali na śnieg. „Wiatr się wzmacnia — pomyślał. — A te mroźne wiatry po zapadnięciu nocy przynoszą na równiny temperatury nie do zniesienia”. Kusilo go, by wrócić do bazy trochę wcześniej, ale wiedział, jak ważne jest ustalenie z całą pewnością, że Rebelianci byli sami na Hoth.

Tauntaun gwałtownie skręcił w prawo, niemal zrzucając Luke'a. Chłopak ciągle jeszcze przyzwyczajał się do jazdy na tych nieobliczalnych stworzeniach.

— Nie chciałem cię urazić — rzekł do swego wierzchowca — ale znacznie swobodniej czuję się w kabinie mojego starego, godnego zaufania śmi-gacza.

Jednak dla wykonywanego zadania tauntaun — mimo swoich wad — był najbardziej sprawnym i praktycznym środkiem transportu dostępnym na Hoth.

Kiedy zwierzę osiągnęło szczyt kolejnego lodowego wzniesienia, jeździec zatrzymał je. Zdjął przyciemnione gogle i przez parę chwil mrużył oczy, aby przyzwyczać się do oślepiającego blasku śniegu.

Nagle jego uwagę zwróciło pojawienie się na niebie pędzącego obiektu, który, opadając ku zamglonemu horyzontowi, zostawiał za sobą smugę dymu. Błyskawicznym ruchem dłoni w rękawicy sięgnął do pasa i chwycił elektrolornetkę. Poczłł chłód niepokoju walczący o lepsze z zimnem atmosfery Hoth. To, co widział, mogło być dziełem człowieka, może nawet czymś wysłanym przez Imperium. Młody komandor śledził ognisty tor lotu obiektu i z napięciem patrzył, jak bolid spada na biały grunt i ginie w blasku własnego wybuchu.

Tauntaun zadrżał na odgłos eksplozji. Wydał pełen przerażenia pomruk i zaczął nerwowo drzeć szponami śnieg. Luke poklepał zwierzę po głowie, próbując je uspokoić. Z trudem słyszał własny głos wśród wycia wiatru.

— Spokojnie, mały, to tylko meteor — krzyknął. Zwierzę uspokoiło się i Luke podniósł do ust komunikator.

— Echo Trzy do Echa Siedem. Hań, stary, słyszysz mnie?

Z odbiornika dobiegały trzaski, a potem przez zakłócenia przedarł się znajomy głos:

— To ty, mały? O co chodzi?

Głos był nieco dojrzały i jakby ostrzejszy od głosu Luke'a. Przez chwilę młody mężczyzna wspominał ciepło pierwsze spotkanie z koreliańskim kosmicznym przemysłowcem w ciemnym, pełnym obcych, szynku w porcie kosmicznym na Tatooine. Teraz Hań był jego jedynym przyjacielem, który nie należał oficjalnie do Rebelii.

— Zamknąłem swoje koło i nie wykryłem żadnym sygnałów życia — powiedział do transmitera, mocno przyciskając usta do nadajnika.

— Tym, co żyje na tej kostce lodu, nie wypełniłbyś nawet krążownika — odpowiedział Hań, z trudem przekrzykując

gwizd wiatru. — Ustawiłem już swoje czujniki. Kieruję się do bazy.

— Zobaczymy się niedługo — odparł Lukę. Ciągłe miał na oku falujący słup dymu wznoszący się z odległego ciemnego punktu. — Niedaleko stąd właśnie spadł meteoryt i chcę go sprawdzić. Nie potrwa to długo.

Wyłączył transmiter i skupił uwagę na tauntaunie. Gad przestępował z nogi na nogę. Z głębi gardła wydał ryk sygnalizujący być może strach.

— Stóóój, mały! — rzekł, poklepując go po głowie. — O co chodzi... Czujesz coś? Nic tu nie ma.

Lecz także zaczął odczuwać niepokój, po raz pierwszy od wyruszenia z ukrytej bazy Rebeliantów. Jeśli wiedział cokolwiek o tych jaszczurach śnieżnych, to to, że miały wyostrzone zmysły. Niewątpliwie zwierzę usiłowało powiedzieć Lukę'owi, że coś, jakieś niebezpieczeństwo, czai się w pobliżu.

Nie tracąc ani chwili odczepił od pasa mały przedmiot i ustawił jego miniaturowe potencjometry. Urządzenie było wystarczająco czule, aby wychwycić nawet najśłabsze sygnały życia przez wykrywanie temperatury ciała i wewnętrznych układów organizmu. Lecz kiedy zaczął odczytywać wskazania, zdał sobie sprawę, że nie było potrzeby — ani czasu — tego robić.

Dobre półtora metra nad nim przesunął się jakiś cień. Lukę błyskawicznie odwrócił się i nagle wydało mu się, że ożył sam grunt. Rzuciła się na niego gwałtownie wielka góra pokryta białym futrem, doskonale zamaskowana na tle nieregularnie rozsianych pagórków śniegu.

— O, cholera!

Ręczny miotacz Lukę'a nie zdążył opuścić kabury. Wielka łapa lodowego stworzenia, wampy, uderzyła go mocno w twarz, zrzucając z tauntauna w zmrożony śnieg. Przytomność stracił szybko, tak szybko, że nawet nie usłyszał żalosnych wrzasków zwierzęcia ani gwałtownej ciszy, jaka nastąpiła po trzasku łamanego karku. I nie poczuł, jak wielka, włochata istota, która go zaatakowała, chwyciła go brutalnie za kostkę i powlokła, jak pozbawioną życia kukłę, przez pokrytą śniegiem równinę.

Z zagłębienia w gruncie na stoku wzgórze, gdzie spadł obiekt latający, ciągle unosił się czarny dym. Jego ciemne kłęby, rozpędzane nad równinami przez lodowate wiatry Hoth, znacznie przerzedziły się od czasu, kiedy urządzenie spadło na ziemię i utworzyło dymiący krater.

W kraterze coś się poruszyło.

Najpierw dało się słyszeć tylko buczenie, mechaniczne, coraz intensywniejsze, jakby walczące o lepsze z wyjąłym wiatrem.

Potem przedmiot poruszył się. -Błyszczał w jasnym świetle popołudnia, powoli wynurzając się z krateru.

Zdawało się, że obiekt jest jakąś formą życia organicznego posiadającą podobną do czaszki głowę. Liczne pęcherzykowate oczy o ciemnych soczewkach

patrzyły na zimne puste przestrzenie. Lecz w miarę wznoszenia się z krateru kształt obiektu zaczął wskazywać, że jest to jakaś maszyna o dużym cylindrycznym korpusie połączonym z kulistą głową i wyposażonym w kamery, czujniki i metalowe wysięgniki, z których kilka kończyło się chwytakami podobnymi do kleszczy kraba.

Urządzenie zawisło nad dymiącym kraterem i wysunęło wysięgniki w różnych kierunkach. Następnie wewnątrz jego mechanizmów włączył się sygnał i maszyna popłynęła ponad lodową równinę.

Ciemny robot sondujący zniknął wkrótce za odległym horyzontem.

Inny jeździec, okutany w zimowy ubiór i siedzący na plamistoszarym tauntaunie, pędził przez zbocza Hoth w kierunku bazy operacyjnej Rebelii.

Oczy mężczyzny patrzyły obojętnie na matowe szare kopuły, niezliczone wieże strzelnicze i ogromne generatory mocy, które były jedynym świadectwem cywilizowanego życia na tym świecie. Hań Solo stopniowo zwalniał bieg swego jaszczura śnieżnego, ściągając wodze tak, że do ogromnej jaskini lodowej stworzenie wbiegło kłusem.

Hań z przyjemnością powitał względne ciepło wielkiego zespołu jaskiń, ogrzewanych przez urządzenia czerpiące moc z ogromnych generatorów na zewnątrz. Tę podziemną bazę stanowiły zarówno naturalna jaskinia lodowa, jak i plątanina kanciastych białych tuneli wytopionych rebelianckimi laserami w górze litego lodu. Korelianin był już w bardziej opuszczonych dziurach w Galaktyce, ale w tej chwili nie potrafił przypomnieć sobie, gdzie.

Zsiadł z tauntauna i rozejrzył się, obserwując ruch panujący wewnątrz gigantycznej groty. Gdziekolwiek spojrzał, widział przenoszone, montowane lub naprawiane przedmioty. Rebelianci w szarych mundurach z pośpiechem wyładowywali zaopatrzenie i dopasowywali sprzęt. Były tam też roboty, głównie jednostki R2 i roboty pomocnicze, które wydawały się wszechobecne, tocząc się lub chodząc lodowymi korytarzami, sprawnie wykonując swe niezliczone zadania.

Hań zaczął zastanawiać się, czy nie mięknie z czasem. Na początku nie miał ani osobistego interesu, ani nie czuł lojalności dla tej całej Rebelii. Jego ostateczne zaangażowanie w konflikt między Imperium a Przymierzem zaczęło się jako zwykła transakcja, sprzedaż jego usług oraz prawa do wykorzystania jego statku, „Sokoła Millenium”. Zadanie wydawało się dość proste: zawieźć Bena Kenobiego, młodego Luke'a i dwa roboty do systemu Alderaan. Skąd miał wtedy wiedzieć, że będą od niego wymagać uratowania księżniczki ze wzbudzającej największy strach stacji bojowej Imperium, Gwiazdy Śmierci?

Księżniczka Leia Organa...

Im więcej Solo o niej myślał, tym bardziej zdawał sobie sprawę, w jakie wdepnął kłopoty, przyjmując pieniądze Bena Kenobiego. Początkowo chciał tylko odebrać zapłatę i

prysnąć, żeby spłacić kilka paskudnych długów, które wisiały mu nad głową jak meteor gotów spaść w każdej chwili. Nigdy nie zamierzał zostać bohaterem.

A jednak coś go tu trzymało. Przyłączył się do Luke'a i jego szalonych rebelianckich przyjaciół, kiedy przypuścili legendarny już atak na Gwiazdę Śmierci. Coś. Na razie Hań sam nie potrafił zdecydować się co to było.

Teraz, długo po zniszczeniu Gwiazdy Śmierci, ciągle był z Rebeliantami, pomagając w zakładaniu tej bazy na Hoth, prawdopodobnie najbardziej ponurej ze wszystkich planet w Galaktyce. Ale powiedział sobie, że wszystko to szybko się zmieni. Jeśli o niego chodziło, to Hań Solo i Rebelianci właśnie mieli odpalić w rozbieżnych kierunkach.

Przeszedł szybko przez podziemny pokład hangaru, gdzie dokowało kilka rebelianckich myśliwców. Kręcili się przy nich ubrani na szaro ludzie w asyście robotów różnych kształtów. Najbardziej interesował Koreliani-na frachtowiec w kształcie spodka spoczywający na świeżo zainstalowanych ładownikach. Ten statek, największy w hangarze, zarobił kilka nowych wgnieceń w metalowym poszyciu od czasu, kiedy Hań po raz pierwszy skumał się ze Skywalkerem i Kenobim. Jednak „Sokół Millenium” był słynny nie ze względu na wygląd, ale na szybkość: ten frachtowiec ciągle był najszybszym statkiem, jaki kiedykolwiek zrobił skok na Kes-sel lub prześcignął imperialny myśliwiec typu TIE.

Znaczną część sukcesów „Sokoła” można było przypisać jego konserwacji, powierzonej w tej chwili włochatym rękóm dwumetrowej góry brązowego futra, której twarz była właśnie ukryta pod maską do spawania.

Chewbacca, ogromny Wookie i drugi pilot „Sokoła”, naprawiał centralny podnośnik statku, kiedy zauważył nadchodzącego Solo. Przerwał pracę i podniósł maskę, odsłaniając swe pokryte futrem oblicze. Z jego pełnego zębów pyska dał się słyszeć ryk, który potrafiło zrozumieć tylko niewielu nie-Wookiech we wszechświecie.

Hań Solo był jednym z tych niewielu.

— Zimno to nie jest właściwe słowo, Chewie — odparł Korelianiec. — Wolę porządną walkę, obojętnie kiedy, od całego tego chowania się i zamarzania!

Zauważył smużki dymu unoszące się z nowo zespanej kawałka metalu.

— Jak ci idzie z tymi podnośnikami? Chewie odpowiedział typowym dla Wookiech pomrukiem.

— Świetnie — powiedział Hań, w pełni zgadzając się z jego pragnieniem powrotu w przestrzeń, na jakąś inną planetę — gdziekolwiek, byle nie na Hoth. Pójdę się zameldować. Potem ci pomogę. Jak tylko zamontujemy te podnośniki, wynosimy się stąd.

Wookiee szczechnął radośnie i wrócił do pracy, a Solo poszedł w głąb jaskini lodowej.

Centrum dowodzenia pełne było sztucznego życia sprzętu elektronicznego i urządzeń kontrolnych sięgających do lodowego sklepienia. Tak jak hangar, centrum roilo się

od Rebeliantów. Pomieszczenie pełne było kontrolerów, żołnierzy, techników oraz robotów przeróżnych typów i rozmiarów. Wszyscy byli zajęci przekształcaniem pomieszczenia w sprawny ośrodek mający zastąpić bazę na Yavin.

Mężczyzna, do którego przyszedł Hań Solo, całą uwagę skupiał na ekranie komputera, wielkiej konsoli, na której jasno błyskały kolorowe odczyty. Rie-ekan, ubrany w mundur generała Rebelii, wyprostował swą wysoką postać na widok przybyłego.

— Generale, na tym terenie nie ma śladu życia — zameldował Hań. — Ale wszystkie wyznaczniki obszaru są ustawione, więc będzie pan wiedział, kiedy ktoś przyjdzie z wizytą.

Jak zwykle generał Rieekan nie zareagował uśmiechem na błazenadę Solo. Podziwiał młodego mężczyznę za to, że jakby nieoficjalnie przyłączył się do Rebelii. Jego zalety wywarły takie wrażenie na Rie-ekanie, że często zastanawiał się, czyby nie nadać mu honorowego stopnia oficerskiego.

— Czy komandor Skywalker już się zameldował? — zapytał generał.

— Sprawdza meteoryt, który spadł blisko niego — odpowiedział Hań. — Wróci niedługo.

Rieekan zerknął na nowo zainstalowany ekran radaru i przyjrzał się migającym obrazom.

— Trudno będzie dojrzeć zbliżające się statki przy całej tej aktywności meteorów w tutejszym systemie.

— Generale, ja... — Hań zawahał się. — Myślę, że czas, żebym się stąd ruszył.

Zbliżająca się postać odciągnęła jego uwagę od generała Rieekana. Jej chód był pełen wdzięku i zarazem stanowczości, a delikatne rysy młodej kobiety jakoś nie pasowały do białego munduru bojowego. Nawet z tej odległości widział, że księżniczka Leia jest zaniepokojona.

— Jesteś dobry w walce — zauważył generał, dodając: — Nie chciałbym cię stracić.

— Dziękuję, generale. Wyznaczono jednak nagrodę za moją głowę i jeśli nie spłacę długu Hutowi Jabbie, to jestem chodzącym trupem.

— Niełatwo żyć ze znamieniem śmierci — zaczął oficer, ale Hań odwrócił się do księżniczki Lei. Solo nie był sentymentalny, ale zdawał sobie sprawę, że w tej chwili jest poruszony.

— To chyba już, Wasza Wysokość... — przerwał nie wiedząc, jakiej spodziewać się odpowiedzi od księżniczki.

— Doskonale — zimno odparła Leia. Jej nagła wyniosłość szybko przekształciła się w szczery gniew.

Mężczyzna potrząsnął głową. Dawno temu powiedział sobie, że stworzenia płci żeńskiej — ssaki, płazy czy jakies jeszcze nie odkryte klasy biologiczne — są poza jego miernymi zdolnościami pojmowania. Często sobie mawiał, że lepiej byłoby, gdyby zostały dla niego tajemnicą. Lecz w końcu uwierzył na chwilę, że w całym kosmosie jest przynajmniej jedna osoba płci

żeńskej, którą naprawdę zaczynał rozumieć. A jednak w przeszłości zdarzało mu się mylić.

— No — powiedział. — Nie rozklejaj się tak. Na razie, księżniczko.

Odwracając się do niej gwałtownie plecami, wszedł do cichego korytarza łączącego się z centrum dowodzenia. Szedł w kierunku pokładu hangarowego, gdzie czekali na niego ogromny Wookie i przemytniczy frachtowiec, dwie rzeczywistości, które rozumiał. Nie miał zamiaru zatrzymywać się.

— Hań! — Leia biegła za nim, lekko zadyszana.

Zatrzymał się i obojętnie odwrócił do niej.

— Tak, Wasza Wysokość?

— Myślałam, że postanowiłeś zostać. Wydawało się, że w głosie Lei brzmiała prawdziwa troska, ale nie był tego pewien.

— Ten łowca nagród, na którego wpadliśmy na Ord Mantell, zmienił moją decyzję.

— Czy Lukę wie? — zapytała.

— Dowie się, jak wróci — odburknął Hań. Oczy księżniczki zwężyły się. Obrzuciła go spojrzeniem, które dobrze znał. Przez chwilę czuł się jak jeden z sopli na powierzchni planety.

— Nie częstuj mnie tym swoim spojrzeniem — powiedział ostro. — Z każdym dniem szuka mnie coraz więcej łapaczy. Zamierzam spłacić Jabbę, zanim wyśle więcej swoich zdalnych morderców, Ganków, i kto wie, kogo jeszcze. Muszę zdjąć tę nagrodę z mojej głowy, póki jeszcze ją mam.

Jego słowa wyraźnie podziały na Leię i Hań widział, że zaniepokoiła się o niego, a może nawet poczuła coś więcej.

— Ale ciągle jesteś nam potrzebny — rzekła.

— Nam? — zapytał.

— Tak.

— A co powiesz o sobie? — starannie podkreślił ostatnie słowo, ale tak naprawdę nie wiedział, dlaczego. Może było to coś, co chciał powiedzieć od pewnego czasu, ale brakowało mu odwagi — nie, poprawił się, głupoty — aby wyjawic swe uczucia. W tym momencie wydawało się, że niewiele ma do stracenia i był gotów na jakąkolwiek odpowiedź.

— O mnie? — zapytała wprost. — Nie wiem, o co ci chodzi.

Hań Solo z niedowierzaniem ponownie potrząsnął głową.

— Nie, prawdopodobnie nie wiesz.

— A co dokładnie mam wiedzieć? — znowu w jej głosie narastał gniew, prawdopodobnie Dlatego, pomyślał, że w końcu zaczynała rozumieć.

Uśmiechnął się.

— Chcesz, żebym został, z powodu tego, co do mnie czujesz. Księżniczka znowu zmiękła.

— No, tak, bardzo... — rzekła i przerwała na chwilę — nam pomogłeś. Jesteś urodzonym przywódcą... Nie dał jej skończyć, przerywając w środku zdania.

— Nie, Wasza Miłość. To nie o to chodzi. Nagle Leia popatrzyła Hanowi prosto w twarz oczyma, które wyrażały w końcu pełne zrozumienie. Wybuchnęła śmiechem.

— Masz bujną wyobraźnię.

— Naprawdę? Myślę, że bałaś się, że odejdę nawet bez...

— skoncentrował wzrok na jej wargach — ...pocałunku.

Zaczęła się śmiać jeszcze bardziej.

— Wolałabym raczej pocałować Wookiego.

— Mogę ci to załatwić. — Zbliżył się do niej, a ona wyglądała promiennie nawet w zimnym świetle lodowego pomieszczenia. — Wierz mi, przydałby ci się dobry pocałunek. Jesteś tak zajęta wydawaniem rozkazów, że zapomniałaś, jak być kobietą. Gdybyś na chwilę popuściła, mógłbym ci pomóc. Ale już za późno, kwiatuszku. Twoja wielka szansa odlatuje.

— Sądzę, że przeżyję — powiedziała, wyraźnie rozdrażniona.

— Życzę powodzenia!

— Nawet cię nie obchodzi, czy... Wiedział, co chciała powiedzieć i nie dał jej dokończyć.

— Zaoszczędź mi tego, proszę! — przerwał. — Nie mów mi znowu o Rebelii. Mówisz tylko o niej. Jesteś tak zimna jak ta planeta.

— A ty myślisz, że jesteś tym, który może dać nieco gorąca?

— Jasne, gdybym był zainteresowany. Ale nie sądzę, żeby sprawiło mi to wielką przyjemność — mówiąc to Han cofnął się i znowu na nią spojrzał, chłodno ją oceniając. — Jeszcze się spotkamy — rzekł. — Może do tego czasu trochę się rozgrzejesz.

Wyraz jej twarzy znowu się zmienił. Solo widział morderców o przyjemniejszym spojrzeniu.

— Masz wszelkie maniery banthy, ale nie taką klasę. Baw się dobrze w podróży, pistolecie!

Księżniczka Leia szybko odwróciła się i pospieszyła korytarzem.



Temperatura na powierzchni Hoth opadła. Jednak mimo lodowatego powietrza imperialny robot sondujący leniwie płynął nad omiatanymi śniegiem polami i wzgórzami, wyciągając czujniki we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu sygnałów życia.

Czujniki termiczne robota nagle ożyły. Znalazł w pobliżu źródło ciepła, a ciepło było dobrym wskaźnikiem życia. Głowa przekręciła się na swej osi, a wrażliwe, podobne oczom, pęcherze zarejestrowały kierunek, w którym znajdowało się źródło ciepła. Robot sondujący automatycznie zmienił prędkość i ruszył nad lodowymi polami z maksymalną szybkością.

Podobna do owada maszyna zwolniła dopiero wtedy, gdy zbliżała się do pagórka śniegu większego od siebie. Jej

detektory zarejestrowały jego rozmiary — prawie 1,8 m wysokości i całe 6 m długości. Lecz wielkość pagórka miała znaczenie drugorzędne. Naprawdę zdumiewająca, jeśli urządzenie zwiadowcze w ogóle mogło być zdumione, była ilość ciepła promieniująca spod wzniesienia. Istota schowana pod nim z pewnością była świetnie zabezpieczona przed zimnem.

Z jednego z wysięgników robota wystrzelił cienki niebieskobiały promień światła wwiercając się swym skoncentrowanym gorącem w biały pagórek i rozrzucając we wszystkich kierunkach błyszczące płatki śniegu.

Pagórek zaczął drżeć, a potem gwałtownie dygotać. Cokolwiek pod nim się znajdowało, było głęboko zirytowane sondującym promieniem laserowym robota. Śnieg wielkimi płatami zaczął się zsuwać z tego czegoś, a w jednym końcu w masie bieli pokazało się dwoje oczu. Wielkie żółte jak bliźniacze punkciki ognia patrzyły na mechaniczną istotę, która ciągle jeszcze strzelała w najlepsze bolesnymi promieniami. Płonęły pierwotną nienawiścią do tego, co przerwało jego drzemkę.

Pagórek zatrzęsł się znowu z rykiem, który omal nie zniszczył czujników słuchowych robota sondującego. Automat odjechał parę metrów w tył powiększając odległość między sobą a istotą. Robot nigdy przedtem nie spotkał się z lodowym stworzeniem wampa; jego komputery poradziły mu postąpić ze zwierzęciem szybko i sprawnie.

Maszyna dokonała wewnętrznej regulacji mocy swego promienia laserowego, który w chwilę później osiągnął maksymalną koncentrację. Wycelowała laser w stworzenie, ogarniając je wielką chmurą promieni i dymu. W sekundę później nieliczne cząstki pozostałe z wampy zostały rozniesione lodowatymi wiatrami.

Dym rozwiął się, nie zostawiając żadnego fizycznego dowodu — poza dużym zagłębieniem w śniegu — na to, że lodowe stworzenie kiedykolwiek znajdowało się w pobliżu.

Lecz jego istnienie zostało zapisane w pamięci robota sondującego, który ponownie ruszył ze swą zaprogramowaną misją.

Ryki innego lodowego stworzenia wampy w końcu obudziły poturbowanego młodego komandora Rebelii.

Głowa Luke'a wirowała, bolała, a może, o ile mógł stwierdzić, pękała. Z trudem zogniskował wzrok i doszedł do wniosku, że znajduje się w lodowym wąwozie, którego ściany odbijają światło zapadającego zmroku.

Nagle zdał sobie sprawę, że wisi głową w dół, ze związanymi rękoma i czubkami palców oddalonymi o jakieś trzydzieści centymetrów od zaśnieżonego podłoża. Kostki miał odrętwiałe. Wyciągnął szyję i zobaczył, że stopy ma zamrożone w lodzie zwisającym ze sklepienia i że na jego nogach formują się lodowe stalaktyty. Czuł zamarznąłą maskę własnej krwi zaskorupiałą na twarzy w miejscu, gdzie paskudnie rozcięło ją stworzenie.

Znowu usłyszał zwierzęce porykiwania, głośniejsze teraz, kiedy rozbrzmiewały w głębokim i wąskim przejściu wśród lodu. Ryki potwora były ogłuszające. Zastanawiał się, co zabije go najpierw, zimno, czy kły i pazury tego, co zamieszkiwało wąwóz.

— Muszę się uwolnić — pomyślał — wyrwać się z tego lodu.

Siły nie powróciły mu jeszcze w pełni, ale zaciskając zęby podciągnął się i sięgnął do krępujących go więzów. Jeszcze zbyt słaby, Lukę nie mógł skruszyć lodu i wrócił do poprzedniej pozycji. Biała podłoga popędziła mu na spotkanie.

— Odpręż się — powiedział do siebie. — Odpręż się. Lodowe ściany zatrzeszczały od coraz głośniejszych ryków zbliżającego się stworzenia. Jego kroki skrzypiały na zamrożonym gruncie, zbliżając się przerażająco. Nie potrwa długo, zanim włochaty biały potwór wróci i prawdopodobnie ogrzeje zmarzniętego młodego wojownika w ciemności swego żołądka.

Lukę obiegł spojrzeniem wąwóz, lokalizując w końcu stertę sprzętu, który zabrał ze sobą, leżącą teraz w beużytecznej beładnej kupce na ziemi, o prawie cały nieosiągalny metr poza zasięgiem jego ręki. A było tam urządzenie, które całkowicie pochłonęło jego uwagę — gruba rękojeść z parą przycisków zakończona metalowym dyskiem. Przedmiot ten należał niegdyś do jego ojca, byłego Rycerza Jedi, którego zdradził i zamordował młody Darth Vader. Lecz teraz był własnością młodego komandora. Dał mu go Ben Kenobi, aby dzierżył go z honorem przeciw tyranii Imperium.

Lukę w rozpaczy spróbował skrócić swe obolałe ciało na tyle, aby dosięgnąć porzuconego miecza świetlnego. Lecz lodowate zimno zwołniało jego reakcje i osłabiło go. Zaczął poddawać się swemu losowi, kiedy usłyszał, jak warcząc nadchodzi lodowe stworzenie — wampa. Resztki nadziei prawie go opuściły, kiedy wyczuł tę obecność.

Ale to nie obecność białego olbrzyma zdominowała wąwóz. Była to raczej ta uspokajająca duchowa obecność, która czasami nawiedzała Luke'a w chwilach napięcia lub niebezpieczeństwa. Obecność, która po raz pierwszy objawiła mu się po tym, jak stary Ben, raz jeszcze w swej roli Jedi Obi-wana Kenobiego, zniknął w kupce własnych ciemnych szat ścięty mieczem świetlnym Dartha Vadera. Obecność, która była czasami jak znajomy głos, prawie milczący szept, który przemawiał prosto do jego umysłu.

— Lukę. — Szept pojawił się znowu, natarczywie. — Pomyśl o mieczu świetlnym w twojej dłoni.

Słowa sprawiły, że już boląca głowa mężczyzny zaczęła pulsować. Potem poczuł nagły przyływ sił, poczucie pewności siebie, które zachęcało go do kontynuowania walki mimo pozornie beznadziejnej sytuacji. Skupił wzrok na mieczu świetlnym. Wyciągnął obolałą rękę, zacisnął powieki w skupieniu. Jednak broń ciągle była poza jego zasięgiem.

Wiedział, że miecz będzie wymagał czegoś więcej niż tylko starań o osiągnięcie go.

— Muszę odprężyć się — powiedział sobie. — Odprężyć... — Zawirowało mu w głowie, kiedy usłyszał słowa swego bezcielesnego opiekuna.

— Pozwól płynąć Mocy, Luke.

Moc!

Ujrzał wyłaniający się z ciemności podobny do goryla odwrócony wizerunek wampy, którego uniesione ramiona kończyły się ogromnymi błyszczącymi szponami. Po raz pierwszy widział jego małpi pysk i zadrżał na widok baranich rogów bestii i drgającej dolnej szczęki z wystającymi kłami.

Lecz wtedy wojownik wyrzucił stworzenie ze swoich myśli. Przestał starać się dosięgnąć broni; jego ciało odprężyło się i zwiotczało, umożliwiając jego duchowi otwarcie się na wskazówki nauczyciela. Już czuł, jak przepływa przez niego to pole energetyczne wytwarzane przez wszystkie żywe istoty, które zespala sam wszechświat.

Tak jak nauczył go Kenobi, moc wypełniła Luke'a, by stać się posłuszną jego woli.

Lodowe stworzenie, wampa, rozcapierzyło swe czarne, zakrzywione szpony i postąpiło ciężko w kierunku wiszącego młodzieńca. Nagle miecz świetlny, jakby za sprawą czarów, skoczył do ręki Luke'a. Ten błyskawicznie wcisnął barwny guzik na broni wyzwalając podobny do klingi promień, który szybko przeciął jego lodowe więzy.

Kiedy spadł na ziemię z bronią w ręku, monstrualny kształt górujący nad nim zrobił ostrożny krok w tył. Mrugał paciorkowatymi oczyma koloru siarki, patrząc z niedowierzaniem na brzęczący promień światła, który przedstawiał widok niezrozumiały dla jego prymitywnego umysłu.

Luke, chociaż trudno było mu się poruszać, skoczył na równe nogi i zamachnął się mieczem na śnieżnobiałą masę mięśni i futra, zmuszając ją do cofnięcia się o krok, dwa. Opuszczając miecz, przeciął skórę potwora świetlnym ostrzem. Ściany wąwozu zadrżały od strasznego ryku bólu lodowego stworzenia. Odwróciło się i pospiesznie wygramoliło z wąwozu. Jego biały tułów zlał się z odległym terenem.

Niebo było już wyraźnie ciemniejsze, a z atakującą ciemnością nadeszły zimniejsze wiatry. Moc była z Luke'em, ale nawet ta tajemnicza siła nie mogła go teraz ogrzać. Każdy krok, jaki potykając się robił wychodząc z wąwozu, był trudniejszy niż poprzedni. W końcu pociemniało mu w oczach, potknął się, zjechał po zboczu i stracił przytomność zanim jeszcze dotarł do dna.

W podpowierzchniowym głównym doku hangarowym Chewie przygotowywał „Sokoła Millenium” do startu. Odrzuwając wzrok od roboty ujrzał dość dziwną parę, która właśnie wyłoniła się zza pobliskiego zakrętu i wmieszała się w zwykłą krzątanicę Rebelian-tów w hangarze.

Żadna z tych postaci nie była ludzka, choć jedna z nich miała kształt humanoidalny i sprawiała wrażenie człowieka

w złocistej zbroi. Jego ruchy były dokładne, prawie zbyt dokładne, aby były ludzkie, kiedy ze szczękiem szedł sztywno korytarzem. Jego towarzysz nie potrzebował do przemieszczania się ludzkich nóg, ponieważ całkiem dobrze radził sobie tocząc swój niższy, beczkowaty korpus na miniaturowych kołach.

Niższy z dwu robotów wydawał z siebie pełne podniecenia piski i gwizdy.

— To nie moja wina, ty rozregulowana puszeko po konserwach — oświadczył wysoki, człekopodobny robot wymachując metaliczną ręką. — Nie prosiłem, żebyś włączył grzejnik termiczny. Wyraziłem jedynie opinię, że w jej pomieszczeniu jest lodowato. Ale tam ma być lodowato. Jak teraz wysuszymy wszystkie jej rzeczy?... A! Jesteśmy na miejscu.

Če Trzypeo, złocisty android o ludzkich kształtach, zatrzymał się, aby zogniskować czujniki optyczne na dekującym „Sokole Millennium”.

Drugi robot, Erdwa Dedwa, wciągnął koła i przednią nogę i oparł swój pękaty, metaliczny kadłub na ziemi. Czujniki mniejszego robota zlokalizowały znajome postacie Hana Solo i jego towarzysza, Wookiego, zajętych wymianą centralnych podnośników frachtowca.

— Panie Solo, sir — zawołał Trzypeo, jedyny z dwójki robotów wyposażony w imitację ludzkiego głosu. — Czy mógłbym zamienić z panem słowo?

Hań nie miał specjalnie nastroju do odrywania się od pracy, a szczególnie z powodu tego wybrednego androida.

— O co chodzi?

— Pani Leia próbuje skontaktować się z panem przez komunikator — poinformował go Trzypeo. — Musi być zepsuta.

Lecz Hań wiedział, że tak nie było.

— Wyłączyłem go — powiedział ostro, nie przerywając pracy przy statku. — Czego Jej Królewska Świątobliwość sobie życzy?

Czujniki słuchowe Trzypeo wykryły pogardę w głosie mężczyzny, ale nie zrozumiały jej. Robot dodał, naśladowując ludzką gestykulację;

— Szuka pana Luke'a i przyjęła, że jest tutaj z panem, Zdaje się, że nikt nie wie...

— Lukę jeszcze nie wrócił? — Korelianin natychmiast zaniepokoił się. Widział, że niebo nad wejściem do lodowej jaskini znacznie pociemniało od czasu, kiedy wraz z Chewbaccą zaczęli naprawiać „Sokoła Millennium”. Wiedział, jak bardzo opadała temperatura na powierzchni po zapadnięciu nocy i jak zabójcze potrafiły być wiatry.

W mgnieniu oka zeskoczył z podnośnika „Sokoła”, nie obejrzawszy się nawet na Wookiego.

— Zanituj to, Chewie. Oficer dyżurny! — wrzasnął, a potem przytknął do ust transponder i spytał:

— Straż Bezpieczeństwa, czy komandor Skywalker już się zameldował?

Negatywna odpowiedź wywołała grymas na jego twarzy.

Sierżant dyżurny wraz z adiutantem podbiegli do Solo.

— Czy komandor Skywalker już wrócił? — zapytał Hań z napięciem w głosie.

— Nie widziałem go — odparł sierżant. — Możliwe, że wszedł południowym wejściem.

— Proszę to sprawdzić! — polecił ostro, choć oficjalnie nie był upoważniony do wydawania rozkazów. — To pilne.

Kiedy sierżant wraz z adiutantem odwrócili się i popędzili korytarzem, mały robot wydał zaniepokojony wznoszący się pytająco gwizd.

— Nie wiem, Erdwa — odpowiedział sztywno Trzypeo, zwracając głowę i tors w kierunku Hana. — Sir, czy mógłbym spytać, co się dzieje?

Pilot odburknął robotowi gniewnie:

— Idź i powiedz swojej księżniczce, że jeśli Lukę nie pojawi się szybko, to znaczy, że nie żyje.

Erdwa zaczął gwizdać histerycznie na ponurą wypowiedź Solo, a jego przerażony złocisty towarzysz wykrzyknął:

— Och, nie!

Kiedy Hań Solo wpadł do głównego tunelu, znalazł się w centrum krzątaniny. Ujrzał paru żołnierzy Rebelii ze wszystkich sił powstrzymujących próbującego się im wyrwać nerwowego tauntauna.

Z drugiego końca wpadł do korytarza oficer dyżurny, szukając wzrokiem Solo.

— Sir — rzekł gorączkowo — komandor Skywalker nie wszedł południowym wejściem. Mógł zapomnieć zameldować się.

— Niemożliwe — warknął Korelianin. — Czy śmigacze są gotowe?

— Jeszcze nie — odparł oficer — Przystosowanie ich do zimna okazuje się trudne. Może do rana...

Hań przerwał mu. Nie było czasu do stracenia na maszyny, które i tak prawdopodobnie zepsułyby się.

— Będziemy musieli wziąć tauntauny. Biorę sektor czwarty.

— Temperatura spada zbyt gwałtownie.

— Pewnie — burknął Solo — a Lukę jest na zewnątrz.

Drugi oficer zgłosił się na ochotnika.

— Ja wezmę sektor dwunasty. Niech kontrola ustawi sektor alfa.

Ale Hań wiedział, że nie ma czasu na uruchamianie przez kontrolę ekranów obserwacyjnych, nie, kiedy Lukę prawdopodobnie umierał gdzieś na bezludnych równinach tam w górze. Przepchnął się przez tłum żołnierzy Rebelii i chwycił wodze jednego z ujeżdżonych tauntaunów wskakując mu na grzbiet.

— Nocne burze zaczną się, zanim którykolwiek z was dotrze do pierwszego czujnika — ostrzegł oficer dyżurny.

— No to zobaczymy się w piekle — mruknął Hań, kierując wierzchowca na zewnątrz jaskini.

Padął gęsty śnieg, kiedy Solo pędził na tauntaunie przez pustynię. Zbliżała się noc i wiatr wściekle wył, przebijając

jego grube ubranie. Wiedział, że jeśli nie znajdzie młodego wojownika szybko, będzie dla niego równie bezużyteczny jak lodowy sopel.

Tauntaun odczuwał już skutki spadku temperatury. Nawet warstwy izolującego tłuszczu i zbitego szarego futra nie chroniły go przed żywiołami po zapadnięciu nocy. Zwierzę już sapało, oddychając z coraz większym trudem.

Jeździec modlił się, aby śnieżny jaszczur nie padł przynajmniej zanim nie odnajdzie Luke'a.

Ostrzej popędził swego wierzchowca, zmuszając go do biegu przez lodowe równiny.

Poprzez śnieg poruszał się jeszcze jeden kształt. Jego metalowy korpus unosił się nad zamrożonym podłożem.

Imperialny robot sondujący zatrzymał się nagle, na moment obracając czujnikami we wszystkich kierunkach.

Następnie, zadowolony z odczytów, robot łagodnie opuścił się na ziemię. Kilka sond przypominających nogi pająka oddzieliło się od metalowego kadłuba, rozgarniając leżący śnieg.

Coś zaczęło materializować się wokół niego, pulsujący blask, który stopniowo przykrył maszynę jakby przezroczystą kopułą. Pole siłowe szybko zestaliło się, nie dopuszczając śniegu omiatającego kadłub robota do jego powierzchni.

Po chwili blask zniknął, a pędzony wiatrem śnieg szybko uformował doskonałą kopułę bieli, całkowicie przesłaniając robota i chroniące go pole siłowe.

Tauntaun pędził z największą szybkością, z pewnością zbyt wielką, biorąc pod uwagę odległość, jaką przebył i trudne do zniesienia mroźne powietrze. Już nie spał, zaczął żałośnie stękać, a jego chód był coraz bardziej niepewny. Hanowi było przykro z powodu bólu tauntauna, ale w tej chwili życie zwierzęcia było mniej ważne niż życie jego przyjaciela.

Jeźdźcowi coraz trudniej było cokolwiek dostrzec przez gęstniejący śnieg. Zdesperowany, szukał jakiejś zmiany w wiecznych równinach, jakiegoś odległego punktu, który mógłby być Luke'em. Lecz nie było widać nic prócz ciemniejących połaci śniegu i lodu.

A jednak było coś słyhać.

Ściągnął wodze, gwałtownie zatrzymując tauntauna. Solo nie był pewny, ale wydawało mu się, że słyszy coś jeszcze oprócz wycia wichru wokół siebie. Usiłował coś zobaczyć, skąd dochodził dźwięk.

A potem przynaglił wierzchowca, zmuszając go do galopu przez omiatane śniegiem pole.

Lukę mógł być martwy i stać się pożywieniem padlinożerców przed powrotem świtu. Jednak jakimś cudem ciągle był żywy i walczył o utrzymanie tego stanu mimo gwałtownych ataków nocnych burz. Z bólem wydostał się ze śniegu tylko po to, aby lodowata wichura wbiła go weń z

powrotem. Kiedy padał, zastanowił się nad ironią tego wszystkiego — chłopiec z farmy na Tatooine dojrzewający do walki z Gwiazdą Śmierci, teraz ginący samotnie na zamrażającym obcym pustkowiu.

Wyczołganie się na pół metra wyczerpało resztki jego sił, zanim w końcu runął w ciągle rosnące zaspy.

— Nie mogę... — rzekł, choć nikt nie mógł go usłyszeć. Ale ktoś, choć niewidoczny, usłyszał go jednak.

— Musisz. — Słowa wirowały w mózgu Luke'a. — Spójrz na mnie!

Nie mógł zignorować tego polecenia; siła tych cicho wypowiedzianych słów była zbyt wielka.

Z ogromnym wysiłkiem uniósł głowę i ujrzał coś, co wziął za halucynację. Przed nim, najwyraźniej nieczuły na zimno i ciągle odziany tylko w zniszczone szaty, które nosił na gorącej pustyni Tatooine, stał Ben Kenobi.

Lukę chciał do niego zawołać, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

Zjawa przemówiła z tą samą łagodną powagą, jakiej Ben zawsze używał względem młodzieńca.

— Musisz przeżyć, Lukę.

Młody komandor odnalazł siły, aby ponownie poruszyć ustami.

— Zimno mi... Tak zimno...

— Musisz udać się do systemu Dagobah — pouczyła widmowa postać Bena Kenobiego. — Będziesz uczył się u Yody, Mistrza Jedi, który był i moim nauczycielem.

Lukę słuchał, potem wyciągnął rękę do niesamowitej postaci.

— Ben... Ben... — jęknął.

Postać stała nieporuszona wysiłkami Luke'a.

— Lukę — przemówiła znowu — jesteś naszą jedyną nadzieją.

Naszą jedyną nadzieją.

Młody mężczyzna był zdezorientowany. Lecz zanim zdołał zebrać siły, aby poprosić o wyjaśnienie, postać zaczęła rozpyływać się. A kiedy ostatni ślad zjawy zniknął mu z oczu, Luke'owi wydało się, że widzi zbliżającego się tauntauna z człowiekiem na grzbiecie. Jaszczur śnieżny poruszał się chwiejnym krokiem. Jeździec był jeszcze za daleko, a burza uniemożliwiła rozpoznanie.

W rozpaczy młody komandor zawołał: „Ben!” zanim znowu pogrążył się w nieświadomości.

Tauntaun ledwie mógł ustać na nogach, kiedy Solo zatrzymał go i zsiadł.

Hań patrzył z przerażeniem na pokryty śniegiem, prawie zamrożony kształt leżący jak nieżywy u jego stóp.

— No, chłopie — powiedział do nieruchomej postaci, natychmiast zapominając o tym, że sam prawie zamarł — jeszcze nie jesteś martwy. Daj mi jakiś znak.

Ale nie potrafił wykryć żadnej oznaki życia i zauważył, że twarz przyjaciela, prawie przykryta śniegiem, jest wściekle poszarpana. Potarł ją ostrożnie, unikając dotknięcia zasychających ran.

— Nie rób tego, Lukę. Jeszcze nie czas na ciebie.
Wreszcie słaba reakcja. Cichy jęk, ledwo słyszalny ponad wyciem wiatru, wystarczył do rozgrzania jego własnego dygocącego ciała. Hań uśmiechnął się z ulgą.

— Wiedziałem, że nie zostawisz mnie tutaj samego!
Musimy się stąd wydostać.

Wiedząc, że ratunek Luke'a — i jego własny — leżał w szybkości tauntauna, ruszył do zwierzęcia, niosąc bezwładnego młodego wojownika na rękach. Lecz zanim zdołał ułożyć go na grzbiecie stworzenia, jaszczur śnieżny wydał pełen bólu ryk, a potem zwałił się na śnieg jak sterta szarych kłaków. Hań położył towarzysza i podbiegł do leżącego zwierzęcia, które wydało ostatni głos, nie ryk czy wycie, ale słabe chrap-nięcie i zamilkło.

Solo zaczął szukać odrętwiałymi palcami choć najsłabszego śladu życia.

— Bardziej martwy niż księżyc Trytona — rzekł wiedząc, że Lukę nie słyszy ani słowa. — Nie mamy dużo czasu...

Opierając nieruchome ciało przyjaciela o brzuch nieżywego jaszczura, przystąpił do pracy. Przez chwilę pomyślał, że takie użycie ulubionej broni Rycerza Jedi mogło być czymś w rodzaju świętokradztwa, ale właśnie teraz miecz świetlny był najbardziej efektywnym i precyzyjnym narzędziem do rozcięcia grubej skóry tauntauna.

Z początku broń dziwnie leżała mu w ręku, ale za chwilę rozciął kadłub zwierzęcia od kudłatej głowy do pokrytych łuskami tylnych łap. Skrzywił się od wstrętnego zapachu, buchającego z parującego brzucha. Niewiele pamiętał rzeczy, które śmierdziałyby jak wnętrzności jaszczura śnieżnego. Nie zastanawiając się odrzucił oślisze trzewia w śnieg.

Kiedy trup zwierzęcia był już zupełnie wypatroszony, Solo wepchnął przyjaciela do środka ciepłej, pokrytej futrem skóry.

— Wiem, że nie pachnie tu ładnie, ale ochroni cię przed zamrożeniem. Jestem pewien, że ten tauntaun nie zawahałby się, gdyby był na naszym miejscu.

Z wypatroszonego ciała jaszczura śnieżnego wydobyła się nowa fala smrodu.

— Fu! — Hań omal nie zwymiotował. — Właściwie to dobrze, że urwał ci się film, bracie.

Nie zostało wiele czasu do zrobienia tego, co należało zrobić. Lodowatymi rękami Solo przerzucał zawartość pakunku z zaopatrzeniem przymocowanego na grzbiecie wierzchowca, aż wśród rzeczy wydawanych Rebeliantom znalazł pojemnik z namiotem.

Zanim go rozpakował, powiedział do transmitera:

— Baza Echo, słyszycie mnie? Żadnej odpowiedzi.

— Ten transmitter jest bezużyteczny!

Niebo pociemniało złowrogo i wiatr dał gwałtownie, co prawie uniemożliwiało nawet oddychanie. Z trudem otworzył pojemnik i z wysiłkiem zaczął ustawiać jedyny element rebelianckiego wyposażenia, który mógł dać schronienie im obu — choćby na krótki czas.

— Jeśli nie postawię tego namiotu szybko — mruknął do siebie — Jabba nie będzie potrzebował łowców nagród.



Erdwa Dedwa stał przed samym wejściem do ukrytego lodowego hangaru Rebeliantów, przy-prószony warstwą śniegu osiadłego na jego korpusie w kształcie korka. Jego wewnętrzne mechanizmy czasowe wiedziały, że czekał tu już długo, a jego czujniki optyczne powiedziały mu, że niebo jest ciemne.

Ale jednostkę R2 interesowały tylko jej wbudowane czujniki sondujące, które ciągle wysyłały sygnały poprzez pola lodowe. Jego długie i uporczywe poszukiwania czujnikami Luke'a Skywalkera i Hana Solo niczego nie dały.

Krępy robot zaczął gwizdać nerwowo, kiedy podszedł do niego Trzypeo sztywno brodząc w śniegu.

— Erdwa — rzekł złocisty robot, przechylając w stawach biodrowych górną część korpusu — już nic więcej nie możesz zrobić. Musisz wejść do środka. — Złocisty android wyprostował się na całą wysokość, symulując ludzki dreszcz. Wiatr z wyciem omiatał jego błyszczący kadłub. — Erdwa, przeguby mi zamarzają. Czy mógłbyś się pospieszyć? — Trzypeo, zanim skończył zdanie, już spieszył z powrotem do wejścia do hangaru.

Niebo Hoth było już wtedy całkowicie czarne, a zmartwiona księżniczka Leia Organa czuwając, stała w wejściu do rebelianckiej bazy. Drżała na nocnym wietrze, próbując przebić wzrokiem ciemność. Czekwała obok głęboko zaniepokojonego Derlina, ale myślą błędziła gdzieś po lodowych polach.

Ogromny Wookiee siedział w pobliżu. Kiedy oba roboty weszły do hangaru, szybko podniósł grzywias-tą głowę znad owłosionych rąk.

Trzypeo był po ludzku roztrzęsiony.

— Erdwa nie odebrał żadnych sygnałów — zameldował nerwowo — choć uważa, że jego zasięg jest zbyt ograniczony, aby sprawić, żebyśmy porzucili nadzieję.

Jednak w sztucznym głosie androida dało się wykryć bardzo mało pewności.

Leia skinęła wyższemu robotowi głową na znak, że przyjęła wiadomość, ale nic nie powiedziała. Myśli miała zajęte parą zaginionych bohaterów. Najbardziej niepokojące dla niej było to, że skoncentrowała się na jednym z nich: ciemnowłosym Korelianinie, którego słowa nie zawsze należało brać dosłownie.

Kiedy księżniczka stała na straży, Derlin odwrócił się, aby przyjąć meldunek od porucznika.

— Wszystkie patrole z wyjątkiem Solo i Skywalkera powróciły, sir. Major obejrzał się na księżniczkę.

— Wasza Wysokość — rzekł głosem ciężkim z żalu — dziś już nic więcej nie da się zrobić. Temperatura spada szybko. Trzeba zamknąć wrota. Przykro mi.

— Odczekał chwilę, potem zwrócił się do porucznika:

— Zamknąć wrota.

Oficer odwrócił się, aby wykonać rozkaz i temperatura w lodowym pomieszczeniu zdawała się opadać jeszcze niżej, kiedy Wookiee zawył żałośnie z rozpacz.

— Śmigacze powinny być gotowe rano — powiedział major do Lei. — Ułatwią poszukiwanie.

Właściwie nie oczekując twierdzącej odpowiedzi zapytała:

— Czy jest jakaś szansa, że przeżyją do rana?

— Słaba — odparł z ponurą szczerością. — Ale owszem, szansa istnieje.

W odpowiedzi na słowa majora Erdwa uruchomił w swym beczkowatym kadłubie miniaturowe komputery. Żonglerka licznymi zbiorami matematycznych obliczeń i uwieńczenie wyliczeń serią tryumfalnych gwizdów zajęło mu tylko parę chwil.

— Psze pani — przetłumaczył Trzypeo — Erdwa mówi, że prawdopodobieństwo przeżycia wynosi jeden do siedmiuset dwudziestu pięciu. — A pochylając się w kierunku niższego robota, android protokolarny mruknął:

— Nie sądzę, aby w tej chwili ta informacja była nam potrzebna.

Nikt nie zareagował na to tłumaczenie. Przez kilka długich chwil panowała uroczysta cisza, zakłócana jedynie wibrującym łoskotem metalu uderzającego o metal: ogromne wrota rebelianckiej bazy zostały zamknięte na noc. Tak jakby jakieś bezduszne bóstwo oficjalnie odcięło grupę od dwóch mężczyzn na lodowych równinach i oznajmiło ich śmierć metalicznym hukiem.

Chewbacca jeszcze raz zawył rozdzierająco. W myśli Lei wkradła się cicha modlitwa, często odmawiana na byłym świecie zwanym Alderaan.

Słońce wspinające się nad pomocny horyzont Hoth było stosunkowo przyćmione, ale jego blask wystarczał, aby nieco ogrzać lodową powierzchnię planety. Światło sunęło po falujących wzniesieniach śniegu, z trudem wciskało się w ciemniejsze wgłębienia lodowego wąwozu i w końcu spoczęło na czymś, co musiało być jedynym doskonałym białym pagórkiem na całym świecie.

Był on tak doskonały, że musiał zawdzięczać swe istnienie jakiejś innej sile niż Natura. Nagle, w miarę jak niebo stawało się coraz jaśniejsze, pagórek zaczął buczeć. Ktokolwiek by go obserwował, byłby zaskoczony tym, co zobaczył. Wydawało się, że śnieżna kopuła rozrywa się w wielkim wybuchu wysyłając w niebo pokrywającą ją warstwę śniegu. Bucząca maszyna zaczęła wciągać wysuwane czujniki, a jej kadłub uniósł się powoli z zamrożonego białego legowiska.

Robot sondujący zatrzymał się na krótko w powietrzu, a potem ruszył dalej przez pokryte śniegiem równiny z poranną misją.

Co jeszcze wtargnęło w poranne powietrze lodowego świata — stosunkowo mały tęponosy statek o ciemnych oknach kabiny i działkach laserowych po obu burtach.

Rebeliancki śmigacz śnieżny był grubo opancerzony i przeznaczony do walki nad powierzchnią planety. Lecz tego ranka odbywał lot zwiadowczy, pędząc nad rozległym białym krajobrazem i wznosząc się nad konturami zasp.

Choć był zaprojektowany dla dwuosobowej załogi, Zev był na statku sam. Ogarniał spojrzeniem panoramiczny odczyt posępnych połączeń pod nim i modlił się o znalezienie obiektów poszukiwań zanim oślepnie od blasku śniegu.

Nagle usłyszał słaby wysoki przerywany sygnał.

— Baza Echo — krzyknął radośnie do kabinowego transmitera. — Mam coś! Niewiele, ale mógłby to być jakiś sygnał życia. Sektor 4-6-1 na 8-8-2. Podchodzę bliżej.

Gorączkowo manipulując sterami statku, Zev zmniejszył lekko jego szybkość i przechylił go nad zaspą. Z przyjemnością powitał przeciążenie dociskające go do fotela i skierował śmigacz w kierunku słabego sygnału.

Kiedy biały bezkres Hoth pędził pod nim, rebeliancki pilot przełączył transponder na inną częstotliwość.

— Echo Trzy, tu Łobuz Dwa. Czy mnie słyszysz? Komandorze Skywalker, tu Łobuz Dwa.

Jedyną odpowiedzią, jaką odebrał, były trzaski zakłóceń.

Ale potem usłyszał głos, bardzo daleki głos przedzierający się przez trzaski.

— Miło, że wpadliście, chłopaki. Mam nadzieję, że nie wyrwaliście was z łóżka zbyt wcześnie.

Zev z radością powitał charakterystyczny sarkazm w głosie Hana Solo. Przełączył nadajnik z powrotem na ukrytą bazę Rebeliantów.

— Baza Echo, tu Łobuz Dwa — zameldował nagle podniesionym głosem. — Znalazłem ich. Powtarzam...

Jednocześnie pilot włączył precyzer sygnałów mrużących na ekranach monitorów w kabinie. Następnie jeszcze bardziej zredukował prędkość statku, opuszczając go na tyle nisko, że mógł lepiej widzieć mały obiekt kontrastujący z puszystymi równinami.

Obiekt, przenośny namiot wchodzący w skład wyposażenia Rebeliantów, tkwił na szczycie zasy. Po nawietrznej leżała ubita warstwa śniegu. A o górną część zasy była niepewnie oparta prowizoryczna antena radiowa.

Lecz o wiele miłszym widokiem niż wszystko to, była znajoma postać ludzka, stojąca przed śnieżnym schroniskiem i gorączkowo wymachująca rękami.

Kiedy Zev przechylił statek do lądowania, odczuł wszechogarniającą wdzięczność, że choć jeden z wojowników, których miał odnaleźć, jeszcze żyje.

Jedynie grube okno ze szkła dzieliło poturbowanego, prawie zamrożonego Luke'a Skywalkera od czwórki obserwujących go przyjaciół.

Hań Solo, który doceniał względne ciepło panujące w centrum medycznym Rebeliantów, stał obok Lei, swego drugiego pilota Wookiego, Erdwa Dedwa i Če Trzypeo. Odetchnął z ulgą. Wiedział, że mimo ponurej

atmosfery w pomieszczeniu młody komandor był wreszcie poza zasięgiem niebezpieczeństwa i w najlepszych mechanicznych rękach.

Ubrany jedynie w białe spodenki, unosił się w pozycji pionowej wewnątrz przezroczystego walca. Nos i usta przykrywała mu maska oddechowa połączona z mikrofonem. Robot medyczny, chirurg 2-1B, zajmował się młodzieńcem z wprawą najlepszych humanoï-dalnych lekarzy. Pomagał mu asystent medyczny, robot FX-7, który wyglądał jak przykryty metalowym kołpakiem zestaw walców, kabli i wysięgników. Robot medyczny z wdziękiem nacisnął guzik, co spowodowało zalanie jego ludzkiego pacjenta czerwonym galaretowatym płynem. Hań wiedział, że bacta czyni cuda, nawet z pacjentami w tak opłakanym stanie, jak jego przyjaciel.

Kiedy bąbelkujący śluz oblepiał mu ciało, Lukę zaczął szamotać się i bredzić w malignie.

— Uważajcie... — jęknął — ... stworzenie śnieżne. Niebezpieczne... Yoda... udaj się do Yody... tylko on...

Hań nie miał zielonego pojęcia, o czym majaczył jego przyjaciel. Chewbacca także zmieszany paplaniną młodzieńca, wyraził swe zdumienie pytającym szczeknięciem.

— Ja też nic z tego nie rozumiem — odparł Hań. Trzypeo wtrącił się:

— Żywię nadzieję, że jest cały, jeśli państwo mnie rozumieją. Byłoby niezwykle niepożądane, gdyby pan Lukę złapał krótkie spięcie.

— Mały wpadł na coś — zauważył trzeźwo Solo — i nie był to tylko mróz...

— To te stworzenia, o których ciągle mówi — rzekła Leia patrząc na ponurego Korelianina. — Podwoiliśmy środki bezpieczeństwa. Hań — zaczęła, próbując mu podziękować — nie wiem, jak...

— Nie ma o czym mówić — powiedział szorstko. Teraz obchodził go tylko przyjaciel w czerwonym płynie bacta.

Ciało Luke'a nurzało się w kolorowej substancji, której lecznicze właściwości już dawały rezultaty. Przez chwilę wydawało się, że próbował opierać się dobroczynnemu przepływowi przezroczystej mazi. W końcu przestał mamrotać i odprężył się, poddając się władzy bacty.

2-1B odwrócił się od człowieka powierzonego jego opiece. Przekrzywił głowę kształtu czaszki, aby spojrzeć przez okno na Solo i resztę.

— Komandor Skywalker był w stanie uśpienia, lecz dobrze reaguje na bactę — obwieścił robot rozkazującym, autorytatywnym głosem, który było wyraźnie słyhać przez szkło. — Niebezpieczeństwo minęło.

Te słowa natychmiast zlikwidowały napięcie, w jakim znajdowała się grupka po drugiej stronie okna. Leia odetchnęła z ulgą, a Chewbacca wykrzyknął swoją aprobatę dla zabiegów 2-1B.

Lukę nie potrafił określić, jak długo był nieprzytomny. Teraz jednak w pełni kontrolował umysł i zmysły. Siedział w

łóżku w centrum medycznym Rebelii. Co za ulga — pomyślał — znowu oddychać prawdziwym powietrzem, obojętnie jak zimnym.

Robot medyczny zdejmował opatrunek ochronny z jego gojącej się twarzy. Odsłonięte mu oczy i zaczął rozpoznawać czyjaś twarz. Postać uśmiechniętej księżniczki Lei stojącej przy łóżku nabierała stopniowo ostrości. Z wdziękiem przybliżyła się i delikatnie odgarnęła mu włosy z oczu.

— Bacta świetnie rosną — rzekła spojrzawszy na jego gojące się rany. — Blizny powinny zniknąć w ciągu jednego dnia. Czy ciągle boli?

Z drugiej strony pokoju z hukiem otworzyły się drzwi. Erdwa wydał powitalny radosny pisk tocząc się przez pomieszczenie, a Trzypeo z głośnym brzękiem podszedł do jego łóżka.

— Panie Lukę, jak to dobrze widzieć pana znów funkcjonującego.

— Dzięki, Trzypeo.

Uszczęśliwiony Erdwa wydał serię pisków i gwizdów.

— Erdwa także daje wyraz swej uldze — usłużnie przetłumaczył android.

Lukę z pewnością był wdzięczny robotom za troskę. Lecz zanim zdołał któremuś z nich odpowiedzieć, spotkał się z kolejną przeszkodą.

— Cześć, mały — przywitał go hałaśliwie Hań Solo wpadając z Chewbacca do centrum medycznego. Wookie wymruczał przyjacielskie powitanie.

— Wyglądasz na tyle zdrowo, że mógłbyś rozłożyć na obie łopatki gundarka — zauważył Korelianin.

Młody mężczyzna rzeczywiście czuł się silny i był wdzięczny przyjacielowi.

— Dzięki tobie.

Hań obdarzył księżniczkę szerokim, szatańskim uśmiechem. — No i co, Wasza Miłość — rzekł kpiąco — wygląda na to, że udało ci się zatrzymać mnie w pobliżu jeszcze jakiś czas.

— Nie miałam z tym nic wspólnego — odrzekła Leia z ogniem, oburzona jego próżnością. — Generał Rie-ekan uważa, że opuszczenie systemu przez jakikolwiek statek do czasu uruchomienia generatorów jest niebezpieczne.

— To dobra bajeczka. Ale ja uważam, że po prostu nie zniosłabyś mojej nieobecności.

— Nie wiem, skąd bierzesz te urojenia, laserowy mózdzku — odcięła się.

Chewbacca, ubawiony tą słowną utarczką dwu najsilniejszych z ludzkich osobowości, z jakimi kiedykolwiek się spotkał, zaśmiał się grzmiącym śmiechem Wookiego.

— Śmiej się, śmiej, purchawo — powiedział Hań do brotliwie. — Nie widziałeś nas samych w południowym przejściu.

Aż do tej chwili Lukę prawie nie słuchał tej ożywionej wymiany. Ci dwoje sprzeczali się wystarczająco często już przedtem. Lecz ta wzmianka o południowym przejściu

wzbudziła jego ciekawość. Spojrzał na Leię spodziewając się wyjaśnienia.

— Wyraziła swe prawdziwe uczucie do mnie — ciągnął Hań, uradowany różanym rumieńcem, jaki pojawił się na policzkach księżniczki. — No, Wasza Wysokość, już zapomniałaś.

— Och, ty podły, zarozumiały, zapyziały półgłów-kowaty nerfopasie — wypaliła w furii.

— Kto jest zapyziały? — uśmiechnął się. — Coś ci powiem, kwiatuszku, musiałem blisko trafić, skoro tak się rzucasz. Nie wydaje ci się, Luke?

— Tak — rzekł, patrząc na księżniczkę z niedowierzaniem. — Tak jakby.

Leia spojrzała na Luke'a z dziwną mieszaniną uczuć widoczną na zarumienionej twarzy. Przez chwilę w jej oczach odbijało się coś delikatnego, prawie dziecinnego. A potem twarda maska opadła na miejsce.

— Och, naprawdę? — powiedziała. — No cóż, chyba nie wiesz wszystkiego o kobietach, co?

Luke zgodził się po cichu. Zgodził się jeszcze bardziej, kiedy w następnej chwili pochyliła się i pocałowała go mocno w usta. Potem odwróciła się na pięcie i pomaszerowała przez pokój trzaskając za sobą drzwiami. Wszyscy w pokoju — ludzie, Wookie i roboty — spojrzeli po sobie, niezdolni do wydobywania głosu.

Gdzieś z daleka zawył w podziemnych korytarzach alarm ostrzegawczy.

Generał Rieekan i główny kontroler naradzali się w centrum dowodzenia, kiedy Hań Solo i Chewbacca wpadli do pomieszczenia. Księżniczka Leia i Trzypeo, którzy przysłuchiwali się rozmowie generała i oficera, odwrócili się wyczekująco na ich widok.

Z drugiej strony komnaty z ogromnej konsoli obsługiwanej przez oficerów kontroli, zabrzmiał sygnał ostrzegawczy.

— Panie generale — zawołał kontroler czujników. Rieekan obserwował ekrany konsoli z ponurą uwagą. Nagle zobaczył błyskający sygnał, którego jeszcze przed chwilą nie było.

— Księżniczko — rzekł — chyba mamy gościa. Leia, Hań, Chewbacca i Trzypeo otoczyli generała i obserwowali ekrany monitorów, z których dochodziły urywane gwizdy.

— Wychwyciliśmy coś na zewnątrz bazy w Strefie Dwunastej. Porusza się na wschód — powiedział Rieekan.

— Cokolwiek to jest, jest z metalu — powiedział kontroler czujników.

Oczy Lei rozszerzyły się z zaskoczenia. — To znaczy nie może to być żadne z tych stworzeń, które zaatakowały Luke'a?

— Mogłoby to być coś naszego? — zapytał Hań. — Śmigacz?

Kontroler czujników potrząsnął głową. — Nie, nie ma sygnału. — Wtem pojawił się sygnał dźwiękowy z innego monitora. — Proszę zaczekać, mam coś bardzo słabego...

Idąc tak szybko, jak tylko pozwalały mu sztywne przeguby, Trzypeo podszedł do konsoli. Jego czujniki słuchowe nastroiły się do dziwnych sygnałów.

— Muszę powiedzieć, sir, że posługuję się płynnie ponad sześćdziesięcioma milionami form porozumiewania się, ale to jest coś nowego. Musi to być zbudowane albo...

Właśnie wtedy przez głośnik transmitera w konsoli dał się słyszeć głos rebelianckiego żołnierza:

— Tu posterunek Echo Trzy-Osiem. Niezidentyfikowany obiekt w naszym zasięgu. Jest tuż za grzbietem. Powinniśmy wejść w kontakt optyczny za około... — bez ostrzeżenia głos napełnił się strachem. — Co, do... Och, nie!

Dały się słyszeć trzaski zakłóceń, a potem transmisja zanikła całkowicie. Hań zmarszczył się.

— Cokolwiek to jest — rzekł — nie ma przyjaznych zamiarów. Chodźmy rzucić okiem, Chewie.

Jeszcze zanim Hań i Chewbacca wyszli z pomieszczenia, generał Rieekan wysłał do posterunku Trzy-Osiem Łobuzy Dziesięć i Jedenaście.

Ogromny gwiazdny niszczyciel Imperium zajmował we flocie Imperatora groźną pozycję. Smukły, wydłużony statek był większy i jeszcze bardziej złowieszczy niż pięć klinowatych imperialnych gwiazdnych niszczycieli, które go chroniły. Razem te sześć krążowników było najbardziej niszczycielską i budzącą największy strach siłą w Galaktyce, zdolną zamienić w kosmiczny pył wszystko, co znalazło się zbyt blisko ich broni.

Ze wszystkich stron gwiazdne niszczyciele były o-toczone przez mniejsze statki bojowe, a wokół całej tej kosmicznej armady pomykały niesławne myśliwce TIE.

W sercu każdego członka załogi tej eskadry śmierci, a szczególnie wśród personelu potwornego centralnego gwiazdnego niszczyciela, panowała nieograni czona pewność siebie. Lecz coś płonęło także w ich duszach. Strach — strach przed samymi tylko znajomymi ciężkimi krokami, odbijającymi się echem po ogromnym statku. Członkowie załóg bali się tych stąpań i drżeli, kiedy słyszeli, jak nadchodzą, a z nimi przywódca budzący wielki strach, ale i wielki respekt.

Górujący nad wszystkimi, Darth Vader, Czarny Lord Sith w czarnym płaszczu i zakrywającym twarz czarnym hełmie, wszedł na główny pokład dowodzenia. Znajdujący się tam ludzie zamilkli. Przez chwilę zdającą się nie mieć końca nie było słyhać nic prócz odgłosów dobiegających z tablic kontrolnych statku i głośniego oddychania dochodzącego z metalowej maski hebanowej postaci.

Kiedy Darth Vader obserwował nieskończoną feerię gwiazd, kapitan Piett pospieszył przez szeroki mostek statku z wiadomością dla krępego, nieprzyjemnie wyglądającego admirała Ozzela, który miał wyznaczone stanowisko na mostku.

— Chyba coś znaleźliśmy, panie admirale — oznajmił nerwowo przenosząc wzrok z Ozzela na Czarnego Lorda.

— Tak, panie kapitanie? — admirał był pewnym siebie człowiekiem czującym się swobodnie w obecności swego odzianego w płaszcz zwierzchnika.

— Meldunek, jaki otrzymaliśmy, jest tylko fragmentem pochodzącym od robota sondującego w systemie Hoth. Ale jest to najlepszy trop, jaki mamy od...

— Mamy tysiąc robotów sondujących przeszukujących Galaktykę — przerwał Ozzel gniewnie. — Chcę dowodów, nie tropów. Nie zamierzam dalej gonić z jednego krańca...

Nagle postać w czerni podeszła do grupki i przerwała:

— Znaleźliście coś? — zapytała głosem nieco zmienionym przez maskę oddechową.

Kapitan Piett z szacunkiem spojrzął na swego pana, który majaczył nad nim jak czarno odziany wszechmocny bóg.

— Tak, sir — powiedział Piett powoli, ostrożnie dobierając słowa. — Mamy dane wizyjne. Przypuszczamy, że system jest pozbawiony form ludzkich...

Lecz Vader nie słuchał już kapitana. Zwrócił twarz zasłoniętą maską w kierunku obrazu wyświetlanego na jednym z ekranów widokowych — obrazu małej eskadry rebelianckich śmigaczy pędzących nad białymi polami.

— To jest to — zahuczał bez wahania.

— Mój panie — zaprotestował admirał Ozzel — jest tak wiele osiedli nie umieszczonych na mapach. — To mogą być przemytnicy...

— To jest właśnie to! — były Rycerz Jedi nie ustępował; zacisnął pięść w czarnej rękawicy. — A Skywal-ker jest z nimi. Admirale, proszę wezwać statki patrolowe i wziąć kurs na system Hoth. — Vader spojrzął w kierunku oficera odzianego w zielony mundur i taką czapkę. — Generale Veers — zwrócił się do niego Czarny Lord — proszę przygotować swoich ludzi.

Jak tylko Darth Vader skończył mówić, jego ludzie zajęli się wykonaniem tego planu.

Imperialny robot sondujący wysunął z owadziej głowy dużą antenę i wysłał wysoki, przesywający sygnał. Czytniki robota zareagowały na żywą formę za wielką śnieżną wydumą i wykryły pojawienie się brązowej głowy Wookiego i jego gardłowy pomruk. Miotacze wbudowane w robota wycelowały w pokrytego futrem olbrzyma. Lecz zanim zdołał wypalić, zza

Wookiego wystrzelił czerwony promień z ręcznego miotacza i musnął jego ciemno wykończony kadłub.

Uskakując za dużą zaspę, Hań Solo zauważył, że Chewbacca ciągle jest ukryty, a potem patrzył jak robot błyskawicznie odwrócił się do niego w powietrzu. Jak dotąd podstęp działał i teraz on stanowił cel. Hań ledwo wycofał się, kiedy wisząca w powietrzu maszyna wypaliła, wyrывая z krawędzi zasy, za którą się ukrył, kawały śniegu. Strzelił drugi raz, trafiając ją dokładnie promieniem swej broni. Wtedy usłyszał wysoki wibrujący dźwięk dochodzący z groźnej maszyny i w jednej chwili imperialny

robot sondujący rozpadł się na milion lub więcej płonących kawałków.

— ...obawiam się, że niewiele zostało — powiedział Hań do transmitera kończąc meldunek dla podziemnej bazy.

Księżniczka i generał Rieekan ciągle stali przy konsoli, skąd utrzymywali łączność z Hanem.

— Co to takiego? — zapytała Leia.

— Jakiś robot — odparł. — Nie trafiłem go tak mocno.

Musiał mieć wbudowany program autodes-trukcji.

Leia zastanowiła się nad tą niemiłą wiadomością.

— Robot Imperium — rzekła, zdradzając lekki niepokój.

— Jeśli tak — ostrzegł Hań — to Imperium z pewnością wie, że tu jesteśmy.

Generał Rieekan pokręcił powoli głową.

— Lepiej zacznijmy ewakuację planety.

IV

Sześć złowrogich kształtów pojawiło się w czarnej przestrzeni systemu Hoth, mającąc jak ogromne demony zniszczenia, gotowe wypuścić furie swej imperialnej broni. Wewnątrz największego z gwiazdnych niszczycieli Imperium Darth Vader siedział samotnie w małym kulistym pomieszczeniu. Pojedynczy promień światła błyszczał na jego czarnym hełmie, kiedy tak tkwił bez ruchu w komnacie medytacji.

Gdy nadszedł generał Veers, kula powoli się otworzyła. Jej górna połowa uniosła się jak mechaniczna szczeka z wystającymi ostrymi zębami. Ciemna postać, siedząca wewnątrz przypominającego paszczę kokonu, wydawała się Veersowi martwa, choć emanowały z niej silne fluidy czystego zła, wywołując u oficera lęk.

Niepewny swej własnej odwagi, postąpił krok naprzód.

Miał do przekazania wiadomość, ale wolał raczej czekać w razie konieczności godzinami, niż przerwać medytację Czarnemu Lordowi.

Lecz Vader odezwał się natychmiast.

— **O co** chodzi, Veers?

— Panie — odparł generał, starannie dobierając każde słowo — flota wyszła z nadprzestrzeni. Com-Scan wykrył pole energetyczne osłaniające obszar na szóstej planecie w systemie Hoth. Pole jest wystarczająco silne, aby odchylić jakiegokolwiek bombardowanie.

Vader wstał wyprostowując swą dwumetrową postać, płaszczem omiatając podłogę.

— Ach, więc rebelianckie szumowiny wiedzą o naszej obecności. — Wściekły, zacisnął dłonie w czarnych rękawicach w pięści. — Admirał Ozzel wyszedł z nadprzestrzeni zbyt blisko systemu.

— Sądził, że zaskoczenie jest rozsądniejszym...

— Jest równie niezręczny jak głupi — przerwał mu Czarny Lord oddychając ciężko. — Zwykle bombardowanie jest niemożliwe z powodu tego pola energii. Proszę przygotować żołnierzy do ataku na powierzchnię.

Generał Veers odwrócił się z wojskową precyzją i wymaszerował z pomieszczenia medytacyjnego zostawiając za sobą wściekłego Vadera. Lord Ciemności włączył duży ekran obserwacyjny pokazujący jasny obraz ogromnego mostka jego gwiazdowego niszczyciela.

Admirał Ozzel wystąpił do przodu w odpowiedzi na wezwanie Vadera. Jego twarz prawie zupełnie wypełniła ekran monitora. W głosie Ozzela dał się słyszeć niepokój, kiedy oznajmiał:

— Lordzie Vader, flota wyszła z nadprzestrzeni...

Odpowiedź Lorda Sith była skierowana do oficera stojącego pół metra za admirałem.

— Kapitanie Piett.

Nie ryzykując zwłoki, wezwany natychmiast wystąpił do przodu, podczas gdy admirał zrobił chwiejny krok w tył, odruchowo sięgając ręką do gardła.

— Tak, panie — odpowiedział Piett z szacunkiem. Ozzel zaczął się dusić, bo jego gardło, jakby w uścisku niewidzialnych szponów, poczęło się kurczyć.

— Proszę przygotować się do wysadzenia oddziałów szturmowych poza polem energii — rozkazał Va-der. — Następnie proszę rozwinąć flotę w takim szyku, aby nic nie mogło wydostać się z tej planety. Pan tu teraz dowodzi, admirale Piett.

Dla Pietta wiadomość ta była jednocześnie przyjemna i niepokojąca. Kiedy odwrócił się, aby wykonać rozkazy, ujrzał postać, jaką sam kiedyś mógłby być. Twarz Ozzela była straszliwie wykrzywiona w walce o ostatni oddech; potem osunął się jak martwy strzęp na podłogę.

Imperium weszło do systemu Hoth.

Na jęśliwy dźwięk alarmów rozbrzmiewający w lodowych tunelach, żołnierze Rebelii pobiegli na stanowiska bojowe. Obsługa naziemna i roboty wszystkich rozmiarów i typów spieszyły wykonać wyznaczone zadania, sprawnie reagując na zagrożenie ze strony Imperium.

Opancerzone śmigacze śnieżne tankowały, czekając w szyku bojowym na start przez wejście do głównej jaskini. W tym czasie księżniczka Leia zwracała się do zebranej w hangarze grupki pilotów myśliwców:

— Duże statki transportowe odlecą, jak tylko zostaną załadowane. Tylko dwa myśliwce eskorty na statek. Osłonę energetyczną można otworzyć tylko na ułamek sekundy, więc będziecie musieli trzymać się bardzo blisko transportowców.

Hobbie, weteran wielu bitew, spojrzał z troską na księżniczkę:

— Dwa myśliwce przeciw gwiazdnemu niszczycielowi?

— Działo jonowe wystrzeli kilka ładunków, które powinny zniszczyć każdy statek w waszym korytarzu — wyjaśniła Leia. — Kiedy znajdziecie się poza osłoną energetyczną, udacie się do punktu spotkania. Powodzenia.

Nieco pokrępieni, Hobbie i inni piloci, pobiegli do swych myśliwców.

W tym czasie Hań gorączkowo pracował nad zakończeniem spawania podnośnika w „Sokole Millenium”. Kończąc szybko zeskoczył na podłogę hangaru i włączył transponder.

— W porządku, Chewie — powiedział do włochatej postaci siedzącej za sterami „Sokoła” — spróbuj.

Właśnie wtedy księżniczka przeszła obok, rzucając mu gniewne spojrzenie. Hań spojrzał na nią wyraźnie z siebie zadowolony, podczas gdy podnośniki frachtowca zaczęły unosić się znad podłogi, po czym prawy wpadł w niekontrolowane drgania, częściowo odłamał się i wahadłowym ruchem opadł z powrotem z kłopotliwym hukem.

Odwrócił się od Lei, kątem oka dostrzegając jej twarz z uniesioną drwiąco brwią.

— Wyłącz to, Chewie — mruknął do swego małego nadajnika.

„Mściciel”, jeden z klinowatych gwiazdnych niszczyteli armady Imperium, unosił się jak zmechanizowany anioł śmierci w morzu gwiazd na zewnątrz systemu Hoth. Kiedy kolosalny statek zaczął przybliżać się do lodowego świata, planeta stawała się coraz wyraźniej widoczna przez okna rozciągające się na sto lub więcej metrów na ogromnym mostku okrętu.

Kapitan Needa, komandor załogi „Mściciela”, patrzył przez główny ekran na planetę, kiedy podszedł do niego kontroler.

— Sir, rebeliancki statek wchodzi w nasz sektor.

— Dobrze — odparł Needa z błyskiem w oku. — Nasza pierwsza zdobycz tego dnia.

— Ich pierwszym celem będą generatory mocy

— powiedział generał Rieekan do księżniczki.

— Pierwszy transportowiec zbliża się do osłony

— powiedział jeden z kontrolerów, śledząc świecący punkt, który mógł być tylko gwiazdny niszczyteli Imperium.

— Przygotować się do otwarcia osłony — wydał komendę technik radarowy.

— Sekcja dział jonowych pełna gotowość — powiedział inny kontroler.

Olbrzymia metalowa kula na lodowej powierzchni Hoth obróciła się do właściwej pozycji i skierowała w górę wielkie działo.

— Ognia! — wydał rozkaz generał Rieekan. Nagle dwa czerwone promienie niszczyteli e-nergii wystrzeliły w niebo. Promienie niemal natychmiast dogoniły pierwszy z pędzących rebelianckich statków transportowych i pomknęły bezpośrednim kursem na wielki gwiazdny niszczyteli.

Podwójna czerwona błyskawica uderzyła w ogromny statek i rozsadziła jego pancerną wieżę dowodzenia. Eksplozje wywołane trafieniem zaczęły chybotać olbrzymią latającą fortecą, posyłając ją w niekontrolowany korkociąg. Gwiazdny niszczyteli runął w otwarty kosmos, a rebeliancki

transportowiec z eskortą dwóch myśliwców umknął ku wolności.

Luke Skywalker, przygotowując się do odlotu, wciągał na siebie strój na ciężkie warunki pogodowe i obserwował jak piloci, strzelcy i jednostki R2 spiesznie kończą pracę. Ruszył w kierunku czekających śmigaczy śnieżnych. Po drodze młody komandor zatrzymał się przy części rufowej „Sokoła Mil-lenium”, gdzie Hań Solo i Chewbacca gorączkowo pracowali nad prawym podnośnikiem.

— Chewie — zawołał — dbaj o siebie. I pilnij tego faceta, dobrze?

Wookiee szczerknął na pożegnanie, objął Luke'a ogromnymi rękami, a potem wrócił do roboty nad podnośnikiem.

Dwaj przyjaciele, Luke i Hań, stali patrząc na siebie, może po raz ostatni w życiu.

— Mam nadzieję, że pogodzisz się z Jabbą — powiedział w końcu.

— Poślij ich do diabła, mały — odpowiedział swobodnie Korelianin.

Młody komandor zaczął się oddalać, a w głowie tłoczyły mu się wspomnienia wspólnych wyczynów z Hanem. Zatrzymał się, obejrzał na „Sokoła”, i zobaczył, że przyjaciel wciąż za nim patrzy. Kiedy tak spoglądali na siebie, Chewie, który podniósł wzrok, zrozumiał, że życzą sobie wzajemnie wszystkiego najlepszego, gdziekolwiek zawiodą ich losy.

System nagłośnienia przerwał rozmyślenia; rebeliancki spiker ogłosił:

— Pierwszy transportowiec wydostał się. Zgromadzeni w hangarze zareagowali na to radosnym okrzykiem. Luke odwrócił się i pospieszył do swego śmigacza śnieżnego. Kiedy tam dotarł, Dack, jego młody strzelec, już stał na zewnątrz statku, czekając na niego.

— Jak się pan czuje, sir? — zapytał z entuzjazmem.

— Jak nowonarodzony, Dack. A ty? Dack uśmiechnął się promiennie.

— W tej chwili mógłbym wziąć na siebie całe Imperium.

— Tak — rzekł komandor cicho. — Wiem, co czujesz.

Choć dzieliło ich tylko kilka lat, w tej chwili czuł się o całe wieki starszy.

Przez głośniki dobiegł ich głos księżniczki Lei:

— Uwaga, piloci śmigaczy... na sygnał odwrotu zebrać się na Południowym Stoku. Wasze myśliwce są przygotowane do startu. Po zakończeniu ewakuacji zostanie nadany sygnał Jeden Pięć.

Trzypeo i Erdwa stali pośród biegającego personelu i pilotów przygotowujących się do startu. Złocisty android pochylił się lekko, zwracając czujniki do małego robota. Cienie tańczące na twarzy Trzypeo dawały złudzenie, że jego płytę czołową pokryły zmarszczki.

— Dlaczego — spytał — kiedy już się wydaje, że sprawy nareszcie się ustabilizowały, wszystko się rozpada?

Pochylając się do przodu, delikatnie poklepał kadłub drugiego robota:

— Opiekuj się dobrze panem Lukiem. I opiekuj się dobrze sobą.

Erdwa pożegnał go gwizdami i buczeniem i potoczył się lodowym korytarzem. Machając mu sztywno ręką, Trzypeo patrzył za oddalającym się dzielnym i wiernym przyjacielem.

Osobie postronnej mogłoby się wydawać, że oczy Trzypeo zaszyły mgłą, ale przecież nie po raz pierwszy kropla oleju dostała mu się przez czujniki optyczne.

W końcu człekokształtny robot odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku.

V

Nikt na Hoth nic nie usłyszał. Z początku dźwięk był zbyt odległy, aby dał się słyszeć ponad wyciem wichru. Poza tym Rebelianci, którzy walczyli z zimnem przygotowując się do bitwy, byli zbyt zajęci, aby tak naprawdę słuchać.

W śnieżnych okopach oficerowie wykrzykiwali komendy, bo inaczej zagłuszyłby ich huraganowy wiatr. Żołnierze z pośpiechem wykonywali rozkazy, biegając w śniegu z ciężką bronią podobną do bazook na ramionach i ustawiając te miotacze zabójczych promieni wzdłuż lodowych krawędzi okopów.

Rebelianckie generatory mocy w pobliżu wież ogniowych zaczęły trzaskać, brzęczeć i strzelać ogłuszającymi wyładowaniami elektrycznymi — wystarczającymi do zasilania ogromnego podziemnego kompleksu. Lecz ponad całą tą krzątaniną i hałasem słychać było dziwny dźwięk, złowrogi zblizające się dudnienie, od którego zaczynała drzeć zamrażająca ziemia. Kiedy zbliżyło się na tyle, aby przyciągnąć uwagę jednego z oficerów, ten wyteżył wzrok, próbując odszukać w burzy źródło głuchego, rytmicznego odgłosu. Ludzie podnieśli głowy znad zajęć i zobaczyli jakby poruszające się plamki. Wydawało się, że przez śnieżycę zbliżają się do rebelianckiej bazy wolnym, ale równym tempem jakieś punkciki, wzbijając chmury śniegu.

Oficer podniósł elektrolornetkę i nastawił ją na zbliżające się obiekty. Musiało być ich tuzin. Szły pewnie po śniegu, wyglądając jak jakieś stworzenia z niezbadanej przeszłości. Były to jednak maszyny. Każda z nich, jak jakieś wielkie zwierzę kopytne, kroczyła sztywno na czterech przegubowych nogach.

Łaziki!

Wstrząśnięty oficer rozpoznał terenowe opancerzone transportowce Imperium. Każda maszyna była uzbrojona w potężne działa umieszczone w przedniej części niczym rogi jakiegoś prehistorycznego stwora. Poruszając się jak zmechanizowane gruboskórne zwierzęta, łażiki wysyłały zabójczy ogień z obrotowych dział.

Oficer chwycił swój transmiter.

— Do dowódcy Frantów... Nadchodzą koma zero trzy.

— Posterunek Echo 5-7, lecimy do was.

Kiedy Luke Skywalker jeszcze mówił, wybuch rozrzucił lód i śnieg wokół oficera i jego przerażonych ludzi. Łaziki miały ich już w zasięgu. Żołnierze wiedzieli, że ich zadaniem jest odwrócenie uwagi od startujących transportowców, ale żaden z Rebeliantów nie był gotowy umrzeć pod nogami tych potwornych maszyn lub od ich broni.

Błyszczące kłęby pomarańczowego i żółtego ognia buchały z luf łazików. Rebelianci nerwowo brali je na cel i każdy żołnierz czuł, jak wchodzi mu w ciało lodowate, niewidzialne palce.

Z dwunastu śmigaczy śnieżnych cztery prowadziły resztę, lecąc na wroga pełną szybkością. Jeden z terenowych transportowców pancernych wystrzelił, o mały włos nie trafiając przechylnego w skrócie statku. Salwa z działa zamieniła inny śmigacz w płonącą kulę, która rozświetliła niebo.

Wyglądając przez iluminator, Luke zobaczył eksplozję pierwszego zestrzelonego statku ze swej eskadry. Ze złością wypalił z działa do łazika tylko po to, aby znaleźć się w środku nawały imperialnego ognia zaporowego, wstrząsającego jego śmigaczem.

Kiedy opanował statek, przyłączył się do niego inny śmigacz „Frant Trzy”. Roily się jak owady wokół nieubłagane kroczących łazików, podczas gdy inne śmigacze prowadziły wymianę ognia z imperialnymi maszynami szturmującymi. Dowódca grupy i „Frant Trzy” przemknęli wzdłuż prowadzącego łazika, a potem odsunęli się od siebie skręcając w prawo.

Manewrując maszyną między przegubowymi nogami łazika i wzbijając się spod potwornej maszyny, Luke widział, jak horyzont staje dęba. Wracając do lotu poziomego młody komandor nawiązał łączność ze swym statkiem towarzyszącym.

— Dowódca Frantów do Trójki.

— Trójka do dowódcy — zgłosił się Wedge.

— Wedge — zawołał Luke do transmitera — podziel swoją grupę na dwójki.

Śmigacz dowódcy pochylił się i skręcił, podczas gdy statek Wedge'a i jeszcze jeden rebeliancki statek odleciały w przeciwnym kierunku.

Łaziki dalej maszerowały przez śnieg, strzelając ze wszystkich miotaczy. Wewnątrz jednej z maszyn szturmujących dwu imperialnych pilotów dostrzegło działa Rebeliantów, wyraźnie widoczne na białym polu. Piloci rozpoczęli manewr mający skierować łazika w tę stronę, kiedy zauważyli samotny śmigacz, który na nic nie zważając leciał, plując ogniem wprost na ich główny iluminator. Potężna eksplozja rozbłysła na zewnątrz nieprzepuszczalnego okna i rozwiała się, a śmigacz z rykiem silników przeleciał przez chmurę dymu i zniknął w górze.

Wznosząc się coraz dalej od łazika, Luke obejrzał się. Ten pancierz jest za gruby dla miotaczy, pomyślał. Musi być jakiś inny sposób zaatakowania tych potworów; coś innego niż siła ognia. Przez chwilę myślał o jakiejś prostej taktyce,

jaką chłopiec z farmy mógłby zastosować przeciw dzikiemu zwierzowi. Potem, zawracając śmigacz do jeszcze jednego ataku na łąziki, podjął decyzję.

*A

— Grupa Frantów — zawołał do transmitera — użyjcie harpunów i lin holowniczych. Celujcie w nogi. To nasza jedyna nadzieja na zatrzymanie ich. Hobbie, jesteś jeszcze za mną?

Spokojny głos odpowiedział natychmiast:

— Tak, sir.

— No to trzymaj się teraz blisko.

Wyrównując lot, Luke z ponurą zaciętością postanowił lecieć w zwartym szyku z Hobbie'm. Razem skręcili, opadając bliżej powierzchni Hoth.

Gwałtowny ruch statku rzucił Dacka, strzelca Luke'a, o ścianę kabiny. Próbuąc utrzymać harpun w ręku, krzyknął:

— Heej! Luke, chyba nie mogę znaleźć pasów! Wybuchy wstrząsnęły statkiem, miotając nim gwałtownie wśród ognia przeciwniczego. Przez iluminator Luke widział jeszcze jeden łązik, na którym pełna siła ognia rebelianckich śmigaczy szturmowych najwyraźniej nie robiła żadnego wrażenia. Ta właśnie ciężko stąpająca maszyna stała się celem Luke'a, który leciał opadającym łukiem. Łazik strzelał prosto w mego, stawiając ścianę laserowych błyskawic.

— Trzymaj się, Dack — usiłował przekrzyczeć wybuchy. — I przygotuj się do wystrzelenia tej liny holowniczej!

Kolejny wielki wybuch wstrząsnął śmigaczem. Z wysiłkiem opanował rozkołysany statek. Mimo zimna oblał się cały potem, rozpaczliwie próbując wyprostować lot spadającej maszyny. Lecz horyzont przed nim ciągle wirował.

— Przygotuj się, Dack. Jesteśmy prawie na miejscu. Wszystko w porządku?

Dack nie odpowiedział. Luke'owi udało się odwrócić i zobaczyć, że Hobbie utrzymuje swój śmigacz na kursie równoległym, unikając otaczających go wybuchów. Obejrzał się w tył i zobaczył swojego strzelca bezwładnie opartego o stery. Z jego czoła płynęła krew.

— Dack!

Na ziemi wieże strzelnicze w pobliżu generatorów mocy bez przerwy pluły ogniem w kroczące maszyny, ale bez widocznego efektu. Imperialna broń bombardowała cały teren wokół nich, wysadzając śnieg w niebo, prawie oślepiając ludzi nieprzerwanym gwałtownym atakiem. Oficer, który pierwszy ujrzał niewiarygodne maszyny i walczył u boku swych ludzi, był jednym z pierwszych zabitych rozrywającymi ciało promieniami łązika. Żołnierze pospieszili mu na pomoc, ale nie mogli go uratować; utracił już zbyt wiele krwi, która utworzyła na śniegu szkarłatną plamę.

Większą siłą ognia dysponowało działo w kształcie talerza, ustawione w pobliżu generatorów mocy. Mimo tych ogromnych eksplozji łąziki nie przerywały marszu. Kolejny śmigacz zanurkował bohatersko między dwa łąziki tylko po

to, aby celny ogień jednej z maszyn zamienił go w wielką kulę pulsujących płomieni.

Ściany lodowego hangaru drżały od naziemnych wybuchów, co powodowało, że we wszystkich kierunkach otwierały się głębokie szczeliny.

Hań Solo i Chewbacca gorączkowo kończyli spawanie. Zdawali sobie sprawę, że rozszerzające się szczeliny wkrótce z hukiem spuszczą im na głowy cały lodowy strop.

— Przy pierwszej okazji — rzekł Solo — zrobimy temu pudłu całkowity przegląd.

Wiedział jednak, że najpierw będzie musiał wydostać „Sokoła Millennium” z tego białego piekła.

Jeszcze męczyli się nad statkiem, kiedy w całej podziemnej bazie zaczęły opadać ze stropów ogromne kawały lodu oderwane wybuchami.

Księżniczka Leia poruszała się szybko, starając się skryć w centrum dowodzenia przed spadającymi zamrożonymi bryłami.

— Nie jestem pewien, czy możemy osłaniać dwa transportowce jednocześnie — zwrócił się do niej generał Rieekan, kiedy weszła do pomieszczenia.

— To ryzykowne — odrzekła — ale nasza akcja powstrzymująca załamuje się.

Zdawała sobie sprawę, że starty transportowców trwają zbyt długo i że trzeba przyspieszyć procedurę.

Rieekan wydał rozkaz przez komunikator:

— Patrol startowy, proszę kontynuować przyspieszone odloty.

Kiedy generał wydawał rozkaz, Leia spojrzała na adiutanta i rzekła:

— Proszę zacząć ewakuację pozostałego personelu naziemnego.

Lecz wiedziała, że ich ucieczka zależy całkowicie od sukcesu Rebelii w trwającej bitwie powietrznej.

Wewnątrz zimnej i ciasnej kabiny łoża znajdującego się na przedzie generał Veers wszedł między swych odzianych w kombinezony śnieżne pilotów.

— Ile wynosi odległość do generatorów mocy? Jeden z pilotów odparł, nie odrywając wzroku od pulpitu sterowniczego:

— Sześć-cztery-jeden.

Zadowolony z odpowiedzi, generał sięgnął po elektrolornetkę i spojrzał przez wizjer, nastawiając ostrość na generatory mocy w kształcie pocisków i broniących ich żołnierzy Rebelii. Nagle łożek zaczął gwałtownie kołysać się pod lawiną rebelianckiego ognia.

Lecąc do tyłu Veers widział, jak jego piloci z trudem powstrzymują maszynę przed przewróceniem się.

Śmigacz śnieżny „Frant Trzy” właśnie zaatakował prowadzącego łożka. Pilot śmigacza, Wedge, wydał głośny okrzyk zwycięstwa, widząc szkody, jakie wyrządziły jego działka.

Inne śmigacze minęły Wedge'a, pędząc w przeciwnym kierunku. Położył swój statek na bezpośredni kurs innej kroczącej maszyny śmierci. Zbliżając się do potwora krzyknął do swego strzelca:

— Odpalaj harpun!

Strzelec wcisnął odpowiedni przycisk, podczas gdy pilot śmiało manewrował statkiem między nogami łazika. Harpun wystrzelił natychmiast ze świstem z tyłu śmigacza, rozwijając za sobą długą linę.

— Lina wystrzelona — zawołał strzelec. — Zaczynaj! Wedge ujrzał, jak harpun wbija się w jedną z metalowych nóg. Lina ciągle była przymocowana do śmigacza. Sprawdził odczyty, a następnie okrążył z przodu maszynę Imperium. Kładąc się w ciasny skręt poprowadził swój statek wokół jednej z tylnych nóg. Lina owinęła się wokół niej jak metaliczne lasso.

Wedge pomyślał, że jak dotąd, plan Luke'a udał się. Teraz musiał tylko okrążyć łazik. Wykonując ten manewr dojrzał kątem oka dowódcę frantów.

— Lina wystrzelona! — ponownie krzyknął strzelec, kiedy Śmigacz leciał wzdłuż omotanego liną pojazdu, blisko jego metalowego kadłuba. Strzelec Wedge'a wcisnął inny przycisk i zwolnił linę.

Maszyna strzeliła w górę, a pilot roześmiał się spojrzawszy na efekt swych wysiłków. Łazik niezdarnie usiłował iść dalej, ale rebeliancka lina całkowicie oplatała mu nogi. W końcu przechylił się na jedną stronę i z hukiem runął na ziemię wzbijając chmurę lodu i śniegu.

— Dowódca frantów... O jednego mniej, Luke — oznajmił Wedge pilotowi towarzyszącego mu śmigacza.

— Widzę — odpowiedział komandor Skywalker.
— Dobra robota.

Żołnierze Rebelii w okopach wydali okrzyk tryumfu na widok przewracającej się maszyny. Ze śnieżnego okopu wyskoczył oficer i dał znak swym ludziom. Poprowadził ich w hłaśliwym ataku na leżące łazika, docierając do wielkiego metalicznego kadłuba zanim jakikolwiek żołnierz Imperium zdołał się wydostać.

Właśnie mieli wtargnąć do łazika, kiedy ten eksplodował nagle od wewnątrz, wyrzucając wielkie poszarpane kawały metalu. Siła wybuchu odrzuciła oszołomionych żołnierzy w śnieg.

Luke i Zev widzieli zniszczenie maszyny przelatując nad nią, przechylając się z prawa na lewo dla uniknięcia wybuchających wokół nich pocisków. Kiedy w końcu wyrównali lot, ich statkami wstrząsnęły salwy z dział łazika.

— Uwaga, Dwójka — rzekł Luke spoglądając na śmigacz lecący równolegle do niego. — Przygotuj harpun. Będę cię ubezpieczał.

Lecz nastąpił kolejny wybuch, rozsadzając tym razem przednią część statku Zeva. Pilot prawie nic nie widział przez chmurę dymu spowijającą dziób statku. Usiłował utrzymać statek na kursie poziomym, ale wstrząsały nim kolejne wybuchy wrogich pocisków.

Widział tak niewyraźnie, że ujrzał imponującą sylwetkę jeszcze jednego łazika dopiero wtedy, gdy znalazł się dokładnie na linii jego ognia. Pilot „Franta Dwa” poczuł ból; jego statek o tępo zakończonym dziobie, buchający dymem i lecący kursem kolizyjnym na łazika, stanął nagle w płomieniach od salwy ognia z działek. Bardzo niewiele z Zeva i jego statku pozostało, aby spaść na ziemię.

Luke widział zniszczenie statku i strata jeszcze jednego przyjaciela wpłynęła na niego fatalnie. Jednak nie mógł sobie pozwolić na pogrążenie się w żalu, szczególnie teraz, kiedy tak wiele istnień zależało od jego pewnego dowodzenia.

Rozejrzał się z rozpaczą, a potem powiedział do transmitera:

— Wedge... Wedge... „Frant Trzy”. Przygotuj harpun i lec za mną przy następnym podejściu.

Kiedy mówił, potężny wybuch rozdarł jego śmigacz. Luke mocował się ze sterami, daremnie usiłując zachować panowanie nad statkiem. Kiedy ujrzał gęsty słup dymu buchający z tylnej części pojazdu, ogarnęła go fala zimnego strachu. Zdał sobie wtedy sprawę, że jego uszkodzony śmigacz w żaden sposób nie utrzyma się w powietrzu. I, co gorsza, bezpośrednio na kursie zamajaczył mu łazik.

Walczył ze sterami, podczas gdy jego statek runął w dół, ciągnąc za sobą ogon dymu i ognia. Gorąco w kabinie stało się nie do zniesienia. Płomienie zaczęły lizać wnętrze śmigacza i podeszły nieprzyjemnie blisko. W końcu sprowadził statek na ziemię lotem ślizgowym i wbił się w śnieg zaledwie kilka metrów od jednej z maszyn kroczących Imperium.

Spróbował wydostać się z kabiny, z przerażeniem patrząc na groźną sylwetkę zbliżającego się łazika. Zbierając wszystkie siły, szybko przecisnął się pod pogiętym metalem tablicy kontrolnej i przesunął się ku górze kabiny. Jakoś udało mu się do połowy otworzyć luk i wydostać ze statku. Śmigacz trząsł się gwałtownie za każdym krokiem zbliżającej się maszyny. Luke nie zdawał sobie sprawy, jak ogromne są te czworonożne potwory, dopóki nie ujrzał jednego z nich z bliska, i to nie będąc wewnątrz bezpiecznego statku. A potem przypomniał sobie o Dacku i wrócił, aby wyciągnąć z rozbitego śmigacza ciało martwego przyjaciela. Musiał się poddać. Ciało było zbyt mocno zaklinowane w kabinie, a łazik był prawie nad nim. Nie zważając na płomienie sięgnął do wnętrza śmigacza i chwycił harpunnicę.

Spojrzał na zbliżającego się mechanicznego behemota i nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Znowu sięgnął do kabiny śmigacza i zaczął po omacku szukać miny lądowej przyczepionej do wnętrza statku. Z wielkim wysiłkiem wyciągnął rękę i mocno ją chwycił.

Luke odskoczył do swego pojazdu w chwili, gdy górująca nad nim machina uniosła ciężką stopę i postawiła ją mocno na śmigaczu, zgniatając go na płask.

Skulił się pod łożnikiem, poruszając się wraz z nim, żeby uniknąć zdeptania. Poczuł uderzenie zimnego wiatru, kiedy uniósł głowę i uważnie przyglądał się ogromnemu brzuchowi potwora.

Biegając razem z maszyną, wycelował harpunicę i nacisnął spust. Z działka wystrzelił silny magnes ciągnąc za sobą długą cienką linkę i mocno przywarł do brzucha maszyny.

Ciągle biegnąc, Luke szarpnął linką. Chciał upewnić się, że była wystarczająco mocna, żeby utrzymać jego ciężar. Następnie przypiął bloczek linki do sprzączki pasa, co umożliwiło mu wjechanie do góry. Wisząc teraz u brzucha potwora widział pozostałe łożniki i dwa rebelianckie śmigacze jak, kontynuując walkę, wznoszą się przez ogniste wybuchy.

Podciągnął się do kadłuba, gdzie zauważył mały luk. Szybko przeciął go swym laserowym mieczem, otworzył, wrzucił do środka minę lądową i błyskawicznie opuścił się na linie, spadł ciężko w śnieg i stracił przytomność. Jedna z tylnych nóg prawie otarła się o jego nieruchome ciało.

Gdy łożnik przeszedł już nad nim i zaczął się oddalać, wewnątrz maszyny rozdarł stłumiony wybuch. Nagle ogromny kadłub mechanicznego zwierza rozerwał się na złączach, wysyłając we wszystkich kierunkach maszynierię i kawałki poszycia. Atakujący pojazd Imperium zwałił się w dymiącą, nieruchomą stertę na to, co zostało z jego czterech szcudłowatych nóg.

VI

Centrum dowodzenia Rebelii, którego ściany i sufit ciągle pękały wstrząsane siłą bitwy toczącej się na powierzchni, usiłowało funkcjonować wśród zniszczenia. Z popękanych rur buchały fontanny gorącej pary. Biała podłoga była zarzucona połamanymi fragmentami urządzeń, a wszędzie poniewierały się kawały lodu. Oprócz odległego dudnienia laserowych dział, w centrum dowodzenia panowała złowroga cisza.

Pełnił tam jeszcze służbę personel Rebelii razem z księżniczką Leia, która obserwowała nieliczne funkcjonujące jeszcze ekrany. Chciała mieć pewność, że ostatni transportowiec przemknął się obok imperialnej armady i zbliża się do punktu spotkania w przestrzeni.

Hań Solo wpadł do centrum dowodzenia, uskakując przed wielkimi fragmentami lodowego sufitu, który runął na niego. Jeden duży kawał pociągnął za sobą lawinę lodu, która osunęła się na podłogę blisko wejścia do pomieszczenia. Nie zważając na to, dopadł tablicy kontrolnej, gdzie obok Če Trzypeo stała Leia.

— Słyszałem, że trafili w centrum dowodzenia — Hań wydawał się zaniepokojony. — Nic ci nie jest?

Księżniczka potrząsnęła głową. Zdziwiła się, że widzi go w miejscu, gdzie niebezpieczeństwo było największe.

— Chodź — ponaglił ją zanim zdołała odpowiedzieć. — Musisz dostać się na swój statek.

Wyglądała na wyczerpaną. Od wielu godzin stała przy ekranach kontrolnych, biorąc udział w wysyłaniu Rebeliantów na stanowiska. Wziął ją za rękę i wy prowadził z pomieszczenia. Android protokolarny z kolektorem poszedł za nimi.

Kiedy wychodzili, Leia wydała kontrolerom ostatni rozkaz:

— Proszę nadać zakodowany sygnał ewakuacji i u-dać się do transportowca.

Kiedy Leia, Hań i Trzypeo pośpiesznie wychodzili z centrum dowodzenia, z głośników zabrzmiał głos odbijając się echem w pobliskich opustoszałych lodowych korytarzach:

— Oderwać się od przeciwnika! Rozpocząć odwrót!

— Chodź — popędził Hań krzywiąc się. — Jeśli nie dotrzesz tam szybko, twój statek nie będzie mógł wystartować.

Ściany zadrżały jeszcze gwałtowniej niż przedtem. Kawały lodu spadały w całej podziemnej bazie, kiedy wszyscy troje spieszyli do transportowców. Prawie dotarli do hangaru, gdzie czekał transportowiec Lei gotowy do odlotu, ale gdy zbliżali się do zakrętu, okazało się, że wejście jest zupełnie zasypane śniegiem i lodem.

Hań wiedział, że będą musieli znaleźć jakąś inną drogę do statku księżniczki — i to szybko. Zaczął prowadzić ich z powrotem korytarzem, starannie unikając spadającego lodu. Spiesząc do statku włączył komunikator:

— Transportowiec C 1-7! — wrzasnął do małego mikrofonu. — Idziemy do was! Zaczekajcie!

Byli wystarczająco blisko hangaru, aby słyszeć, jak statek przygotowuje się do startu. Jeśli Hań poprowadziłby ich bez przeszkód jeszcze tylko kilka metrów, księżniczka byłaby bezpieczna i...

Pomieszczenie zadrżało nagle ze strasznym hukiem, który jak grzmot przetoczył się przez podziemną bazę. W jednej chwili cały sufit przed nimi zawalił się tworząc grubą barierę lodu pomiędzy nimi i dokami hangaru. Patrzyli wstrząśnięci na białą masę.

— Jesteśmy odcięci! — wrzasnął Korelianin do komunikatora wiedząc, że jeśli transportowcowi miała się udać ucieczka, nie można było tracić czasu na stopienie lub rozsadzenie barykady. — Będziecie musieli wystartować bez księżniczki Lei Organy.

Odwrócił się do niej.

— Przy odrobinie szczęścia możemy jeszcze zdążyć do „Sokoła”.

Księżniczka i Če Trzypeo popędzili za Hanem w kierunku innego pomieszczenia, mając nadzieję, że „Sokół Millenium” i jego drugi pilot, Wookie, nie zostali jeszcze pogrzebani pod lawiną lodu.

Obserwując białe pole bitwy, rebeliancki oficer widział, jak pozostałe śmigacze i ostatnie pojazdy Imperium mijały wrak rozerwanego wybuchem łożnika. Włączył komunikator i usłyszał rozkaz:

— Oderwać się od nieprzyjaciela. Rozpocząć odwrót.

Nakazując gestem swoim ludziom wycofanie się do lodowej

jaskini zauważył, że pierwsza maszyna nadal ciężko stąpa w kierunku generatorów mocy.

W kabinie maszyny szturmowej generał Veers podszedł do iluminatora. Z tego miejsca wyraźnie widział cel znajdujący się poniżej. Baczenie przyjrzał się trzaskającym generatorom mocy i broniących ich żołnierzom Rebelii.

— Zero-trzy-koma-trzy-koma-pięć, wchodzi w zasięg, sir — zameldował mu pilot.

Generał odwrócił się do oficera prowadzącego atak:

— Wszyscy żołnierze do ataku naziemnego — rzekł Veers. — Przygotować się do uderzenia na główny generator.

Prowadzący łązik, osłaniany z boku przez dwie ciężkie maszyny, zakołysał się plując ogniem i rozpraszając wycofujących się Rebeliantów.

Ciała żołnierzy wylaływały w powietrze w nawale laserowego ognia z nadchodzących potworów. Wielu z tych, którym udało się uniknąć niszczących promieni laserów, zginęło pod stopami łązików, zgnieci-ni w nierozpoznawalną miazgę. Powietrze pełne było odoru krwi i spalonych ciał, grzmotów i wybuchów bitewnych.

Uciekający nieliczni pozostali przy życiu żołnierze dostrzegli oddalający się samotny śmigacz. Z jego płonącego kadłuba wydostawała się czarna smuga dymu.

Choć dym buchający z uszkodzonego śmigacza u-trudniał widoczność, Hobbie ciągle był w stanie dojrzeć fragmenty rzezi szalejącej na ziemi. Rany zadane laserem łązika sprawiały, że nawet poruszanie się było torturą, a co dopiero sterowanie pojazdem. Ale jeśli udałooby mu się utrzymać stery na tyle długo, aby wrócić do bazy, mógłby znaleźć robota medycznego i...

Nie, wątpił, czy uda mu się przeżyć nawet tyle czasu. Umierał — tego był już pewien — i ludzie w okopie także niedługo będą martwi, jeśli nie zrobi się czegoś dla ich uratowania.

Generał Veers, z dumą nadający meldunek do imperialnego dowództwa, był absolutnie nieświadomy zbliżania się śmigacza.

— Tak, Lordzie Vader, dotarłem do głównych generatorów mocy. Osłona zostanie za chwilę wyłączona. Może pan rozpocząć lądowanie.

Kończąc transmisję, Veers sięgnął po elektroniczny dalmierz i spojrzął przez wizjer, nastawiając go na główne generatory mocy. Elektroniczny krzyż nitek ustawił się zgodnie z informacjami z komputera łązika. Nagle odczyty na małych monitorach znikły w tajemniczy sposób.

Zaniepokojony generał odsunął wizjer dalmierza i instynktownie zwrócił się w stronę iluminatora. Drgnął z przerażenia, widząc dymiący pocisk pędzący bezpośrednim kursem na kabinę jego łązika.

Inni piloci także dostrzegli mknący śmigacz. Wiedzieli, że nie ma czasu na wykonanie skrętu ogromną maszyną.

— On chce... — zaczął jeden z pilotów.

W tym momencie płonący statek Hobbiego przeleciał przez kabinę jak żywa torpeda. Jego paliwo wybuchło kaskadą płomieni. Przez sekundę, zanim wybuch rozerwał ludzi na strzępy, słychać było ich krzyki, a potem cała maszyna zwała się na ziemię.

Może to właśnie hałas tego bliskiego wybuchu gwałtownie przywrócił świadomość Luke'owi. Oszołomiony, powoli unióś głowę ze śniegu. Czuł ogromne zmęczenie i był boleśnie zeszywniały z zimna. Przeszła mu przez głowę myśl, że odmrożenia mogły już uszkodzić mu tkanki. Miał nadzieję, że nie; nie chciał spędzić ani chwili dłużej w lepkim bacta.

Spróbował wstać, ale upadł z powrotem na śnieg, mając nadzieję, że nie zauważy go żaden z pilotów łazików. Jego komunikator zagwizdał i jakoś znalazł siły, aby włączyć odbiornik.

— Wycofywanie się jednostek przednich zakończone — zameldował głos w eterze.

Wycofywanie? Luke zastanowił się przez chwilę. A więc Leia i inni mogli uciec! Nagle poczuł, że cała ta walka i śmierć lojalnego personelu nie były daremne. Ogarnęła go fala ciepła; zebrał siły i rozpoczął długą wędrówkę do odległego rumowiska.

Kolejna eksplozja zachwiała pokładem rebelianckie-go hangaru, rysując strop i prawie grzebiąc „Sokoła Millenium” pod górą lodu. W każdej chwili cały sufit mógł się zawalić. Wydawało się, że jedyne bezpieczne miejsce w hangarze jest pod samym statkiem, gdzie Chewbacca niecierpliwie oczekiwał powrotu swego kapitana. Wookie zaczynał się martwić. Jeśli Hań nie wróci szybko, „Sokół” z pewnością zostanie zasypany w lodowym grobowcu. Jednak lojalność wobec partnera powstrzymywała Chewiego przed startem w pojedynek.

Kiedy hangar zaczął drgać gwałtowniej, Chewbacca dostrzegł ruch w przylegającym pomieszczeniu. Widząc, jak Hań Solo wspina się po pagórkach lodu i śniegu i wchodzi do pomieszczenia, a tuż za nim księżniczka Leia i najwyraźniej zdenerwowany Če Trzypeo, kudłaty olbrzym odrzuciwszy głowę do tyłu wypełnił dok najgłośniejszym ze swych ryków.

Do opuszczonych korytarzy niedaleko hangaru wtargnęli imperialni szturmowcy o twarzach osłoniętych białymi hełmami i ekranami przeciwsniegowymi. Razem z nimi kroczyła postać w ciemnych szatach — ich przywódca — przypatrując się pobojuwisku, które niegdyś było bazą Rebelii na Hoth. Czarna sylwetka Dartha Vadera odbijała się posępnie na tle białych ścian, stropu i podłogi. Idąc śnieżnymi katakumbami, z królewską godnością usunął się na bok przed spadającym fragmentem lodowego sufitu. Potem ruszył dalej tak wielkimi krokami, że jego żołnierze musieli bardzo się starać, aby za nim nadażyć.

Z frachtowca o kształcie spodka zaczął wydobywać się cichy, wznoszący się gwizd. Hań Solo stał przy sterach w

kabinie „Sokoła Millenium”, nareszcie czując się na właściwym miejscu. Szybko pstrykał kolejnymi przełącznikami spodziewając się, że tablica kontrolna rozbłyśnie dobrze mu znaną mozaiką światełek; zapaliły się tylko niektóre z nich.

Chewbacca także zauważył, że coś jest nie w porządku i szczerknął z niepokojem, podczas gdy Leia sprawdzała jakiś wskaźnik, który sprawiał wrażenie uszkodzonego.

— Jak teraz, Chewie? — zapytał Hań z niepokojem. Szczeknięcie Wookiego było zdecydowanie przeczące.

— Może mam wysiąść i popchnąć? — cierpko spytała księżniczka Leia, zaczynając się zastanawiać, czy statek przypadkiem nie trzyma się na słowie honoru Korelianina.

— Niech się Wasza Świątobliwość nie martwi. Zapali. Do ładowni wszedł z brzękiem Će Trzypeo, gestykulując i starając się zwrócić na siebie uwagę pilota.

— Sir — zaferował swe usługi robot — zastanawiam się, czy nie mógłbym... — jego czujniki wykryły groźny wyraz spoglądającej na niego twarzy. — To może poczekać — zakończył.

Przez lodowe korytarze bazy Rebeliantów szturmowcy Imperium szli jak burza. Wśród nich ogromnymi krokami sadił Darth Vader. Przyspieszyli kroku, pędząc w kierunku niskiego wycia pochodzącego z silników jonowych. Mięśnie Vadera napięły się lekko, kiedy wchodząc do hangaru ujrzał znajomy spodko-waty kształt „Sokoła Millenium”.

Wewnątrz pokieroszowanego frachtowca obaj piloci rozpaczliwie usiłowali uruchomić statek.

— Nigdy nie przedostaniemy się przez blokadę w tym nitowanym pudle — poskarżyła się księżniczka Leia.

Hań udał, że nie słyszy. Sprawdził za to stery „Sokoła” i usiłował zachować cierpliwość, choć jego towa rzyszka najwyraźniej ją straciła. Pstrykał przełącznikami na konsoli sterowania, ignorując pogardliwe spojrzenia księżniczki, która wyraźnie wątpiła, czy ta składanka części zamiennych i zespawanych kawałków złomu nie rozleci się, nawet jeśli uda im się przedostać przez blokadę.

Hań przycisnął guzik interkomu.

— Chewie...! Właż!

A potem powiedział mrugając do Lei:

— To cacko ma jeszcze w sobie kilka niespodzianek!

— Będzie niespodzianką, jak ruszymy z miejsca. Zanim mógł odparować starannie dobranym docinkiem, „Sokół” zatrzęsł się od salwy laserowej broni Imperium, której rozbłysk pojawił się za oknem sterowni. Wszyscy widzieli, jak oddział szturmowców wpada z wyciągniętą bronią w odległy koniec lodowego hangaru. Solo wiedział, że powgniatane poszycie „Sokoła” może wytrzymać siłę tej broni ręcznej, ale że zniszczy je potężniejsza broń podobna do bazooki, którą ustawiało z pośpiechem dwóch żołnierzy.

— Chewie! — ryknął Hań, błyskawicznie przypinając się do fotela. Tymczasem nieco uciszona młoda kobieta zajęła fotel nawigatora.

Na zewnątrz „Sokoła Millenium” szturmowcy z wojskową precyzją ustawiali ogromne działo. Wrota hangaru za nimi

zaczęły się otwierać. Jedno z potężnych działek laserowych „Sokoła” wysunęło się z pancerza, obróciło i wycelowało w atakujących.

Korelianin błyskawicznie zablokował wysiłki żołnierzy Imperium. Bez wahania wypuścił śmiertelny promień z działka. Wybuch rozrzucił ich opancerzone ciała po całym hangarze.

Chewbacca wpadł do kabiny.

— Będziemy musieli po prostu przełączyć — oznajmił Hań — i mieć nadzieję, że się uda.

Wookie rzucił się na swój fotel drugiego pilota w chwili, kiedy jeszcze jeden laserowy wybuch rozbłysnął za iluminatorem obok niego. Ryknął z oburzeniem i szarpnął dźwignie, na co odpowiedzią było upragnione wycie silników dochodzące głęboko z wnętrza „Sokoła”.

Korelianin uśmiechnął się do księżniczki, a oczy błyszczały mu radosnym „A nie mówiłem?”.

— Kiedyś wreszcie się przeliczysz — rzekła z lekkim wstrętem — i mam nadzieję, że będę tego świadkiem.

Hań tylko się uśmiechnął i odwrócił się do swego partnera.

— Wal! — krzyknął.

Ogromne silniki frachtowca zaryczały. Wszystko, co znajdowało się z tyłu statku, natychmiast stopniało w ognistych spalinach buchających z rufy. Chewbacca wściekle manipulował sterami, kątem oka śledząc uciekające w tył lodowe ściany. Frachtowiec wystrzelił z hangaru.

W ostatniej chwili, przed samym startem, mignęli Hanowi przed oczyma następnymi szturmowcami wbiegający do hangaru. Za nimi kroczył złowroźny olbrzym odziany w jednolitą czerń. A potem były już tylko wzywające ku sobie zamazane miliardy gwiazd.

Komandor Luke Skywalker zauważył „Sokoła Millennium”, który właśnie wystrzelił z hangaru, i z uśmiechem odwrócił się do Wedge’a i jego strzelca:

— Przynajmniej Hań się wydostał.

A potem cała trójka powlokła się do czekających myśliwców, X-skrzydłowców. Kiedy w końcu do nich dotarli, uścisnęli sobie dłonie i rozeszli się do swych statków.

— Powodzenia — powiedział Wedge na pożegnanie. — Zobaczymy się w punkcie zbornym.

Luke pomachał mu ręką i poszedł do swego X-skrzydłowca. Wśród gór lodu i śniegu ogarnęła go nagle fala samotności. Kiedy nie było nawet Hana, poczuł się rozpaczliwie opuszczony. Co gorsza, księżniczka Leia także była gdzie indziej; równie dobrze mogła być na drugim końcu wszechświata...

Wtem przywitał Luke’a znajomy gwizd.

— Erdwa! — wykrzyknął. — To ty?

Mały beczkowaty robot siedział wygodnie w gnieździe zainstalowanym specjalnie dla tych przydatnych jednostek R2, wystawiając głowę z górnej części statku. Erdwa zebrał odczyty zbliżającej się postaci i zagwizdał z ulgą, kiedy

komputery poinformowały go, że to Luke. Młody komandor też był zadowolony z ponownego spotkania robota, który towarzyszył mu w tak wielu poprzednich przygodach.

Wspinając się do kabiny i siadając za sterami Luke słyszał ryk myśliwca Wedge'a wzbijającego się w niebo w kierunku miejsca spotkania Rebeliantów.

— Włącz moc i przestań się martwić. Zaraz będziemy w powietrzu — rzekł w odpowiedzi na nerwowe pogwizdywania Erdwa.

Jego statek był ostatnim, który opuścił to, co przez bardzo krótki czas stanowiło ukrytą placówkę powstania przeciw tyranii Imperium.

Darth Vader, czarne widmo, kroczył przez ruiny rebelianckiej lodowej fortecy, zmuszając towarzyszących mu ludzi do rażnego truchtu. Admirał Piett rzucił się naprzód, aby przegonić swego pana.

— Zniszczonych siedemnaście statków — zameldował Czarnemu Lordowi. — Nie wiemy, ile się wydostało.

Nie odwracając głowy, Vader warknął zza maski:

— „Sokół Millenium”?

Piett wolałby uniknąć tego tematu, toteż zastanowił się przez chwilę zanim odpowiedział:

— Nasze czujniki śledzące są na niego namierzone — odparł z lekkim strachem.

Vader odwrócił się do admirała, górując swą potężną postacią nad przerażonym oficerem. Admirał poczuł rozchodzący się mu po ciele chłód, a kiedy jego dowódca znowu się odezwał, w jego głosie brzmiały nuty straszego losu jaki przypadnie w udziale jego podwładnym, jeśli jego rozkazy nie zostaną wykonane.

— Muszę mieć ten statek — wysyczał.

„Sokół Millenium” pędził w przestrzeń, a lodowa planeta gwałtownie kurczyła się, aż stanowiła tylko punkcik przyćmionego światła. Wkrótce nie wydawała się niczym więcej niż jedną z miliardów plamek światła rozrzuconych w czarnej pustce.

Lecz „Sokół” nie był jedynym statkiem, jaki wyrwał się w otwartą przestrzeń. Leciała za nim flota Imperium, w skład której wchodził gwiazdny niszczyciel „Mściciel” i z pół tuzina myśliwców TIE. Myśliwce wysunęły się przed ogromnego, wolniej poruszającego się niszczy cielą i zaczęły doganiać uciekającego „Sokoła Millenium”.

Wycie Chewiego przedarło się przez ryk silników. Statek zaczął kołysać się od salw oddawanych do niego z myśliwców.

— Wiem, wiem, widzę je — krzyknął Hań. Panowanie nad statkiem pochłaniało całą jego uwagę.

— Co widzisz? — zapytała Leia. Pokazał widoczne przez iluminator dwa bardzo jasne obiekty.

— Dwa gwiazdne niszczyciele pędzące prosto na nas.

— Na szczęście powiedziałeś, że nie będzie kłopotów, bo zaczęłabym się martwić — skomentowała z więcej niż odrobiną sarkazmu.

Statek chwiał się pod ciągłym ogniem myśliwców TIE, co znacznie utrudniało Trzypeo utrzymywanie równowagi. Jego metalowa powłoka odbijała się z hałasem od ścian, kiedy podchodził do Solo.

— Sir — zaczął ostrożnie — zastanawiam się... Hań Solo rzucił mu groźne spojrzenie.

— Wyłącz albo fonię, albo zasilanie — ostrzegł robota, który natychmiast uczynił to pierwsze.

Ciągle zmagając się ze sterami, aby utrzymać „Sokoła Millenium” na kursie, pilot odwrócił się do Wookiego.

— Chewie, jak się trzyma pole ochronne? Drugi pilot przekręcił przełącznik nad głową i szczerknął w odpowiedzi coś, co Solo zinterpretował jako potwierdzenie.

— Dobrze — powiedział Hań. — Przy podświetnej mogą być szybsze, ale ciągle możemy je wymanewrować. Trzymajcie się!

Korelianin nagle zmienił kurs. Oba gwiazdne niszczyciele Imperium wyłaniające się z przodu weszły prawie w zasięg rażenia „Sokoła”; ścigające myśliwce TIE i „Mściciel” także były niebezpiecznie blisko. Hań czuł, że nie ma innego wyjścia, jak rzucić swój statek w lot nurkowy pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Leia i Chewbacca poczuli, jak żołądki skaczą im do gardła, kiedy „Sokół” wykonał ten ostry manewr. Biedny Trzypeo musiał szybko przestroić mechanizmy wewnętrzne, jeśli chciał utrzymać się na swych metalowych nogach.

Hań zdał sobie sprawę, kiedy położył statek na ten obłąkańczy kurs, że jego załoga mogła uznać go za jakiegoś stukniętego gwiazdnego narwańca. Ale wiedział, co robi. Nie mając już między sobą „Sokoła”, gwiazdne niszczyciele były teraz na bezpośrednim kursie kolizyjnym z „Mścicielem”. Hań mógł spokojnie siedzieć i przyglądać się.

Alarmy zawyły ogłuszająco we wnętrzach wszystkich trzech gwiazdnych niszczycieli. Te ciężkie, masywne statki nie potrafiły reagować wystarczająco szybko. Jedna z maszyn zaczęła ospale skręcać w lewo usiłując uniknąć zderzenia z „Mścicielem”. Na nieszczęście zawadziła o towarzyszący mu statek. Obie fortece kosmiczne zadrżały gwałtownie. Uszkodzone niszczyciele zaczęły dryfować w przestrzeni, podczas gdy „Mściciel” kontynuował pościg za „Sokołem Millenium” i jego najwyraźniej obłąkanym pilotem.

O dwa mniej, pomyślał Hań. Lecz kwartet myśliwców TIE ciągle ścigał „Sokoła”, rażąc jego rufę pełną mocą laserowego ognia; ale Korelianin sądził, że i tak potrafi im umknąć.

Wybuchy laserowych pocisków gwałtownie wstrząsały statkiem, zmuszając Leię do rozpaczliwych wysiłków w celu utrzymania się w fotelu.

— To ich trochę przystopowało — krzyknął Hań z radością. — Chewie, przygotuj się do skoku w nad-światłą.

Nie było chwili do stracenia — atak laserowy był teraz intensywny, a myśliwce TIE były prawie tuż za nimi.

— Są bardzo blisko — ostrzegła księżniczka, kiedy w końcu odzyskała mowę. Hań spojrzał na nią ze złośliwym błyskiem w oku.

— Ach, tak? No to patrz.

Pchnął do przodu dźwignię hipemapędu, rozpaczliwie pragnąc uciec, ale także chcąc zaimponować zarówno swym sprytem, jak i fantastyczną mocą swego statku. Nic się nie stało! Gwiazdy, które do tego czasu powinny być jedynie smugami światła, tkwiły nieruchomo. Coś było zdecydowanie nie w porządku.

— Na co mam patrzeć? — zapytała Leia niecierpliwie.

Zamiast odpowiedzi jeszcze raz przesunął dźwignię prędkości nadświatłowej. I znowu nic.

— Chyba mamy kłopoty — mruknął. Poczł ucisk w gardle. Wiedział, że słowo „kłopoty” było poważnym niedomówieniem.

— Jeśli mogę coś powiedzieć, sir — zgłosił się Trzy-peo — zauważyłem wcześniej, że cały układ prędkości nadświatłowych zdaje się uszkodzony.

Chewbacca odrzucił głowę do tyłu i wydał długie i żalose wycie.

— Mamy kłopoty! — powtórzył Hań.

Laserowy atak wokół nich wzmógł się gwałtownie. „Sokół Millenium” mógł jedynie lecieć z maksymalną prędkością podświatłową dalej w przestrzeń, ciągnąc za sobą rój myśliwców TIE i jeden gigantyczny gwiazdny niszczyciel Imperium.

VII

Podwójne skrzydła myśliwca Luke'a Skywalkera były złożone razem, kiedy mały, lśniący statek błyskawicznie oddalał się od planety śniegu i lodu.

Podczas lotu młody komandor miał czas przemyśleć wydarzenia ostatnich paru dni. Mógł teraz rozważyć enigmatyczne słowa widmowego Bena Kenobiego i pomyśleć nad przyjaźnią z Hanem Solo, a także zastanowić się nad niepewnymi stosunkami z Leia Organa. Myśląc o ludziach, na których zależało mu najbardziej, nagle doszedł do pewnego wniosku. Spoglądając po raz ostatni na małą lodową planetę powiedział sobie, że nie ma już odwrotu.

Przerzucił kilka przełączników na tablicy kontrolnej i wprowadził swego X-skrzydłowca w ciasny skręt. Pędząc w nowym kierunku pełną szybkością, obserwował przesuwające się niebo. Właśnie wyrównywał kurs, kiedy Erdwa, wygodnie tkwiący w swym specjalnie zaprojektowanym gnieździe, zaczął gwizdać i buczeć.

Minikomputer specjalnie zainstalowany na statku do tłumaczenia elektronicznego języka jednostki R2 wyświetlił przekaz małego robota na ekranie tablicy kontrolnej.

— Nie dzieje się nic złego — powiedział Luke przeczytawszy tłumaczenie. — Ustalam tylko nowy kurs.

Erdwa zagwizdał podniecony i pilot odwrócił się, aby przeczytać uaktualniony wydruk na ekranie.

— Nie — odparł — nie przegrupujemy się z innymi. Wiadomość ta zaskoczyła robota, który natychmiast wydał serię szybkich dźwięków.

— Lecimy do systemu Dagobah — odpowiedział Luke. Mały robot ponownie gwizdnął, obliczając ilość paliwa znajdującego się w zbiornikach X-skrzydłowca.

— Mamy wystarczającą ilość energii. Erdwa wydał dłuższą, śpiewną serię buczeń i gwizdów.

— Nie potrzebują nas tam — odparł Luke na pytanie androida o planowane spotkanie Rebeliantów.

Erdwa łagodnym gwizdem przypomniał mu na to rozkaz księżniczki Lei. Młody pilot wykrzyknął z rozdrażnieniem.

— Cofam ten rozkaz! A teraz bądź cicho. Mały robot umilkł. Luke był ostatecznie komandorem Przymierza i jako taki mógł odwoływać rozkazy innych. Robił małe poprawki sterami, kiedy android znowu zaczął.

— Tak, Erdwa — westchnął zapytany.

Tym razem robot wydał serię cichych dźwięków, starannie dobierając każdy gwizd i pisk. Nie chciał niepokoić Luke'a, ale odkrycia jego komputera były wystarczająco ważne, aby o nich zameldować.

— Tak, wiem, że systemu Dagobah nie ma na żadnej z naszych map nawigacyjnych. Ale nie martw się. On istnieje.

Jeszcze jeden zmartwiony gwizd jednostki R2.

— Jestem absolutnie pewny — rzekł chłopak, starając się uspokoić swego mechanicznego towarzysza. — Zaufaj mi.

Ufał czy nie człowiekowi za sterami X-skrzydłowca, wydał tylko potulne ciche westchnienie. Przez chwilę zupełnie milczał, jakby rozmyślając. Potem zagwizdał znowu.

— Tak, Erdwa?

Ten przekaz robota był starannie sformułowany niż poprzedni — można było nawet te gwizdane zdania nazwać taktownymi. Wydawało się, że nie ma zamiaru urazić człowieka, którego opiece się powierzył, ale czy nie było możliwe, zastanawiał się robot, że umysł tej ludzkiej istoty działa wadliwie? Przecież przez długi czas leżał w zaspach Hoth. Albo, jeszcze jedna możliwość wyliczona przez Erdwa, może lodowa istota wampa uderzyła go mocniej, niż ocenił to 2-1 B?...

— Nie — odpowiedział Luke — nie boli mnie głowa. Czuję się świetnie. Dlaczego?

Ćwierknięcie robota było samą niewinnością.

— Żadnych zawrotów głowy, żadnej senności. Nie mam nawet blizn. Następny gwizd wzniosł się pytająco.

— Nie, dziękuję, Erdwa. Wolałbym jeszcze przez jakiś czas być na sterowaniu ręcznym.

Wtedy przysadzisty robot wydał końcowe piśnięcie, które zabrzmiało dla Luke'a jak danie za wygraną. Pilota bawiła troska mechanicznego towarzysza o jego zdrowie.

— Zaufaj mi, Erdwa — rzekł z łagodnym uśmiechem. — Wiem, dokąd lecę, i zawiozę nas tam bezpiecznie. To niedaleko.

Han Solo był zdesperowany. "Sokół" w dalszym ciągu nie mógł zgubić czterech ścigających go myśliwców TIE i gwiazdnego niszczyciela.

Popędził do ładowni statku i zaczął jak szalony naprawiać uszkodzony zespół hipernapędu. Było prawie niemożliwością przeprowadzić delikatną naprawę, gdy „Sokół” trząsał się od każdej salwy myśliwców.

Hań rzucał rozkazy swemu drugiemu pilotowi, który po kolei sprawdzał mechanizmy.

— Dopalacz poziomy.

Wookie szczeknął. Urządzenie wydawało mu się w porządku.

— Tłumik przepływowy.

Jeszcze jedno szczeknięcie. Ta część także była na swoim miejscu.

— Chewie, podaj mi hydroklucz.

Chewbacca rzucił się do komórki z narzędziami. Hań chwycił klucz, a potem zatrzymał się i spojrzał na swego wiernego przyjaciela.

— Nie mam pojęcia, jak uda nam się z tego wyjść — zwierzył się.

W tym momencie coś uderzyło z hukiem w burtę „Sokoła” powodując ostre kołysanie i skręt.

Drugi pilot szczeknął z niepokojem.

Hań wytrzymał uderzenie, ale hydroklucz wyleciał mu z ręki. Kiedy udało mu się odzyskać równowagę, wrzasnął do Wookiego przekrzykując hałas:

— To nie był strzał z lasera! Coś nas uderzyło!

— Hań... Hań... — zawołała do niego z kokpitu księżniczka Leia. Była zdesperowana. — Chodź tu prędko!

Wyskoczył z ładowni i popędził z Chewbacca z powrotem do kokpitu. Ostłupieli na widok, jaki ujrzeli przez iluminatory.

— Asteroidy!

Jak okiem sięgnąć, ogromne kawały latających skał chaotycznie pędziły w przestrzeń. Jak gdyby te cholerne statki pościgowe Imperium nie sprawiały wystarczających kłopotów!

Hań błyskawicznie wrócił na fotel pilota, jeszcze raz przejmując stery „Sokoła”. Jego drugi pilot z powrotem usadowił się we własnym fotelu w chwili, kiedy szczególnie duży asteroid przeleciał obok dziobu statku.

Korelianin czuł, że musi zachować jak największy spokój, bo w przeciwnym razie mogli nie przetrwać dłużej niż kilka chwil.

— Chewie — rozkazał — ustaw na dwa-siedem-jeden.

Leia głośno wstrzymała oddech. Wiedziała, co oznacza rozkaz Hana i ostłupiała na tak lekkomyślny plan.

— Chyba nie chcesz lecieć w pole asteroidów? — zapytała w nadziei, że źle zrozumiała.

— Nie martw się, nie polecą za nami w tę kaszę — odkrzyknął wesoło.

— Jeśli wolno mi panu przypomnieć, sir — Trzy-peo zgłosił się, próbując wywrzeć racjonalny wpływ

— prawdopodobieństwo pomyślnej nawigacji przez pole asteroidów w przybliżeniu jeden do dwu tysięcy czterystu sześćdziesięciu siedmiu.

Wydawało się, że nikt go nie usłyszał.

Księżniczka skrzywiła się.

— Nie musisz tego robić, żeby mi zaimponować — rzekła, kiedy kolejny asteroid potężnie uderzył w „Sokoła”.

Hań bawił się wspaniale i postanowił zignorować jej insynuacje.

— Trzymaj się, kochanie — zaśmiał się, mocniej ujmując stery. — Polatamy sobie trochę.

Wzdrygnęła się zrezygnowana i mocno przypięła do fotela.

Če Trzypeo, który ciągle mamrotał jakieś wyliczenia, wyłączył swój syntetyzowany ludzki głos, kiedy Wookie odwrócił się i zawarczał na niego.

Hań skoncentrował się tylko na wykonaniu swego planu. Wiedział, że się uda; musi się udać — nie było innego wyjścia. Polegając bardziej na intuicji niż na instrumentach, sterował statkiem przez nieustający deszcz skał. Rzucając okiem na ekrany zauważył, że myśliwce TIE i „Mściciel” jeszcze nie zaniechały pościgu. To będzie imperialny pogrzeb, pomyślał manewrując „Sokołem” przez grad asteroidów.

Spojrzał na inny ekran i uśmiechnął się na widok zderzenia asteroidów z myśliwcem TIE. Na ekranie zachował się ślad eksplozji w postaci rozbłysku światła. Hań pomyślał, że tam na pewno nikt nie pozostał przy życiu.

Piloci myśliwców ścigających „Sokoła” byli jednymi z najlepszych w Imperium. Nie mogli jednak mierzyć się z Hanem Solo. Albo nie byli wystarczająco dobrzy, albo wystarczająco szaleni. Tylko wariat mógł rzucić swój statek na samobójczy kurs przez te asteroidy. Szaleni, czy nie, piloci nie mieli innego wyboru, jak starać się usiąść mu na ogonie. Niewątpliwie znacznie lepiej byłoby dla nich, gdyby zginęli w tej nawale kamieni, niż gdyby musieli zameldować swemu mrocznemu panu o niewykonaniu zadania.

Największy ze wszystkich gwiazdny niszczyciel Imperium z królewską godnością opuścił orbitę Hoth. Jego boków strzegły dwa inne gwiazdne niszczyciele, a całej grupie towarzyszyła eskadra mniejszych statków. W środkowym niszczycielu admirał Piett stał przed prywatną komorą medytacji Dartha Vadera. Jej górna połowa otworzyła się powoli i mógł dojrzeć w półmroku spowitą w czarny płaszcz postać swego pana.

— Panie — rzekł Piett z szacunkiem.

— Proszę wejść, admirale.

Wchodząc do skąpo oświetlonego pomieszczenia i zbliżając się do Czarnego Lorda Sith czuł wielki podziw pomieszany z lękiem. Sylwetka jego pana na tyle odcinała się od otoczenia, że Piett mógł rozróżnić tylko zarys mechanicznych wysięgników, które właśnie odłączały przewód respiratora od głowy Va-dera. Zadrżał, kiedy

uświadomił sobie, że może jest pierwszym człowiekiem, który widział go bez maski.

Widok był przerażający. Vader, odwrócony do Piet-ta plecami, był ubrany całkowicie na czarno; lecz ponad kołnierzem przeblyskiwała jego naga głowa. Choć admirał próbował odwrócić wzrok, chorobliwa fascynacja kazała mu patrzeć na nią, bezwłosą, podobną do trupiej czaszki. Była pokryta labiryntem grubych blizn wijących się na trupiobladej skórze. Przeszło mu przez myśl, że mogło drogo kosztować oglądanie tego, czego nie widział nikt inny. W tym momencie ręce robota ujęły czarny hełm i delikatnie opuściły go na głowę Czarnego Lorda.

Czując hełm na miejscu, Darth Vader odwrócił się, aby wysłuchać meldunku admirała.

— Nasze statki pościgowe dostrzegły „Sokoła Millennium”, panie. Wszedł w pole asteroidów.

— Nie obchodzą mnie asteroidy, admirałe — powiedział Vader powoli zaciskając pięść. — Chcę dostać ten statek, a nie usprawiedliwienia. Jak prędko będzie pan miał Skywalkera i tamtych z „Sokoła Millennium”?

— Wkrótce, lordzie Vader — odpowiedział admirał drżąc ze strachu.

— Tak, admirałe... — powiedział powoli Darth Vader. — Wkrótce.

Dwa gigantyczne asteroidy pędziły w kierunku „Sokoła Millennium”. Jego pilot szybko położył statek w ryzykowny skręt, który pozwolił mu uniknąć ich po to, aby prawie zderzyć się z trzecim.

Za umykającym w polu asteroidów „Sokołem” pędziły imperialne myśliwce TIE, które manewrowały wśród skał depcząc mu po piętach. Nagle bezkształtny kawał skały otarł się o jeden z nich i posłał go w beznadziejnie niekontrolowany skręt. Pozostałe kontynuowały pościg w towarzystwie „Mściciela”, który niszczył asteroidy pędzące jego tropem.

Hań Solo dostrzegł ścigające go statki przez iluminatory swej kabiny, kiedy obracał statek wokół własnej osi, nurkując pod jeszcze jednym asteroidem, a potem ustawił frachtowiec z powrotem we właściwej pozycji. Mały odłamek skały odbił się od statku z głośnym, rozbrzmiewającym echem uderzeniem, wprawiając Chewbaccę w przerażenie i zmuszając Če Trzypeo do zakrycia soczewek złocistą ręką.

Hań zerknął na Leię. Siedziała, wpatrując się z kamienną twarzą w rój asteroidów. Sprawiała wrażenie, jakby chciała znajdować się o tysiące mil stąd.

— No — rzucił — mówiłaś, że chcesz zobaczyć, jak mi się powinie noga. Nie patrzyła na niego.

— Cofam to.

— Ten gwiazdny niszczyciel zwalnia — oznajmił pilot, sprawdzając odczyty komputera.

— Dobrze — odparła krótko. Przestrzeń na zewnątrz kabiny ciągle była pełna rozpędzonych asteroidów.

— Jeśli jeszcze trochę tu zostaniemy, zetrą nas na proszek — zauważył.

— Jestem przeciw — odparła sucho Leia.

— Musimy wydostać się z tego pola.

— Brzmi to rozsądnie.

— Podejdę bliżej do jednego z tych dużych — dodał Hań.

To wcale nie brzmiało rozsądnie.

— Bliżej! — wykrzyknął Trzypeo, wyrzucając w górę metalowe ręce. Jego sztuczny mózg ledwo był w stanie przyjąć to, co właśnie zarejestrowały jego receptory słuchowe.

— Bliżej! — powtórzyła księżniczka z niedowierzaniem.

Chewbacca spojrział w zdumieniu na swego partnera i szczechnął.

Nikt z całej trójki nie rozumiał, dlaczego ich kapitan, który ryzykował życiem, aby ich wszystkich uratować, teraz usiłuje spowodować ich śmierć! Hań wprowadził kilka prostych poprawek w urządzeniach sterowniczych kabiny i wmanewrował „Sokoła Millenium” pomiędzy dwa duże asteroidy, a potem skierował statek prosto na obiekt wielkości Księżyca.

Kiedy „Sokół Millenium”, ciągle ścigany przez myśliwce TIE, leciał dokładnie nad asteroidem, na jego skalistej powierzchni wybuchła błyszcząca prysznic mniejszych skał. „Sokół” jakby prześlizgiwał się nad powierzchnią małej planety, jałowej i zupełnie pozbawionej życia.

Z mistrzowską precyzją Hań Solo skierował statek ku jeszcze jednemu ogromnemu asteroidowi, największemu, jaki dotąd spotkali. Przyzywając wszystkie umiejętności, dzięki którym zdobył reputację w całej Galaktyce, tak manewrował maszyną, że jedynym obiektem między nim i myśliwcami była ta śmiertelnie groźna latająca skała. Nagle pojawił się krótki, jasny rozbłysk światła, a potem już nic. Roztrzaskane szczątki dwu myśliwców TIE zdryfowały w ciemność, a potworny a-steroid płynął dalej, nie zbaczając z kursu.

Hań poczuł wewnętrzny blask tak jasny, jak widok, który dopiero co rozjaśnił przestrzeń. Uśmiechnął się do siebie w cichym tryumfie. Wtem zauważył obraz na głównym wskaźniku radarowym konsoli i trącił swego drugiego pilota.

— Zobacz — Hań wskazał obraz. — Chewie, zbierz odczyty. Wygląda całkiem nieźle.

— Co to? — spytała Leia.

Pilot „Sokoła” zignorował jej pytanie.

— Powinno się nadać — powiedział.

Kiedy lecieli blisko powierzchni asteroidu, Hań spojrział na skalisty grunt, zatrzymując wzrok na zacienionym obszarze wyglądającym jak olbrzymi krater. Opuścił statek do poziomu powierzchni i wleciał prosto do krateru, którego podobne do miski ściany nagle uniosły się wokół statku.

Dwa myśliwce ciągle pędziły za nim, strzelając z dział laserowych i usiłując powtórzyć każdy jego manewr.

Hań Solo wiedział, że musi zastosować więcej sztuczek i lecieć ostrzej, jeśli ma zgubić te śmiertelnie groźne statki

pościgowe. Spostrzegłszy przez przedni iluminator wąską rozpadlinę, przechylił „Sokoła Millenium” na bok i przeleciał bokiem wzdłuż głębokiego skalistego wąwozu.

Nieoczekiwanie oba myśliwce poleciały za nim. Jeden z nich sychnął iskrami, kiedy otarł się o ścianę metalowym poszyciem.

Skręcając, przechylając i obracając statek, Hań pędził wąskim przesmykiem. Czarne niebo z tyłu rozbłysło, kiedy dwa myśliwce wpadły na siebie, a potem eksplodowały na skalistym podłożu.

Pilot zmniejszył prękość. Ciągle jeszcze nie był bezpieczny od imperialnych łowców. Lustrując kanion spostrzegł coś ciemnego — rozwarte wejście do jaskini na samym dnie krateru. Być może wystarczająco duże, aby pomieścić „Sokoła Millenium”. Jeśli nie, on i jego załoga i tak wkrótce się o tym przekonają.

Zwalniając, wprowadził statek do wejścia i obszernego tunelu. Miał nadzieję, że będzie to idealna kryjówka. Wziął głęboki oddech, kiedy cienie jaskini błyskawicznie pochłonęły jego statek.

Malutki X-skrzydłowiec wchodził w atmosferę planety Dagobah.

Kiedy podchodził do planety, Luke'owi udało się dojrzeć przez grubą warstwę gęstych chmur część zakrzywionej powierzchni. Nie istniały jej mapy i planeta była właściwie nieznana. Jakoś tu dotarł, chociaż nie był pewien, czy do tego niezbadanego sektora przestrzeni kierowała statkiem tylko jego własna ręka.

Erdwa Dedwa, który siedział z tyłu X-skrzydłowca, analizował mijane gwiazdy i za pośrednictwem ekranu komputera kierował swe uwagi do pilota.

Chłopak przeczytał zapis interpretera.

— Tak, Erdwa, to Dagobah — odpowiedział małemu robotowi, a potem wyjrzał przez okno kabiny, kiedy myśliwiec zaczął schodzić w stronę powierzchni planety. — Wygląda trochę ponuro, prawda?

Erdwa pisnął, po raz ostatni próbując sprowadzić swego pana na bardziej rozsądny kurs.

— Nie — odparł Luke. — Nie chcę zmienić mojej decyzji. — Sprawdził monitory statku i nieco się zdenerwował. — Nie mam żadnych odczytów wskazujących na miasta czy jakąkolwiek technologię. Jest za to mnóstwo sygnałów form życia. Tam w dole jest coś żywego.

Jego towarzysz też się martwił i zostało to przełożone jako lęklive pytanie.

— Tak, jestem pewien, że robotom nie grozi tu żadne niebezpieczeństwo. Czy możesz wreszcie się uspokoić? — Luke zaczynał się irytować. — Po prostu będziemy musieli poczekać na rozwój wypadków.

Z tyłu kabiny doleciało go żalosne elektroniczne piśnienie.

— Przestań się wreszcie martwić.

X-skrzydłowiec płynął poprzez strefę zmierzchu oddzielającą czarną jak smoła przestrzeń od powierzchni

planety. Młody komandor wziął głęboki oddech i skierował statek w białą watę mgieł.

Nic nie widział. Widoczność była zredukowana do zera przez gęstą biel napierającą na okna osłony kabiny. Jedynym wyjściem było sterowanie X-skrzydłowcem wyłącznie za pomocą przyrządów. Ale wskaźniki niczego nie rejestrowały, nawet kiedy leciał bliżej planety. Rozpaczliwie poruszał sterami, nie potrafiąc już nawet ocenić wysokości.

Kiedy włączył się brzęczyk alarmowy, Erdwa dołączył do jego przeszywającego dźwięku własną gorączkową serię gwizdów i pisków.

— Wiem, wiem — krzyknął Luke, ciągle zmagając się ze sterami statku. — Żaden wskaźnik nie działa! Nic nie widzę. Trzymaj się, zaczynam lądowanie. Miejmy nadzieję, że jest tam coś pod nami.

Robot znowu pisnął, ale jego dźwięki zostały skutecznie zagłuszone rozrywającym uszy rykiem odpalanych retrorakiet X-skrzydłowca. Pilot poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, kiedy statek zaczął gwałtownie spadać. Zaparł się w fotel, przygotowując na uderzenie. Statek zachwiał się i usłyszał straszny dźwięk, jakby w pędzie łamał konary drzew.

Kiedy X-skrzydłowiec w końcu zatrzymał się ze zgrzytem, wstrząs prawie wyrzucił pilota przez okno kabiny. Pewny, że w końcu jest na ziemi, z westchnieniem ulgi odchylił się w fotelu. Potem pociągnął przełącznik podnoszący osłonę kabiny. Kiedy uniósł głowę, żeby po raz pierwszy spojrzeć na obcy świat, Luke Skywalker wstrzymał oddech.

X-skrzydłowiec był całkowicie spowity mgłami, a jego jasne światła lądowania nie sięgały dalej niż na kilka metrów. Wzrok mężczyzny stopniowo przystosowywał się do otaczającego go mroku. Zaczął odróżniać poskręcane zamglone pnie i korzenie groteskowych drzew. Wydostał się z kabiny, a robot odłączył się od zacisznego gniazda, w którym siedział.

— Erdwa — powiedział Luke — zostań tu, póki się nie rozejrzę.

Ogromne szare drzewa miały powykęcane i splątane korzenie, które wznosiły się wysoko ponad Luke'em, zanim połączyły się w *pnie*. Podniósł głowę wysoko i ujrzał, jak w górze konary tworzą jakby baldachim z nisko zwisającymi chmurami. Ostrożnie wyczołgał się na długi dziób statku i stwierdził, że lądując wpadł w niewielkie oczko wodne spowite mgłą.

Erdwa wydał krótki gwizd, po którym nastąpił głośny plusk i cisza. Chłopak odwrócił się, ale zdążył zobaczyć tylko zaokrągloną górną część robota znikającą pod zamgloną powierzchnią wody.

— Erdwa! Erdwa! — zawołał. Ukląkł na gładkim kadłubie statku i pochylił się do przodu, z niepokojem wypatrując swego mechanicznego przyjaciela.

Ale czarne wody były spokojne. Po małej jednostce R2 nie zostało ani śladu. Nie potrafił ocenić głębokości tego

nieruchomego, ciemnego stawu; wydawał się bardzo głęboki. Nagle zdał sobie sprawę, że może już nigdy nie ujrzeć swego robota. Właśnie wtedy z wody wynurzył się mały peryskop i Luke usłyszał słaby bulgoczący gwizd.

Co za ulga! — pomyślał, obserwując jak peryskop zmierza do brzegu. Podbiegł wzdłuż dziobu myśliwca i kiedy do linii brzegowej brakowało mniej niż trzy metry, młody komandor wskoczył do wody i wdrapał się na brzeg. Obejrzał się i zobaczył, że Erdwa jeszcze posuwa się w kierunku plaży,

— Pośpiesz się — krzyknął.

Czymkolwiek było to, co nagle poruszyło się w wodzie za Erdwa, poruszyło się zbyt szybko i za bardzo było przysłonięte mgłą, aby Luke mógł to dokładnie zidentyfikować. Widział tylko potężny ciemny kształt. Stworzenie na chwilę uniosło się, a potem zanurkowało z głośnym uderzeniem o metalowy korpus robota. Usłyszał żalony elektroniczny krzyk o pomoc. A potem nic...

Stał skamieniały ze zgrozy, wpatrując się w czarne wody spokojne jak sama śmierć. Na powierzchni zaczęły pękać wiele mówiące bąbelki powietrza. Serce zabiło mu ze strachu, kiedy zdał sobie sprawę, że stoi za blisko stawu. Lecz zanim zdołał się poruszyć, to coś czające się pod czarną powierzchnią wypluło małego robota. Erdwa zakreślił w powietrzu wdzięczny łuk i wbił się w miękki placek szarego mchu.

— Erdwa — wrzasnął Luke biegnąc do niego — nic ci nie jest?

Był wdzięczny, że metalowe roboty najwyraźniej ani nie smakują, ani nie są strawne dla mrocznej istoty czającej się w bagnie.

Jego mechaniczny przyjaciel odpowiedział serią słabych gwizdów i pisków.

— Jeśli mówisz, że przybycie tu było kiepskim pomysłem, zaczynam się z tobą zgadzać — przyznał Luke, rozglądając się po przygnębiającym otoczeniu. Pomyślał, że w lodowym świecie miał przynajmniej ludzkie towarzystwo. Wydawało się, że z wyjątkiem Erdwa były tutaj tylko te ponure mokradła i stworzenia, które, jak dotąd niewidoczne, mogły czaić się w zapadających ciemnościach.

Zmierzch nadchodził szybko. Mężczyzna trząsł się w gęstniejącej mgle, która zamykała się nad nim jak żywa istota. Pomógł robotowi wstać i wytarł cylindryczny korpus z pokrywającego go szlamu. Pracując słyszał niesamowite, nieludzkie odgłosy wydobywające się z odległej dżungli i wzdrygał się, wyobrażając sobie stworzenia, które mogły je wydawać.

Zanim skończył czyścić Erdwa zauważył, że niebo znacznie pociemniało. Groźne cienie majaczyły wszędzie wokół, a odległe nawoływania nie wydawały się już tak bardzo dalekie. Spojrzeli razem z Erdwa na otaczającą ich upiorną bagienną dżunglę, po czym przysunęli się trochę bliżej do siebie. Luke zauważył parę małych, lecz złośliwych oczu mrugających na nich z

cienistego podszycia, które zaraz zniknęły z tupotem maleńkich stóp.

Nie chciał kwestionować rady Bena Kenobiego, zaczynał jednak zastanawiać się, czy to widmo w obszernych szatach jakoś się nie pomyliło, posyłając go na tę planetę do tajemniczego nauczyciela Jedi.

Spojrzał na swój X-skrzydłowiec i jęknął, kiedy zobaczył, że cała jego dolna część jest zupełnie zanurzona w ciemnych wodach.

— W jaki sposób mamy go z powrotem uruchomić? — Wszystkie te okoliczności wydawały się beznadziejne i nieco śmieszne. — Co my tu robimy? — jęknął.

Udzielenie odpowiedzi na którekolwiek z tych pytań przekraczało skomputeryzowane możliwości Erdwa, ale na wszelki wypadek wydał cichy pocieszający gwizd.

— To jest jak fragment snu — powiedział Luke. Potrząsnął głową zmarznięty i przestraszony. — A może zaczynam wariować?

W każdym razie był pewien, że nie mógł wpędzić się w sytuację bardziej zwariowaną.

VIII

Stojąc na głównym pokładzie swego ogromnego gwiazdowego niszczyciela, Darth Vader wyglądał jak wielki milczący bóg.

Patrzył przez duże prostokątne okno umieszczone pod pokładem na rozszalałe pole asteroidów bombardujących jego statek. Za oknami pędziły setki kamieni; niektóre zderzały się z innymi, wybuchając jaskrawym światłem.

Jeden z mniejszych statków rozpadł się pod uderzeniem ogromnego asteroidu na oczach Vadera. Pozornie nieporuszony odwrócił się, aby spojrzeć na ciąg dwudziestu holograficznych obrazów. Te hologramy odtwarzały w trzech wymiarach rysy dwudziestu dowódców statków Imperium. Wizerunek tego, którego statek właśnie został unicestwiony, szybko zniknął, prawie tak szybko, jak przepadały w nicość rozżarzone cząstki jego statku.

Admirał Piett i adiutant cicho stanęli za swym odzianym w czerń panem, który zwrócił się do portretu w środku dwudziestki hologramów. Obraz stale był zakłócany i ciągle to zniknął, to pojawiał się, podczas gdy kapitan Needa z gwiazdowego niszczyciela „Mści-ciel” zdawał raport. Jego pierwsze słowa utonęły w zakłóceniach.

— ...wtedy po raz ostatni pojawili się na naszych ekranach — ciągnął kapitan Needa. — Biorąc pod uwagę rozmiary uszkodzeń, jakie ponieśliśmy, oni także musieli zostać zniszczeni.

Vader nie zgadzał się z tym. Znał moc „Sokoła Millenium” i całkiem dobrze zdolności jego zarozumiałego pilota.

— Nie, kapitanie — warknął gniewnie — oni żyją. Wszystkie dostępne statki mają przeszukiwać pole asteroidów aż do ich znalezienia.

Po wydaniu przez Vadera tego rozkazu, wizerunki kapitana Needy oraz pozostałych osiemnastu kapitanów znikły. Kiedy rozpląnął się ostatni hologram, Czarny Lord obrócił się, wyczuwając dwu ludzi stojących za nim.

— Cóż to jest tak ważnego, że nie można poczekać, admirale? — zapytał władczo. — Mów!

Twarz zapytanego pobladła ze strachu, a głos trząśł mu się prawie tak bardzo jak on sam.

— To... Imperator.

— Imperator? — powtórzył głos za czarną maską oddechową.

— Tak — opowiedział admirał. — Rozkazuje panu połączyć się z nim.

— Proszę wyprowadzić statek z pola asteroidów — rozkazał Vader — w położenie, skąd będzie można dokonać wyraźnej transmisji.

— Tak, panie.

— I proszę zakodować sygnał do mojej osobistej kabiny.

„Sokół Millenium” spoczywał ukryty w małej, ciemnej choć oko wykol i ociekającej wilgocią jaskini. Załoga „Sokoła” wygasła silniki, tak że z małego statku nie wydobywał się żaden dźwięk.

W kabinie nawigacyjnej Hań Solo i jego kudłaty drugi pilot właśnie kończyli wyłączanie elektronicznych układów statku. Wszystkie kontrolki przygasty, a we wnętrzu zrobiło się prawie tak ciemno jak w jaskini, w której się schronili.

Hań spojrzał na Leię i uśmiechnął się.

— Romantycznie się tu robi.

Chewbacca zamruczał. Czekala na nich robota i Wo-okie potrzebował całkowitej uwagi pierwszego pilota, jeśli mieli naprawić źle działający hipernapęd.

Zirytowany Hań wrócił do pracy.

— Co tak zrzędzisz? — warknął.

Zanim Wookie zdołał odpowiedzieć, do Korelianina zbliżył się nieśmiało robot protokołarny i zadał mu nurtujące go pytanie:

— Prawie boję się zapytać, proszę pana, ale czy wyłączenie wszystkiego poza układami zasilania awaryjnego obejmuje także mnie?

Chewbacca wyraził swoją opinię dźwięcznym potwierdzającym szczeknięciem, ale Hań miał inne zdanie.

— Nie — powiedział. — Będziesz nam potrzebny do porozumiewania się z kochanym „Sokołem” i wykrycia, co stało się z naszym hipernapędem. — Spojrzał na księżniczkę i dodał: — Jak sobie Wasza Świątobliwość radzi z makrolutownicą?

Zanim Leia zdołała odciąć się odpowiednią ripostą, „Sokół Millenium” skoczył w przód od nagłego uderzenia w kadłub. Wszystko, co nie było przymocowane, przeleciało przezabinę; nawet ogromny Wookie, rycząc wniebogłosy, musiał walczyć o utrzymanie się w fotelu.

— Trzymajcie się! — wrzasnął Hań. — Uwaga! Če Trzypeo wpadł z brzękiem na ścianę, a kiedy przyszedł do siebie, powiedział:

— Bardzo możliwe, że ten asteroid nie jest stabilny, proszę pana. Solo zmierzył go wzrokiem.

— Świetnie, że tu jesteś i możesz nam to powiedzieć.

Statek zakołysał się ponownie jeszcze gwałtowniej niż przedtem.

Wookie znowu zaryczał, Trzypeo zachwiał się, a Leia przeleciała przez kabinę prosto w czekające ramiona kapitana.

Kołysanie statku ustało tak nagle, jak się zaczęło. Leia jednak ciągle stała w objęciach Hana. Choć raz nie odsunęła się, a on mógł prawie przysiąc, że sama go obejmowała.

— Ej, księżniczko — rzekł, przyjemnie zaskoczony — to takie niespodziewane.

W tym momencie zaczęła się odsuwać.

— Puść — powiedziała z naciskiem, próbując wysunąć się z jego ramion. — Zaczynam być zła.

Zobaczył, jak jej rysy przybierają stary znany mu wyraz arogancji.

— Nie wyglądasz na rozgniewaną — skłamał.

— A jak wyglądam?

— Pięknie — odpowiedział zgodnie z prawdą, z uczuciem, które go zdumiało.

Leia nagle poczuła się skrępowana. Policzki jej się zaróżowiły, a kiedy zdała sobie sprawę, że oblała się rumieńcem, odwróciła spojrzenie. Ale w dalszym ciągu nie próbowała się tak naprawdę uwolnić.

Hań jakoś nie mógł pozwolić, aby ten czuły moment trwał dłużej.

— I na podekscytowaną — musiał dodać. Leia wpadła we wściekłość. Stając się na powrót gniewną księżniczką i wyniosłą senator, szybko odsunęła się od niego i przybrała swoją najbardziej królewską postawę.

— Żałuję, kapitanie — rzekła czerwona ze złości — znaleźć się w twoich ramionach to za mało, żeby się podekscytowała.

— No cóż, mam nadzieję, że nie liczyłeś na nic więcej — warknął, bardziej wściekły na siebie niż na jej kąśliwe słowa.

— Nie liczyłam na nic — odparła z oburzeniem — poza tym, że zostawisz mnie w spokoju.

— Zostawię cię w spokoju, jeśli tylko się odsuniesz. Leia, zmieszana, zdała sobie sprawę, że rzeczywiście stoi dość blisko, więc odeszła o krok i spróbowała zmienić temat:

— Nie sądzisz, że czas zabrać się za statek? Hań zmarszczył się.

— Jak dla mnie, może być — rzekł zimno nie patrząc na nią.

Szybko okręciła się na pięcie i wyszła z kabiny. Przez chwilę Hań stał bez ruchu, odzyskując równowagę. Spojrzał z zakłopotaniem na milczącego teraz Wookiego i robota, którzy byli świadkami całego zajścia.

— Chodź, Chewie, weźmy się za to latające krótkie spięcie — powiedział szybko, aby zakończyć niezręczną sytuację.

Drugi pilot szczechnął z aprobatą, a potem wyszedł z kabiny za kapitanem. Wychodząc Hań obejrzał się na Trzypeo, który ciągle stał w półmroku jakby mu odjęło mowę.

— Ty też, złota pało.

— Muszę przyznać — mruknął robot z szuraniem wychodząc z kabiny — że czasami nie rozumiem ludzkiego zachowania.

Światła myśliwca Luke'a Skywalker'a przebijały ciemność bagnistej planety. Statek zanurzył się głębiej w mętną wodę, ale wystawał nad jej powierzchnię jeszcze na tyle, że komandor mógł przenieść z ładowni potrzebne zapasy. Wiedział, że już niedługo X-skrzydłowiec zatonie jeszcze głębiej — prawdopodobnie całkowicie. Pomyślał sobie, że szansę jego przeżycia mogą wzrosnąć, jeśli zbierze jak najwięcej zapasów.

Było już tak ciemno, że prawie nic nie widział. Usłyszał jakiś ostry trzask w gęstej dżungli i poczuł zimny dreszcz. Chwyciwszy pistolet był gotów rozwalić to, co mogłoby wyskoczyć z dżungli i zaatakować go. Nic takiego się nie stało, więc z powrotem wczepił broń do kabury i dalej rozpakowywał sprzęt.

— Gotów do regeneracji zasilania? — spytał Erdwa, który cierpliwie czekał na własną formę posiłku. Luke wyjął mały piec rozszczepieniowy ze skrzynki z wyposażeniem i włączył go, zadowolony nawet ze słabego blasku wydzielanego przez małe urządzenie grzewcze, wyjął kabel zasilania i podłączył go robotowi w miejscu, gdzie wystawał element z grubsza przypominający nos. Kiedy tylko energia rozplynęła się po elektronicznym wnętrzu, krępy robot gwizdem wyraził swoje uznanie.

Luke usiadł i otworzył pojemnik ze spreparowaną żywnością. Jedząc przemawiał do robota:

— Teraz muszę tylko znaleźć tego Yodę, jeśli w ogóle istnieje.

Spojrzał nerwowo na cienie czające się w dżungli i poczuł się przestraszony i nieszczęśliwy. Miał teraz więcej wątpliwości, co do swego zadania.

— To naprawdę jest dziwne miejsce na znalezienie Mistrza Jedi — rzekł do małego robota. — Ciarki mnie od tego przechodzą.

Z brzmienia gwizdu robota było jasne, że Erdwa podziela opinię o tym świecie moczarów.

— Chociaż — ciągnął Luke niechętnie próbując jedzenia — jest tu coś znajomego. Czuję się, jakbym...

— Czujesz się jakbyś co?

To nie był głos Erdwa! Komandor zerwał się, chwycił pistolet, okręcił patrząc w mrok i próbując znaleźć źródło tych słów.

Odwracając się, ujrzał małą istotę stojącą wprost przed nim. Zaskoczony, odstał krok do tyłu; wydało się, że to małe stworzenie zmateriałizowało się znikąd. Miało nie więcej niż pół metra wysokości. Nieustraszenie

stało przed górującym nad nim młodzieńcem, trzymającym budzący grozę pistolet laserowy.

To małe zasuszone coś mogło być w każdym wieku. Jego twarz była poorana głębokimi zmarszczkami, ale jego elfie, spiczaste uszy nadawały jej wyraz wiecznej młodości. Długie białe włosy z przedziałkiem pośrodku opadały po obu stronach głowy o niebieskiej skórze. Istota była dwunożna, jej krótkie nogi zakończone były trójpalczastymi, prawie gadzimi stopami. Była ubrana w szmaty równie szare jak bagienne opary i tak porwane, że musiały mieć prawie tyle lat, co ona.

Przez chwilę Luke nie mógł zdecydować się, czy ma być przestraszony, czy może ma się roześmiać. Rozluźnił się, kiedy popatrzył w te wylupiaсте oczy i wyczuł łagodny charakter istoty, która machnęła ręką w kierunku pistoletu trzymanego przez niego.

— Swą broń odłóż. Nie pragnę twej krzywdy — rzekła.

Po chwili wahania Luke spokojnie przypiął broń do pasa. Jednocześnie zastanawiał się, dlaczego czuje się zmuszony słuchać tego małego stworzenia.

— Zastanawiam się — przemówiło znowu — dlaczego tu jesteś?

— Szukam kogoś — odparł.

— Szukasz? Szukasz? — istota powtórzyła ciekawie, a szeroki uśmiech zaczął marszczyć jej i tak starą twarz. — Powiedziałbym, że już kogoś znalazłeś. Hę? Tak!

Luke musiał zmusić się do zachowania powagi.

— Zdaje się.

— Pomóc ci potrafię... tak... tak. Młody mężczyzna stwierdził, że ufa temu dziwnemu stworzeniu, ale wcale nie był pewien, czy ktoś tak niewielki może być pomocny w jego ważnych poszukiwaniach.

— Nie sądzę — odparł łagodnie. — Widzisz, ja szukam wielkiego wojownika.

— Wielkiego wojownika? — stworzenie potrząsnęło głową, a jego białawe włosy zawirowały wokół spiczastych uszu. — Wojny nie czynią nikogo wielkim.

Dziwne stwierdzenie — pomyślał Luke. Lecz zanim zdążył odpowiedzieć, małeńki hominid pokuśtykał do uratowanych pojemników ze sprzętem i wgramolił się na samą górę. Kompletnie zaskoczony chłopak obserwował, jak stworzenie grzebie w rzeczach, które przywiózł z Hoth.

— Odejdź stamtąd — powiedział, zdumiony tym nagłym dziwnym zachowaniem.

Erdwa przytoczył się do sterty skrzynek, mając stworzenie prawie na poziomie swoich czujników optycznych. Robot wyraził piskiem dezparobate rejestrując istotę beztrąsko przewracającą sprzęt.

Dziwne stworzenie chwyciło pojemnik z resztkami żywności i spróbowało kawałek.

— Hej, to mój obiad — wykrzyknął chłopak. Ledwo jednak "istota odgryzła pierwszy kęs, wypluła wszystko, a jej głęboko poorana twarz zmarszczyła się jak suszona śliwka.

— Tfu! — splunęła. — Dziękuję, nie. Jak wyrosłeś taki duży, jedząc coś takiego? — zmierzyła Luke'a spojrzeniem od stóp do głów.

Zanim zdumiony chłopak odpowiedział, stworzenie rzuciło pojemnik w jego stronę i zanurzyło małą, delikatną rękę w innej skrzyni.

— Posłuchaj, przyjacielu — powiedział Luke, obserwując dziwnego rabusia — wcale nie chcieliśmy tu lądować. A gdybym potrafił wyciągnąć mój myśliwiec z tej kałuży, zrobiłbym to, ale nie potrafię. Więc...

— Nie potrafisz wydobyć statku? A próbowałeś? Próbowałeś?

Komandor musiał przyznać, że nie, ale przecież cały pomysł był jawnie absurdalny. Nie miał właściwego wyposażenia do...

Coś w pojemniku przyciągnęło uwagę stworzenia. Cierpliwość Luke'a w końcu wyczerpała się, kiedy mały szaleniec porwał coś ze skrzynki ze sprzętem. Wiedząc, że od tego zależy jego przeżycie, sięgnął po skrzynkę. Ale stworzenie mocno trzymało w niebieskiej ręce zdobycz — miniaturową latarkę z własnym zasilaniem. Małe światełko ożyło, rzucając blask na zachwyconą twarz stworzenia, które natychmiast zaczęło oglądać swój skarb.

— Daj mi to! — krzyknął chłopak. Stworzenie cofało się przed nim jak rozkapryszone dziecko.

— Moje! Moje! Albo pomocy ci nie udzielę. Ciągłe przyciskając latarkę do piersi, stworek cofnął się o krok, niechcący wpadając na Erdwa Dedwa. Nie pamiętając, że robot potrafi się ruszać, stworzenie stanęło tuż obok niego.

— Nie potrzebuję twojej pomocy — rzekł Luke z oburzeniem. — Chcę z powrotem latarkę. Będę jej potrzebował w tej oślizłej błotnistej dziurze.

Natychmiast zdał sobie sprawę, że powiedział coś obraźliwego.

— Błotnista dziura? Oślizła? To mój dom! Podczas tej sprzeczki Erdwa powoli wyciągnął mechaniczną rękę. Nagle chwycił zwędzoną latarkę i natychmiast dwie małe postacie zaczęły ją ciągnąć każde do siebie. Kręcili się w kółko, a robot wydał kilka elektronicznych pisków „Oddaj to!”.

— Moje, moje. Oddaj! — krzyknęło stworzenie. Jednak nagle jakby zrezygnowało z dziwacznej walki i lekko dotknęło robota niebieskawym palcem.

Erdwa wydał głośny, zdumiony pisk i natychmiast wypuścił latarkę.

Zwycięzca uśmiechnął się do świecącego przedmiotu w swych małych rękach, powtarzając z radością:

— Moje, moje.

Luke miał już powyżej uszu tych wygłupów i z westchnieniem powiedział robotowi, że już po bitwie.

— W porządku, Erdwa. Niech sobie to zatrzyma. A teraz zmykaj stąd, mały. Mamy trochę roboty.

— Nie, nie! — poprosiło stworzenie z ożywieniem.

— Zostanę i pomogę ci znaleźć twojego przyjaciela.

— Ja nie szukam przyjaciela — powiedział Luke.

— Szukam Mistrza Jedi.

— Aha — oczy stworzenia otworzyły się szeroko
— Mistrza Jedi. To zupełnie co innego. Yoda, poszukujesz Yody.

Imię to zdziwiło chłopaka, ale poczuł falę sceptyzmu. Jak taki elf mógł cokolwiek wiedzieć o wielkim nauczycielu Rycerzy Jedi?

— Znasz go?

— Oczywiście, tak — odparło stworzenie z dumą.

— Zaprowadzę cię do niego. Ale najpierw musimy coś zjeść. Dobre jedzenie. Chodź, chodź.

Przy tych słowach stworzenie wypadło z obozowiska w cienie bagna. Małe latarka, którą trzymało, stopniowo bladła w oddali, a Luke stał oszołomiony. Z początku wcale nie zamierzał iść za stworzeniem, ale nagle stwierdził, że nurkuje za nim w mgłę.

Ruszając w dżunglę, usłyszał gwizdy i piski Erdwa, jakby miały mu się przepłatać obwody. Odwrócił się i zobaczył, że mały robot stoi smutno obok miniaturowego pieca rozszczepieniowego.

— Lepiej zostań tu i pilnuj obozu — poinstruował go. Ale Erdwa tylko wzmocnił emisję przebiegając całą skalę swoich elektronicznych dźwięków.

— Uspokój się — krzyknął Luke wbiegając w dżunglę. — Potrafię o siebie zadbać. Nic mi nie będzie, w porządku?

Elektroniczne gderanie Erdwa cichło w miarę, jak oddalał się, doganiając swego małego przewodnika. Musiałem chyba oszaleć — pomyślał — żeby iść za tym dziwnym stworzeniem, kto wie, dokąd. Ale stworek przecież wymienił imię Yody, a Luke czuł, że musi przyjąć każdą pomoc w odnalezieniu Mistrza Jedi. Goniąc za migającym światełkiem potykał się w ciemności o grube rośliny o poskręcanych korzeniach.

Stworzenie szczebiotało wesoło, prowadząc przez bagna.

— Hę... nic mu nie będzie... hę... zupełnie nic... tak, oczywiście.

A potem tajemnicze stworzenie zaczęło się śmiać w ten swój dziwny sposób.

Dwa krążowniki Imperium leciały powoli nad powierzchnią wielkiego asteroidu. „Sokół Millennium” musiał się ukryć gdzieś w środku. Ale gdzie?

Statki rzucały bomby na podziurawiony teren asteroidu, próbując wypłoszyć frachtowiec. Fale uderzeniowe wybuchów gwałtownie wstrząsały sferoidą, ale ciągle nigdzie nie było widać śladu „Sokoła”. Dryfując nad asteroidem, jeden z gwiazdnych niszczycieli rzucił cień na wejście do tunelu. A jednak radary statku nie wykryły dziwnego otworu w ścianie zagłębienia terenu. A w tym otworze, w wijącym się tunelu, nie zauważonym przez sługi potężnego Imperium, siedział frachtowiec. Trzeszczał i drżał przy każdym wybuchu na powierzchni.

Wewnątrz Chewbacca pracował gorączkowo nad naprawą skomplikowanego mechanizmu napędowego. Żeby dostać się do kabli obsługujących układ hipernapędu, wdrapał się do pomieszczenia w suficie. Kiedy usłyszał

pierwszy wybuch, wytknął głowę przez płataninę kabli i zaskowyczał z niepokojeni.

Księżniczka, która spawała uszkodzony zawór, przerwała pracę i spojrzała w górę. Bomby spadały bardzo blisko.

Če Trzypeo spojrział na Leię i nerwowo przechylił głowę.

— Ojej — powiedział. — Znaleźli nas.

Wszyscy zamilkli, jakby bali się, że ich głosy mogą w jakiś sposób zdradzić ich dokładne położenie. Statek znowu zdrzął od wybuchu, ale słabszego od ostatnich.

— Oddalają się — powiedziała Leia. Hań przejrzał ich taktykę.

— Tylko próbują, czy uda im się coś wywołać — powiedział jej. — Jesteśmy bezpieczni, jak długo będziemy siedzieć cicho.

— Gdzie ja już to słyszałam? — odparła z niewinną miną.

Ignorując jej sarkazm, minął ją wracając do pracy.

Przejście w ładowni było tak wąskie, że nie mógł uniknąć otarcia się o nią — a może mógł?

Księżniczka obserwowała przez chwilę z mieszanymi uczuciami, jak pracował nad statkiem. A potem odwróciła się do swego spawania.

Če Trzypeo nie zwracał uwagi na to dziwne zachowanie ludzi. Był zbyt zajęty próbami skontaktowania się z „Sokołem”, usiłując dowiedzieć się, co było nie w porządku z hipernapędem. Stojąc przy głównej konsoli, Trzypeo wydawał nietypowe gwizdy i piski. W chwilę później konsola mu odgwizdała.

— Gdzie jest Erdwa, kiedy go potrzebuję? — westchnął złości robot. Trudno mu było przetłumaczyć odpowiedź konsoli. — Nie wiem, gdzie pański statek nauczył się porozumiewać — oznajmił Trzypeo Hano-wi — ale jego dialekt pozostawia nieco do życzenia. Chyba mówi, że łącze mocy na osi ujemnej jest spolaryzowane, proszę pana. Obawiam się, że będzie pan musiał je wymienić.

— Oczywiście, że będę musiał je wymienić — warknął Hań i zawołał Chewbaccę, który wyglądał z pomieszczenia w suficie. — Wymień je — szepnął.

Zauważył, że Leia skończyła spawanie, ale miała kłopoty z podłączeniem zaworu, mocując się z dźwignią, która nie chciała ruszyć się z miejsca. Podszedł do niej i zaoferował pomoc, ale odwróciła się od niego zimno i dalej walczyła z zaworem.

— Spokojnie, Wasza Łaskawość — powiedział.

— Chcę tylko pomóc.

Ciągle walcząc z dźwignią, poprosiła cicho:

— Czy mógłbyś łaskawie przestać mnie tak nazywać?

Hana zaskoczył zwyczajny ton księżniczki. Oczekiwał kąśliwej riposty lub, w najlepszym wypadku, zimnego milczenia, lecz w jej słowach brakowało drwiącego tonu, do którego tak był przyzwyczajony. Czyżby wreszcie kończyła ich nieubłaganą wojnę?

— Jasne — odparł łagodnie.

— Czasem wszystko utrudniasz — powiedziała, patrząc na niego nieśmiało. Musiał się zgodzić.

— Tak, rzeczywiście. — Ale dodał: — Ty też mogłabyś być trochę miłsza. No, przyznaj się, że nie zawsze myślisz o mnie źle.

Puściła dźwignię i zaczęła rozcierać bolącą dłoń.

— Nie zawsze — powiedziała z lekkim uśmiechem — być może... Czasami, kiedy nie zachowujesz się jak łajdak.

— Łajdak? — roześmiał się, uznając jej dobór słów za pieszczotliwy. — To brzmi ładnie. Bez słowa ujął jej rękę i zaczął ją masować.

— Przestań — zaprotestowała.

Hań dalej trzymał ją za rękę. — Co mam przestać?

— zapytał cicho.

Leia poczuła wzburzenie, zmieszanie, zawstydzenie

— sto uczuć w tej jednej chwili. Ale jej poczucie godności zwyciężyło.

— Przestań — rzekła po królewsku. — Mam brudne ręce.

Uśmiechnął się na jej słabą wymówkę, ale dłoni nie puścił i spojrzał jej prosto w oczy.

— Ja też mam brudne ręce. Czego się boisz?

— Boję się? — wytrzymała jego wzrok. — Ze pobrudzę sobie ręce.

— To dlaczego drżysz? — zapytał. Widział, że jego bliskość i dotyk działają na nią i że wyraz jej twarzy zmiękł. Po czym ujął ją za drugą rękę.

— Myślę, że podobam ci się właśnie dlatego, że jestem łajdakiem — powiedział. — Myślę, że miałaś w życiu za mało łajdaków — mówiąc to powoli przyciągał ją do siebie.

Leia nie opierała się temu łagodnemu ruchowi. Teraz, kiedy patrzyła na niego, pomyślała, że nigdy nie wydawał się bardziej przystojny, ale przecież ciągle była księżniczką.

— Tak się składa, że lubię miłych — skarciła go szeptem.

— A ja nie jestem miły? — spytał Hań przekornie.

Chewbacca wysunął głowę z pomieszczenia na górze i nie zauważony obserwował poczynania pary poniżej.

— Tak — szepnęła — ale ty... Zanim zdołała skończyć, Hań Solo przyciągnął ją do siebie; przyciskając wargi do jej ust poczuł, że dziewczyna drży. Wydawało się, że dzielą ze sobą wieczność, kiedy delikatnie przeginał ją w tył. Tym razem wcale się nie opierała.

Kiedy oderwali się od siebie, przez chwilę nie mogła złapać tchu. Próbowwała odzyskać równowagę i przywołać oburzenie, ale stwierdziła, że trudno jej mówić.

— Dobrze, pistolecie — zaczęła. — Ja...

Ale przerwała i nagle stwierdziła, że go całuje, przytulając się do niego nawet mocniej niż przedtem.

Kiedy w końcu oderwali usta od ust, Hań przytrzymywał Leię w objęciach. Patrzyli na siebie. Przez długą chwilę trwało między nimi jakieś spokojne uczucie. Potem dziewczyna zaczęła odsuwać się od niego z kompletnym zamętem w myślach i uczuciach. Odwróciła się i wybiegła z kabiny.

Hań patrzył za nią w milczeniu. Po chwili z niezwykłą ostrością zdał sobie sprawę z obecności bardzo ciekawego Wookiego, który wysunął głowę przez otwór w suficie.

— Okay, Chewie — krzyknął. — Pomóż mi z tym zaworem.

Mgła rozbijana deszczem spowijała bagno przezroczystymi zwojami. Samotny robot R2 szukał swego pana w potokach deszczu.

Czujniki Erdwa Dedwa pracowały pełną mocą, przekazując impulsy do elektronicznych zakończeń nerwowych. Jego układy słuchowe reagowały — może nawet zbyt gwałtownie — na najmniejszy dźwięk i przekazywały informacje do zaniepokojonego komputerowego mózgu robota.

Dla Erdwa było zbyt mokro w tej mrocznej dżungli. Skierował swe czujniki optyczne w kierunku dziwnej chatki z błota na brzegu ciemnego jeziora. Ogarnięty prawie ludzkim uczuciem samotności przybliżył się do okna małego domu. Zjrzał do środka. Miał nadzieję, że nikt tam nie zauważył lekkiego drżenia jego beczkowatego korpusu, ani nie usłyszał nerwowego elektronicznego popiskiwanego.

Luke'owi Skywalkerowi jakoś udało się wcisnąć do miniaturowego domku, gdzie wszystko wielkością pasowało dokładnie do jego małego mieszkańca. Siedział po turecku na podłodze z wysuszonego błota, uważając, aby nie uderzyć głową o niski sufit. Przed nim stał stół, a dalej widział kilka pojemników, w których były najwyraźniej ręcznie zapisane zwoje.

Stworzenie o pomarszczonej twarzy było w kuchni, tuż obok pokoju, zajęte przygotowywaniem niestworzonego posiłku. Ze swego miejsca Luke widział, jak mały kucharz miesza w parujących garnkach, tu coś kroi, tam coś obdziera, wszystko posypuje ziołami i biega tam i z powrotem stawiając przed nim na stole talerze.

Mimo zafascynowania tą całą krzątanicą zaczynał tracić cierpliwość. Kiedy stworzenie po raz kolejny wpadło do pokoju, przypomniał swemu gospodarzowi:

— Mówiłem ci, nie jestem głodny.

— Cierpliwości — powiedziało stworzenie wracając truchcikiem do pełnej oparów kuchni. — Czas na jedzenie. Luke starał się być grzeczny.

— Słuchaj — powiedział. — Pachnie dobrze. Jestem przekonany, że jest wyśmienite. Ale nie rozumiem, dlaczego nie możemy zobaczyć się z Yodą teraz.

— To jest też czas posiłku dla Jedi — odpowiedziało stworzenie. Ale Luke chciał iść.

— Czy droga zajmie dużo czasu? Jak to daleko?

— Niedaleko, niedaleko. Bądź cierpliwy. Niedługo go ujrzysz. Dlaczego pragniesz zostać Jedi?

— Chyba z powodu ojca — odpowiedział chłopak, zastanawiając się, że właściwie nigdy nie znał swego ojca na tyle dobrze. Tak naprawdę, najgłębszy związek z ojcem czuł poprzez miecz świetlny, który mu powierzył Ben.

Zauważył dziwne spojrzenie istoty, kiedy wspomniał o ojcu.

— Ach, twój ojciec — powiedziało stworzenie zasiadając do ogromnego posiłku. — Potężny Jedi był z niego. Potężny Jedi.

Chłopak zastanawiał się, czy stworzenie nie drwi z niego.

— Jak mogłeś znać mego ojca? — zapytał trochę gniewnie. — Nie wiesz nawet, kim ja jestem. — Rozejrzał się po dziwnym pomieszczeniu i potrząsnął głową. — Nie wiem, co ja tutaj robię...

Wtem zauważył, że stworzenie odwróciło się od niego i przemawia do kąta pokoju. „Tego już za wiele” — pomyślał Luke. Teraz to niemożliwe stworzenie rozmawia z powietrzem!

— To na nic — mówiło z gniewem. — Nie da rady. Uczyć go nie mogę. Chłopiec nie ma ciepłości!

Spojrzał w kierunku, w którym zwrócone było stworzenie. Uczyć nie mogę. Nie ma cierpliwości. Oszołomiony, ciągle nikogo nie widział. Nagle sytuacja stała się stopniowo tak oczywista, jak głębokie zmarszczki na twarzy Istoty. Był właśnie poddawany testowi — i to przez samego Yodę! Z pustego rogu pokoju dobiegł łagodny, mądry głos Bena Keno-biego.

— Nauczy się cierpliwości — powiedział Ben.

— Wiele w nim gniewu — obstawał przy swoim karzełkowaty nauczyciel Jedi. — Jak w jego ojcu.

— Już o tym mówiliśmy — powiedział Kenobi. Luke nie mógł dłużej czekać.

— Ależ ja mogę zostać Jedi — wtrącił się. Przynależność do szlachetnej grupy, która broniła sprawy pokoju i sprawiedliwości znaczyła dla niego więcej, niż cokolwiek innego. — Jestem gotowy, Ben... Ben...

Chłopiec zawołał do swego niewidocznego mentora, rozglądając się po pokoju w nadziei znalezienia go. Ale ujrzał tylko Yodę siedzącego po drugiej stronie stołu.

— Gotowyś? — zapytał ten sceptycznie. — A cóż wiesz o gotowości? Szkołę Jedi od ośmiuset lat. Decydował będę sam, kto szkolony będzie.

— Dlaczego ja nie? — zapytał Luke, urażony insynuacjami.

— Aby zostać Jedi — odparł Yoda poważnie — potrzeba największego poświęcenia, najpoważniejszego umysłu.

— Uda mu się — powiedział głos Bena w obronie chłopaka.

Patrząc w kierunku niewidocznego Kenobiego, Yoda pokazał na Luke'a.

— Tego obserwowałem od dawna. Przez całe życie odwracał wzrok... ku horyzontowi, ku niebu, ku przyszłości. Nie myślał nigdy, gdzie jest, co robi. Przygoda, podniety — Yoda rzucił chłopakowi piorunujące spojrzenie. — Nie pożąda Jedi tych rzeczy!

Luke spróbował stanąć w obronie swej przeszłości.

— Kierowałem się uczuciami.

— Jesteś lekkomyślny! — krzyknął Mistrz Jedi.

— Nauczy się — dał się słyszeć uspokajający głos Kenobiego.

— Jest za stary — wytknął Yoda. — Tak, za stary, zbyt przyzwyczajony do swego sposobu postępowania, żeby rozpocząć szkolenie.

Luke'owi wydało się, że głos Yody jakby lekko złagodniał. Może była jeszcze szansa przekonania go.

— Wiele się nauczyłem — powiedział. Nie mógł się teraz poddać. Za daleko zaszedł, zbyt wiele wytrzymał, zbyt wiele stracił.

Kiedy mówił, wydawało mu się, że Yoda przewierca go wzrokiem na wylot, jak gdyby chciał ocenić, ile w rzeczywistości chłopiec umie. Znowu odwrócił się do niewidzialnego Kenobiego.

— Czy skończy to, co zaczniesz? — spytał.

— Zaszliśmy tak daleko — brzmiała odpowiedź.

— Jest naszą jedyną nadzieją.

— Nie zawiodę was — powiedział Luke do Yody i Bena.

— Nie boję się. — I rzeczywiście w tej chwili młody Skywalker czuł, że może wszystkiemu stawić czoła bez lęku.

Ale mistrz nie był takim optymistą.

— Będziesz się bał, młodzieńcze — ostrzegł. Mistrz Jedi odwrócił się powoli w stronę Luke'a, a na jego niebieskiej twarzy pojawił się dziwny uśmiezek.

— Ha. Będziesz.

IX

Jedna tylko istota w całym wszechświecie potrafiła zaszcześcić strach w ciemnej duszy Dartha Vadera. Stojąc w milczeniu i samotności w słabo oświetlonej komorze, Lord Sith czekał na wizytę swego własnego przerażającego pana.

Czekał, a jego gwiazdny niszczyciel płynął po ogromnym oceanie gwiazd. Nikt na tym statku nie ośmieliłby się przeszkodzić Czarnemu Lordowi w jego prywatnej kajucie. Lecz jeśli znalazłby się ktoś taki, mógłby zauważyć lekkie drżenie tej odzianej w czarny płaszcz postaci, a na jej obliczu można by nawet dojrzeć ślad przerażenia, gdyby można było przebić wzrokiem zakrywającą wszystko maskę oddechową.

Ale nikt się nie zbliżał, a Vader tkwił nieruchomo w samotnym, cierpliwym czuwaniu. Po chwili dziwny elektroniczny pisk przełamał martwą ciszę pomieszczenia, a na płaszczu Lorda pojawiły się błyski światła. Natychmiast skłonił się głęboko oddając cześć swemu królewskiemu panu.

Gość przybył w postaci ogromnego hologramu, który zmaterializował się przed Vaderem. Trójwymiarowa postać była odziana w proste szaty, a jej twarz skrywał kaptur.

Kiedy hologram Imperatora Galaktyki w końcu przemówił, dał się słyszeć głos głębszy nawet niż Vadera. Sama obecność Imperatora była wystarczająco przerażająca, ale dźwięk jego głosu wywołał drżenie strachu, które przebiegło całą potężną postać Lorda.

— Możesz wstać, sługo — rozkazał Imperator.

Vader natychmiast wyprostował się. Nie ośmielił się jednak spojrzeć w twarz swego pana; zamiast tego zatrzymał wzrok na własnych czarnych butach.

— Jakie są twe rozkazy, panie? — spytał uroczyście jak kapłan usługujący swemu bogu.

— Są wielkie zaburzenia Mocy — powiedział Imperator.

— Wyczuwam je — odparł z powagą Czarny Lord.

— Nasze położenie jest niezwykle groźne — ciągnął władca. — Mamy nowego wroga, który może nas unicestwić.

— Unicestwić? Kto to taki?

— Syn Skywalkera. Musisz go zniszczyć, bo inaczej przyniesie nam zgubę.

Skywalker!

Ta myśl była nieprawdopodobna. Co ten nic nie znaczący młodzik może obchodzić władcę Galaktyki.

— On nie jest Jedi — argumentował. — To jeszcze chłopak. Obi-Wan nie mógł nauczyć go tyle, żeby...

Imperator przerwał:

— Moc jest w nim bardzo silna. On musi zostać zniszczony — rzekł z naciskiem.

Lord Sith zastanawiał się przez chwilę. Może był inny sposób uporania się z chłopcem, sposób, który przyniósłby pożytek sprawie Imperium.

— Jeśli dałoby się przeciągnąć go na naszą stronę, byłby potężnym sprzymierzeńcem — zasugerował.

Imperator rozważył tę możliwość w milczeniu. Po chwili przemówił znowu.

— Tak... tak — powiedział z namysłem. — Byłby cennym nabytkiem. Czy można to osiągnąć?

Po raz pierwszy podczas spotkania Vader podniósł głowę i spojrzał swemu panu prosto w oczy.

— Przyłączy się do nas — odpowiedział z mocą — lub umrze, panie.

Na tym spotkanie się skończyło. Vader ukląkł przed Imperatorem Galaktyki, który przesunął rękę nad swym posłusznym sługą. W następnej chwili holo-graficzny obraz zniknął, zostawiając Dartha w samotności, aby ułożył to, co być może miało być jego najszybszym planem ataku.

Światelka wskaźników na konsoli sterującej rzucały niesamowity blask na cichą sterownię „Sokoła Millennium”. Łagodnie oświetlały twarz Lei, siedzącej w fotelu pilota i rozmyślającej o Hanie. Zatopiona w myślach przeciągnęła ręką po konsoli przed sobą. Wiedziała, że zaszły w niej jakieś zmiany, ale nie była pewna, czy chce je zaakceptować. Ale czy mogła je odrzucić?

Nagle jej uwagę zwrócił pośpieszny ruch za oknem sterowni. Jakiś ciemny kształt z początku zbyt szybki i niewyraźny, aby go zidentyfikować, pędził w kierunku „Sokoła Millennium”. Błyskawicznie przyczepił się do przedniego okna statku czymś, co wyglądało jak miękka przyssawka. Leia podeszła ostrożnie, aby lepiej przyjrzeć się czarnej plamie. Nagle rozbłysła w niej para ogromnych żółtych oczu patrzących wprost na nią.

Księżniczka rzuciła się w tył i wpadła na fotel pilota. Próbując przyjąć do siebie, usłyszała jakiś tupot i nieludzki wrzask. Czarny kształt i jego żółte oczy zniknęły w ciemności jaskini.

Odzyskała oddech, zerwała się z fotela i popędziła do ładowni statku. Załoga „Sokoła” kończyła pracę nad układem zasilania. Światła zamrugwały słabo, a potem zapłonęły pełnym blaskiem. Hań skończył podłączać przewody i zaczął układać na miejscu płytę w podłodze, a Wookie patrzył, jak Če Trzypeo kończy pracę przy tablicy kontrolnej.

— Tutaj wszystko się zgadza — zameldował robot. — Jeśli mogę coś powiedzieć, to sądzę, że już gotowe.

Właśnie wtedy księżniczka wpadła bez tchu do ładowni.

— Coś tam jest! — krzyknęła. Hań podniósł głowę znad roboty.

— Gdzie?

— Na zewnątrz — odpowiedziała — w jaskini. Kiedy mówiła, usłyszeli ostre uderzenie w kadłub statku. Chewbacca spojrzał w górę i szczerknął głośno z niepokojem.

— Cokolwiek to jest, wygląda na to, że próbuje wejść do środka — powiedział zmartwionym głosem Trzypeo.

Kapitan zaczął wychodzić z ładowni.

— Zobaczę, co to takiego — oznajmił.

— Oszalałeś? — Leia spojrzała na niego ze zdumieniem. Uderzenia stawały się coraz głośniejsze.

— Słuchaj, właśnie doprowadziliśmy to pudło do porządku — wyjaśnił Korelianin. — Nie mam zamiaru pozwolić, aby jakiś podlec mi je rozszarpał.

Zanim mogła zaprotestować, chwycił maskę oddechową z półki z wyposażeniem i naciągnął ją sobie na głowę. Kiedy wychodził, Wookie pospieszył za nim i chwycił swoją maskę. Leia zdała sobie sprawę, że jako członek załogi ma obowiązek iść z nimi.

— Jeśli jest ich więcej niż jeden — powiedziała do kapitana — będziesz potrzebował pomocy.

Hań patrzył na nią ciepło, kiedy zdejmowała trzecią maskę i wsuwała ją na swą śliczną, ale zaciętą twarz.

A potem cała trójka wybiegła na zewnątrz, zostawiając robota protokolarnego, który poskarżył się żałośnie pustej ładowni:

— Ale ja tu zostaję zupełnie sam!

Ciemność na zewnątrz „Sokoła Millennium” była gęsta i wilgotna. Otoczyła trzy postacie ostrożnie okrążające statek. Przy każdym kroku słyszeli niepokojące głosy, jakieś świszczące hałasy, które roznosiły się echem po ociekającej wodą jaskini.

Było zbyt ciemno, aby stwierdzić, gdzie może się ukrywać atakujące statek stworzenie. Poruszali się ostrożnie, starając się przebić wzrokiem głęboki mrok. Nagle Chewbacca, który w ciemności widział lepiej zarówno od swego kapitana, jak i od księżniczki, wydał przytłumione szczerknięcie i pokazał coś, co poruszało się wzdłuż kadłuba „Sokoła”.

Bezkształtna skórzasta masa błyskawicznie wdrapała się na górę statku, najwidoczniej zaskoczona głosem Wookiego. Hań wymierzył miotacz w stworzenie i trafił je wiązką laserową. Czarny kształt zaskrzeczał, zachwiało się i odpadł od statku lądując z głośnym dźwiękiem u stóp księżniczki.

Pochyliła się, aby lepiej przyjrzeć się czarnej masie.

— Wygląda na jakiś rodzaj mynocka — powiedziała do swych towarzyszy.

Hań rozejrzał się szybko po ciemnym tunelu.

— Będzie ich więcej — powiedział przewidująco.

— Wędrują zawsze w grupach. A niczego tak nie lubią, jak przysysać się do statków. Właśnie tego nam teraz potrzeba.

Ale uwagę Lei bardziej przyciągnęła konsystencja podłoża tunelu. Sam tunel zdziwił ją; zapach otoczenia nie przypominał zapachu żadnej groty, jaką знаła. Podłoga była zimna i zdawała się przylegać do nóg.

Kiedy tupnęła, poczuła, że podłoże nieco ustępuje pod stopą.

— Ten asteroid ma bardzo dziwną konsystencję — powiedziała. — Spójrzcie na ziemię. To wcale nie skała.

Hań ukląkł, aby bliżej zbadać podłoże i zauważył, jakie jest miękkie. Przyglądając się usiłował stwierdzić, jak daleko ono sięga i dojrzeć zarysy jaskini.

— Strasznie tu duża wilgotność — powiedział. Wstał, wymierzył miotacz w odległy kąt i wypalił w kierunku skrzeczącego mynocka; natychmiast po strzale cała grotła zaczęła drżeć, a grunt wybrzuszać się.

— Tego się obawiałem — krzyknął. — Wynosimy się stąd!

Chewbacca zgodził się szczenięciami i rzucił się do „Sokola Millennium”. Tuż za nim pobiegli do statku Hań i Leia, zakrywając twarze przed przelatującym obok rojem mynocków. Dopadli statku i wbiegli po rampie do środka. Kiedy tylko znaleźli się na pokładzie, Chewbacca zamknął za nimi luk, uważając, aby żaden z mynocków nie wśliznął się do wnętrza.

— Chewie, zapalaj! — wrzasnął Solo pędząc z Leia przez ładownię. — Zwiewamy!

Chewbacca pospiesznie wgramolił się na swój fotel w sterowni, podczas gdy Hań popędził sprawdzać odczyty na tablicy kontrolnej ładowni.

Księżniczka, biegnąc, aby dotrzymać mu kroku, ostrzegła:

— Zobaczą nas zanim nabierzemy szybkości. Wydawało się, że pilot jej nie słyszy. Sprawdził odczyty, a potem odwrócił się, aby z powrotem popędzić do sterowni. Ale kiedy mijał Leię, z jego komentarza jasno wynikało, że słyszał każde słowo.

— Nie ma czasu na omawianie tego w Komitecie. I już go nie było; rzucił się do swego fotela, gdzie zaczął manipulować przepustnicami. W następnej chwili po całym statku rozniósł się jęk głównych silników. Ale dziewczyna wpadła tuż za nim

— Nie jestem żadnym komiteciem — krzyknęła z oburzeniem.

Nie wyglądało na to, żeby ją usłyszał. Nagle trzęsienie jaskini zaczynało ucichać, ale był zdecydowany wydostać z niej statek — i to szybko.

Leia zaczęła przypinać się pasami do swego fotela.

— Nie możesz skoczyć w prędkość światła w tym polu asteroidów — starała się przekrzywić ryk silników.

Solo uśmiechnął się do niej przez ramię.

— Przypnij się, kochanie — powiedział. — Startujemy!

— Ale drżenie ustało!

Hań nie miał zamiaru zatrzymywać teraz statku. Ruszył już do przodu, szybko mijając nierówne ściany tunelu. Nagle Chewbacca, wyglądając przez przednią szybę, szczerzył z przerażeniem.

Prosto przed nimi widniał poszarpany biały rząd stalaktytów i stalagmitów całkowicie otaczających wejście do jaskini.

— Widzę, Chewie — krzyknął Hań. Mocno pociągnął dźwignię i „Sokół Millennium” runął do przodu. — Trzymajcie się!

— Jaskinia się wali — wrzasnęła Leia widząc, że wejście się zmniejsza.

— To nie jaskinia.

— Co?

Trypeo zaczął bełkotać w przerażeniu:

— Ojej, nie! Jesteśmy zgubieni. Do widzenia, pani Leio.

Do widzenia, kapitanie.

Księżniczka otworzyła usta, wpatrując się w gwałtownie przybliżające się wejście do tunelu.

Hań miał rację; nie byli w jaskini. Kiedy zbliżyli się do otworu, stało się jasne, że te białe mineralne twory są olbrzymimi zębami. I było bardzo jasne, że kiedy wylatywali z tej ogromnej paszczy, te zęby zaczęły się zamykać!

Chewbacca zaryczał.

— Przechył, Chewie!

Był to niemożliwy manewr. Ale drugi pilot zareagował natychmiast i po raz kolejny dokonał rzeczy niemożliwej. Przechylił „Sokoła Millennium” ostro na bok i jednocześnie przyspieszył, przelatując między dwoma lśniącymi białymi kłami o sekundę wcześniej nim szczęki się zaciśniły.

„Sokół” pędził skalistą szczeliną w asteroidzie, ścigany przez potwornego ślimaka kosmicznego. Ogromne różowe cielsko nie miało zamiaru zrezygnować ze smacznego kąska i wysunęło się z krateru, aby połknąć uciekający statek. W następnej chwili frachtowiec wzniósł się w przestrzeń z dala od oślizłego pościgu. Tym samym wpadł w kolejne niebezpieczeństwo. „Sokół Millennium” ponownie wszedł w śmiertelnie groźne pole asteroidów!

Luke ciężko dyszał prawie pozbawiony tchu w ostatniej próbie wytrzymałości. Jego tyran Jedi wyprawił go na bieg maratoński przez gęste poszycie dżungli. Yoda nie tylko wysłał go na ten wyczerpujący bieg, ale też zaprosił się na przejażdżkę. Z torby przywiązanej na plecach Luke'a mały Mistrz Jedi obserwował, jak trenowany Jedi dyszy i poci się w tym trudnym wyścigu.

Yoda potrząsnął głową i zamruczał do siebie z pogardą na temat braku wytrzymałości chłopca.

Zanim dotarli do polanki, gdzie cierpliwie czekał Erdwa Dedwa, wyczerpanie Luke'a niemal wzięło nad nim górę. Kiedy wpadł na polankę, Yoda miał dla niego w zanadrzu kolejną próbę.

Jeszcze nie zdołał złapać tchu, kiedy mały Jedi zza jego pleców rzucił mu przed oczy metalową sztabkę. Ale Luke nie był dość szybki i sztabka upadła — nie tknięta — z głuchym stukiem na ziemię. Chłopiec zwał się kompletnie wyczerpany na wilgotny grunt.

— Nie mogę — wyjęczał — jestem zmęczony. Yoda, który nie wykazywał ani odrobiny współczucia, odparł:

— W siedmiu kawałkach by spadła, gdybyś był Jedi. Lecz Luke wiedział, że nie był Jedi — w każdym razie jeszcze nie teraz. A ostry program szkolenia ułożony przez mistrza prawie pozbawił go tchu.

— Myślałem, że jestem w dobrej kondycji — wy-sapał.

— Tak, ale według jakiej skali, pytam — odparł mały instruktor. — Dawne swe miary porzuć. Oducz się, oducz!

Luke naprawdę czuł się gotów oduczyć starych nawyków, aby nauczyć się wszystkiego, co ten Mistrz Jedi miał do przekazania. Było to ostre szkolenie, ale w miarę upływu czasu siła i umiejętności chłopca wzrastały i nawet jego sceptyczny mały nauczyciel zaczął mieć nadzieję. Ale nie było to łatwe.

Yoda spędzał długie godziny wykładając młodemu uczniowi sposób życia Jedi. Siedząc pod drzwiami chatki, słuchał uważnie wszystkich opowieści i lekcji mistrza. Yoda mówiąc żuł swoją gałązkę gimer, krótki patyczek z trzema odgałęzieniami na końcu.

Były też testy fizyczne wszelkich rodzajów. Luke szczególnie ciężko pracował nad poprawieniem skoku. Kiedyś poczuł się gotowy zademonstrować Yodzie wynik. Siedząc na pniu nad szerokim stawem, mistrz usłyszał, jak ktoś głośno szeleści, nadchodząc przez zarośla.

Nagle po drugiej stronie stawu wyłonił się jego uczeń, biegnąc przez wodę. Zbliżając się do brzegu, skoczył z rozpędu w kierunku nauczyciela, wznosząc się wysoko ponad taflę wody. Nie sięgnął jednak brzegu i wylądował w wodzie z głośnym pluskiem, całkowicie mocząc mistrza.

Niebieskie wargi Yody opadły w dół z rozczarowaniem.

Ale uczeń nie miał zamiaru się poddać. Był zdecydowany zostać Jedi i bez względu na to, jak głupio miały się czuć próbując, chciał przejść każdy test, jaki wymyśli dla niego Yoda. Więc nie skarżył się, kiedy mistrz kazał mu stanąć na głowie. Z początku trochę niezręcznie zmienił pozycję i po kilku chwiejnych momentach stał mocno na rękach. Wydawało się, że stoi tak godzinami, ale było mu łatwiej, niż gdyby miał to zrobić przed rozpoczęciem szkolenia. Jego zdolność koncentracji powiększyła się tak znacznie, że potrafił zachować doskonałą równowagę — nawet z Yoda siedzącym mu na podszewkach stóp.

Ale to była tylko część próby. Nauczy ciel dał mu sygnał, stukając w nogę gałązką gimer. Powoli, ostrożnie i przy pełnej koncentracji Luke oderwał jedną rękę od ziemi. Zachwiał się lekko przy przesunięciu środka ciężkości, lecz utrzymał równowagę i koncentrując się zaczął podnosić mały kamień przed sobą. Ale nagle dobiegły go gwizdy i piski R2.

Zwalił się na ziemię, a Yoda odskoczył od padającego chłopca. Młody uczeń Jedi spytał ze złością:

— Och, Erdwa, o co chodzi?

Robot kręcił się gorączkowo w kółko, próbując przekazać swą wiadomość serią elektronicznych pisków. Luke patrzył, jak pomknął do krawędzi bagna. Pospieszył za nim i zobaczył to, o czym próbował mu powiedzieć mały robot.

Stojąc na krawędzi wody ujrzął, że pod jej powierzchnią zniknęło wszystko oprócz czubka dziobu X-- skrzydłowca.

— Och, nie — jęknął. — Teraz go już nigdy nie wydostaniemy.

Yoda przyłączył się do nich i tupnął nogą rozgniewany uwagą Luke'a.

— Aż tak pewien jesteś? — krzyknął. — A próbowałeś? Ty nigdy niczego nie możesz zrobić. Tego, co mówię, nie słuchasz? — Jego mała pomarszczona twarz wykrzywiła się we wściekłym grymasie.

Luke spojrzał najpierw na swego mistrza, a potem z powątpiewaniem na zatopiony statek.

— Mistrzu — powiedział ze sceptyzmem w głosie — podnoszenie kamieni to jedno, ale to jest coś innego. Mały nauczyciel był naprawdę rozgniewany.

— Nie! Nic innego! — krzyknął. — Różnice są w twoim umyśle. Wyrzuć je! Już nie są ci potrzebne.

Luke ufał mistrzowi. Jeśli Yoda mówił, że można to zrobić, to może powinien spróbować. Spojrzał na pogrążonego X-skrzydłowca i przygotował się do największej koncentracji.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Spróbuję. Znowu powiedział coś niewłaściwego.

— Nie — rzekł Yoda ze zniecierpliwieniem. — Nie próbuj. Zrób to. Zrób. Albo nie rób w ogóle. Prób nie ma.

Chłopiec zamknął oczy. Spróbował wyobrazić sobie zarysy, kształt, wyczuć wagę swego myśliwca. Skoncentrował się na jego ruchu, kiedy będzie wynurzał się z mętnych wód.

Kiedy się koncentrował, usłyszał jak woda kipi i bulgocze, a potem zaczyna się pienie wokół wyłaniającego się dziobu X-skrzydłowca. Czubek myśliwca powoli unosił się ponad wodę, przez moment nad nią zawisł, a potem zniknął pod jej powierzchnią z głośnym pluskiem.

Luke był wyczerpany i musiał chwytać powietrze dużymi haustami.

— Nie potrafię — powiedział zniechęcony. — Jest za duży.

— Wielkość nie ma znaczenia — powtórzył uparcie Yoda. — Roli nie odgrywa żadnej. Na mnie spójrz. Po wielkości mnie sądzisz, prawda?

Skarcony tylko potrząsnął głową.

— A nie powinieneś — poradził Mistrz Jedi. — Bo moim sprzymierzeńcem jest Moc. A sprzymierzeńcem jest potężnym. Życie ona tworzy i sprawia, że ono wzrasta. Jej energia nas otacza i łączy. Świetlistymi istotami jesteśmy, nie tą surową materią. — Yoda szerokim gestem wskazał ogrom otaczającego ich wszechświata. — Poczuj ją musisz. Wczuj się w jej przepływ. Wyczuź Moc wokół siebie. Tutaj — powiedział wskazując palcem — pomiędzy tobą i mną, tym drzewem i skałą.

Podczas gdy wyjaśniał naturę Mocy, Erdwa odwrócił swą kopulastą głowę, bezskutecznie próbując uchwycić tę „Moc” na przyrządach. Zagwizdał i zahuczał zbity z tropu.

— Tak, wszędzie — ciągnął mistrz, nie zwracając uwagi na małego robota. — Czekaj, aby ją wyczuć i posłużyć się nią. Tak, nawet między tą ziemią i tamtym statkiem!

A potem Yoda odwrócił się i spojrzał na bagno, a równocześnie woda zaczęła się burzyć. Powoli dziób myśliwca znowu wyłonił się z delikatnie spienionej toni.

Luke gapił się ze zdumieniem na X-skrzydłowca, który wdzięcznie uniósł się z mokrego grobowca i ruszył majestatycznie do brzegu.

Przysięgał sobie w duchu nigdy już nie używać słowa „niemożliwe”. Bo oto stojąc na korzeniu drzewa maleńki Yoda bez wysiłku przenosił statek z wody na brzeg. Był to widok, w który ledwo wierzył. Lecz wiedział, że jest to przekonujący przykład mistrzostwa Jedi w posługiwaniu się Mocą.

Erdwa, równie zdumiony, lecz nie nastawiony tak filozoficznie, wydał serię głośnych gwizdów, a potem czmychnął za jakieś ogromne korzenie.

X-skrzydłowiec poszybował na plażę, a potem łagodnie się zatrzymał.

Luke poczuł się przygnieciony wyczynem, jakiego był świadkiem, i podszedł do Yody z lękiem.

— Ja... — zaczął oszołomiony. — Nie mogę w to uwierzyć.

— I dlatego ci się nie udaje — odpowiedział ten z naciskiem.

Młody mężczyzna potrząsnął głową w zdumieniu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek wzniesie się do poziomu Jedi.

Łowcy nagród! Będąc jedną z najbardziej pogardzanych wśród mieszkańców Galaktyki, ta klasa amo-rainych zdobywców pieniędzy składała się z przed-stawicieli wszystkich gatunków. Było to odrażające zajęcie i często przyciągało do siebie odrażające istoty. Niektóre z nich zostały wezwane przez Dartha Vadera i stały teraz z nim na mostku gwiazdowego niszczyciela.

Admirał Piett obserwował tę zbieraninę z pewnej odległości, stojąc z jednym z kapitanów. Stwierdzili, że Czarny Lord zaprosił szczególnie dziwaczny zbiór łowców fortuny, włączając Bosska, którego miękka, obwisła twarz wpatrywała się w Vadera ogromnymi, przekrwionymi oczami. Obok Bosska stali Zuckuss i Dangar, dwa okazy

ludzkie pokieroszowane w niezliczonych, niewypowiedzianych bitwach i przygodach. W grupie był także powgniatany i matowy robot koloru chromu IG-88, stojący obok osławionego Boba Fetta. Łowca nagród, człowiek Fett, był znany ze swych szczególnie bezwzględnych metod. Ubrany był w pokryty bronią opancerzony kombinezon z rodzaju tych, jakie nosiła grupa niszczących pokonanych przez Rycerzy Jedi w Wojnach Klonów. Kilka skalpów zaplecionych w warkocze dopełniało jego nieprzyjemnego wyglądu. Na sam widok Boba Fetta admirał wzdrygnął się ze wstrętem.

— Łowcy nagród — rzekł Piett z pogardą. — Po co miałby ich tu sprowadzać? Rebelianci nam nie uciekną.

Zanim kapitan zdążył odpowiedzieć, do admirała podbiegł kontroler statku.

— Sir — powiedział pospiesznie — mamy sygnał z bezwzględnym pierwszeństwem z niszczyciela „Mściciel”.

Admirał Piett przeczytał sygnał i pospieszył z informacją do Dartha Vadera. Zbliżając się do grupy, usłyszał końcowe instrukcje Lorda Sith.

— Nagroda dla tego, kto odnajdzie „Sokoła Mil-lenium”, będzie znaczna — mówił. — Wolno wam użyć wszystkich koniecznych metod, ale chcę mieć dowód. Żadnej anihilacji.

Przerwał odprawę, gdy podbiegł do niego admirał Piett.

— Panie — szepnął admirał w uniesieniu — mamy ich!

X

Nieprzyjacielski niszczyciel dojrzał „Sokoła Mil-lenium” w chwili, kiedy frachtowiec wystrzelił z ogromnego asteroidu.

Od tego momentu statek Imperium podjął pościg za frachtowcem, oślepiając go ogniem swych dział. Nie powstrzymany przez deszcz asteroidów uderzających o masywny kadłub, gwiazdny niszczyciel nieustępliwie dążył śladem mniejszego statku.

„Sokół Millennium”, o wiele zwrotniejszy od swego prześladowcy, śmigał wokół większych asteroidów pędzących w jego stronę. „Sokołowi” udawało się utrzymywać dystans między sobą a „Mścicielem”, ale było jasne, że uparty statek nie zamierza zaniechać pościgu.

Nagle na kursie uciekinierów pojawił się gigantyczny asteroid pędzący w ich kierunku z niewiarygodną prędkością. Statek wykonał błyskawiczny zwrot i olbrzym przemknął obok niego, aby nieszkodliwie eksplodować na kadłubie „Mściciela”.

Hań Solo dostrzegł błysk przez przednią szybę kok-pitu. Statek, który deptał im po piętach, wydawał się absolutnie niewrażliwy, ale Hań nie miał czasu zastanawiać się nad różnicami między oboma statkami. Cały wysiłek poświęcał utrzymaniu kontroli nad „Sokołem” nękanym ogniem z imperialnych dział.

Księżniczka Leia z napięciem obserwowała asteroidy i salwy rozbłyśkujące w czerni przestrzeni kosmicznej na zewnątrz kokpitu. Palce mocno zacisnęła na poręczy swego

fotela. Wbrew wszelkiej logice miała cichą nadzieję, że wyjdą z pościgu żywi.

Uważnie wodząc wzrokiem za rozbłyskami na monitorze śledczym, Ce Trzypeo zwrócił się do pilota:

— Widzę brzeg pola asteroidów, sir — zameldował.

— Dobrze — odpowiedział Hań. — Jak tylko z niego wyjdziemy, włączymy temu maleństwu hipemapęd.

— Był pewien, że w ciągu paru sekund ścigający ich gwiazdny niszczyciel zostanie z tyłu o całe lata świetlne. Zakończył już naprawę systemów szybkości świetlnej frachtowca i teraz pozostawało jedynie wyprowadzić statek na wolną przestrzeń, gdzie mógłby wyrwać się w bezpieczne miejsce.

Dało się słyszeć podekscytowane szczeknięcie, kiedy Chewbacca wyrwał przez okno i zobaczył, że gęstość asteroidów już się zmniejsza. Ale ucieczka nie była jeszcze zakończona, bo „Mściciel” zbliżał się, a pociski z jego dział bombardowały „Sokoła”, powodując jego przechył na jedną stronę.

Hań gwałtownie manipulował sterami, aby ustawić statek z powrotem na równej stępce. A w następnej chwili „Sokół” wyrwał się świecą z niebezpiecznych odłamów skalnych i wszedł w spokojną, upstrzoną gwiazdami ciszę otwartej przestrzeni kosmicznej. Chewbacca zaskowyczał z radości, że wreszcie wydostali się ze śmiertelnie groźnego pola, ale równie gorąco pragnął zostawić gwiazdnego niszczyciela daleko w tyle.

— Ja też, Chewie — odpowiedział Korelianin.

— Opuśćmy ten teren. Przygotować się do wejścia w prędkość światła. Tym razem to oni się zdziwią. Trzymajcie się...

Wszyscy napięli mięśnie, kiedy pociągnął do siebie dźwignię przepustnicy prędkości świetlnej. Ale to załoga "Sokoła Millennium", a głównie sam kapitan, zdziwiła się, bo po raz kolejny... nic się nie stało.

Nic! Jeszcze raz pociągnął gorączkowo dźwignię do siebie.

Statek ciągle utrzymywał prędkość podświetliła.

— To nieuczciwe — krzyknął, zaczynając wpadać w panikę.

Chewbacca był wściekły. Rzadko zdarzało się, że wpadał w złość na swego przyjaciela i kapitana. Ale teraz był wyprowadzony z równowagi i dawał wyraz swej wściekłości gniewnymi warknięciami, rykiem i szczeknięciami.

— Niemożliwe — powiedział Hań, próbując się bronić, rzucając jednocześnie okiem na zapisy na ekranach komputera. — Sprawdziłem obwody przekaźnikowe.

Chewbacca znowu szczeknął.

— Mówię ci, że tym razem to nie moja wina. Jestem pewien, że sprawdziłem. Leia westchnęła głęboko.

— Nie mamy prędkości światła? — rzekła tonem, który wskazywał, że i tę katastrofę przewidziała.

— Sir — wtrącił się Ce Trzypeo — straciliśmy tylną osłonę. Jeszcze jedno bezpośrednie trafienie w sektor tylni i koniec z nami.

— No — powiedziała księżniczka, mierząc wściekłym spojrzeniem kapitana „Sokoła Millenium” — i co teraz?

Hań zdał sobie sprawę, że ma tylko jedno wyjście. Nie było czasu na jakiegokolwiek planowanie czy sprawdzanie odczytów komputerowych, tym bardziej że „Mściciel” wyszedł już z pola asteroidów i szybko ich doganiał. Musiał podjąć decyzję opartą na instynkcie i nadziei. Naprawdę nie mieli alternatywy.

— Ostry zwrot, Chewie — rozkazał i pociągnął do siebie jedną z dźwigni, patrząc na swego drugiego pilota, — Obróćmy to pudło.

Nawet Chewbacca nie potrafił zgłębić zamiarów Solo. Szczeknął zdezorientowany — może niezbyt wyraźnie usłyszał rozkaz.

— Słyszałeś, co powiedziałem! — wrzasnął Hań. — Zawracaj! Cała moc na przednią osłonę! — Tym razem nie można było nie zrozumieć jego rozkazu i choć Chewie nie mógł pojąć tego samobójczego manewru, posłuchał. Księżniczka była oszołomiona.

— Chcesz ich zaatakować? — wyjąkała z niedowierzaniem. Pomyślała, że teraz nie mają żadnej szansy przeżycia. Czy to możliwe, że Hań naprawdę oszalał?

Przeprowadziwszy jakieś obliczenia w swoim komputerowym rozumie, Trzypeo zwrócił się do kapitana. — Sir, jeśli wolno mi zauważyć, szansę przeżycia bezpośredniego ataku na gwiazdny niszczyciel Imperium wynoszą...

Chewbacca warknął na złocistego robota i Trzypeo natychmiast się zamknął. Tak naprawdę, to nikt na pokładzie nie był zainteresowany tymi danymi, szczególnie, że „Sokół” już kładł się w ostry skręt na kurs prosto w szalejącą burzę ognia z imperialnych dział.

Solo całkowicie skoncentrował się na pilotażu. Ledwo udawało mu się unikać nawały ognia wymierzonego w „Sokoła”. Frachtowiec uskakiwał i kluczył, ciągle kierując się prosto na statek nieprzyjaciela, unikając trafień prowadzony pewną ręką Hana.

Nikt w jego małym statku nie miał zielonego pojęcia, co planował.

— Nadlatuje za nisko! — krzyknął oficer pokładowy, choć prawie nie wierzył w to, co widzi.

Kapitan Needa i załoga gwiazdznego niszczyciela pobiegła na mostek „Mściciela”, aby obserwować samobójcze podejście „Sokoła Millenium”, a w całym ogromnym imperialnym statku zawyły syreny alarmowe. Mały frachtowiec nie mógł wyrządzić wielu szkód przy zderzeniu z kadłubem olbrzyma, ale jeśli przebiłby się przez okna mostku, pokład sterowniczy zostałby zaścielony trupami. Przerażony oficer obserwacyjny odczytał namiary.

— Zderzymy się!

— Osłony włączone? — zapytał kapitan Needa. — Chyba zwariował!

— Uwaga! — wrzasnął oficer pokładowy. „Sokół” pędził wprost na okna mostku. Znajdująca się tam załoga

„Mściciela” padła w przerażeniu na podłogę. Ale w ostatniej chwili frachtowiec ostro poszedł w górę. A potem...

Kapitan Needa i jego ludzie powoli podnieśli głowy. Za oknami mostku zobaczyli tylko spokojny ocean gwiazd.

— Namierzyć ich — rozkazał kapitan. — Mogą zawrócić do następnego ataku.

Oficer obserwacyjny usiłował odnaleźć frachtowiec na swoich ekranach. Ale nie było nic do odnalezienia.

— To dziwne — mruknął.

— O co chodzi? — zapytał Needa podchodząc, aby samemu spojrzeć na monitory śledzące.

— Tego statku nie ma na żadnym z naszych ekranów.

Kapitan był zdezorientowany. — Nie mógł zniknąć. Czy taki mały statek mógłby mieć urządzenie maskujące?

— Nie, sir — odparł oficer pokładowy. — Może w ostatniej chwili weszli w prędkość światła.

Kapitan Needa czuł, że jego gniew rośnie mniej więcej w takim samym tempie, jak jego oszołomienie.

— To dlaczego atakowali? Mogli wejść w nadprzestrzeń, kiedy wydostali się z pola asteroidów.

— Ale nie ma po nich śladu, sir, bez względu na to, jak to zrobili — odpowiedział oficer obserwacyjny, w dalszym ciągu nie mogąc zlokalizować „Sokoła” na swoich ekranach. — Jedynym logicznym wyjaśnieniem jest to, że weszli w prędkość świetlną.

Kapitan był wstrząśnięty. Jak to pudło mogło im umknąć?

Podszedł adiutant.

— Sir, Lord Vader żąda ostatnich raportów z pościgu — zameldował. — Co mam mu powiedzieć?

Needa cały się sprężył. Pozwolić uciec „Sokołowi Millenium”, kiedy był tak blisko, było niewybaczalnym błędem, a wiedział, że musi stawić się przed swym panem i zameldować o porażce. Był gotów przyjąć każdą karę, jaka na niego czekała.

— Ja jestem za to odpowiedzialny — powiedział. — Proszę przygotować prom. Kiedy spotkamy się z Lordem Sith, przeproszę go osobiście. Proszę zawrócić i jeszcze raz przeszukać obszar.

Następnie, jak żywy potwór z zamierzchłej przeszłości, ogromny „Mściciel” zaczął powoli robić zwrot; ale w dalszym ciągu po „Sokole Millenium” nie było ani śladu.

Dwie świecące kule unosiły się jak świetliki z innego świata nad ciałem Luke’a leżącym nieruchomo w błocie. Stojąc opiekuńczo nad swym powalonym panem, mały beczkowaty robot wysuwał od czasu do czasu mechaniczny wysięgnik, odganiając tańczące obiekty, jakby były komarami. Ale unoszące się w powietrzu świetliste kule odskakiwały poza jego zasięg.

Erdwa Dedwa pochylił się nad nieruchomym ciałem i zagwizdał, usiłując przywrócić je do życia. Lecz Luke, nieprzytomny od wyładowań kuł energii, nie reagował. Robot odwrócił się do Yody, który siedział spokojnie na

pieńku, i zaczął buczeć z gniewem i wymyślać małemu Mistrzowi Jedi.

Nie spotkawszy się ze współczuciem, Erdwa odwrócił się z powrotem do Luke'a. Jego elektroniczne obwody powiedziały mu, że próby obudzenia go tymi cichymi dźwiękami nie mają sensu. Wewnątrz jego metalowego kadłuba włączył się system awaryjnego ratowania życia; wysunął małą metalową elektrodę i oparł ją na piersi komandora. Wydając cichy, pełen z troskania pisk, spowodował łagodny wstrząs elektryczny, akurat wystarczający, aby przywrócić Luke'owi przytomność. Pierś chłopaka uniosła się; obudził się nagle.

Wyglądając na oszołomionego, młody uczeń Jedi potrząśnięciem głowy przywrócił jasność myślom. Rozejrzał się wokół, rozcierając ramiona boleśnie zaatakowane przez samonaprowadzające się kule Yody. Zauważywszy, że szperacze wciąż nad nim wiszą, Luke zmarszczył się. Potem usłyszał w pobliżu radosny chichot swojego nauczyciela i spojrzał na niego z gniewem.

— Koncentracja, hę? — zaśmiał się Yoda, radośnie marszcząc swą pobrużdżoną twarz. — Koncentracja!

Luke nie czuł się na siłach, by odwzajemnić uśmiech.

— Myślałem, że te szperacze są nastawione na ogłuszenie! — wykrzyknął z gniewem.

— Tak też i jest — odpowiedział rozbawiony Yoda.

— Są o wiele silniejsze niż to, do czego jestem przyzwyczajony — ramię chłopca pulsowało boleśnie.

— Znaczenia by to nie miało, gdyby Moc przez ciebie płynęła — odpowiedział mistrz. — Wyżej byś skakał! Szybciej byś się ruszał! — wykrzyknął. — Na Moc otworzyć się musisz.

Uczeń zaczynał odczuwać zniecierpliwienie żmudnym szkoleniem, choć trenował dopiero od niedawna. Czuł, że jest bardzo blisko poznania Mocy, ale nie udało mu się tyle razy i zdawał sobie sprawę, jak jeszcze mu do niej daleko. Ale teraz prowokujące słowa Yody poderwały go na nogi. Był zmęczony tak długim czekaniem na tę siłę, znużony brakiem powodzenia i coraz bardziej rozszłoszczony niejasnymi naukami.

Chwycił swój miecz laserowy leżący w błocie i szybko go uruchomił.

Przerażony Erdwa Dedwa umknął na bezpieczną odległość.

— Jestem teraz na nią otwarty! — krzyknął. — Czuję ją. No dalej, latające miotaczyki! — Z ogniem w oczach Luke nastawił miecz i ruszył w kierunku szperaczy. Natychmiast uciekły i zatrzymały się nad Yoda.

— Nie, nie — skarcił go Mistrz Jedi, potrząsając siwą głową. — To na nic. Czujesz gniew.

— Czuję Moc! — zaprotestował Luke gwałtownie.

— Gniew, gniew, strach, agresję! — Yoda ostrzegł:

— Ciemną stroną Mocy są one. Łatwo przepływają... łatwo je włączyć do walki. Strzeż się, strzeż się, strzeż się ich. Za siłę, jaką przynoszą, zapłata jest duża.

Chłopak opuścił miecz i zmieszany wpatrywał się w nauczyciela.

— Zapłata? — zapytał. — Jak to?

— Ciemna strona przyzywa — powiedział Yoda dramatycznie. — Ale jeśli już raz na ciemną ścieżkę wejdiesz, na zawsze zdominuje ona twoje przeznaczenie. Spali cię ona — tak jak pewnego ucznia Obi-

—wana. Luke skinął głową. Wiedział, o kim mówi Yoda.

— Lord Vader — powiedział. Po chwilowym namyśle zapytał: — Czy ciemna strona jest silniejsza?

— Nie, nie. Łatwiejsza, szybsza, bardziej nęcąca.

— Ale jak mam odróżnić dobrą stronę od złej?

— zapytał zdezorientowany.

— Będiesz wiedział jak — odpowiedział Yoda

— kiedy będziesz pogodzony..., spokojny, pasywny.

Rycerz Jedi używa Mocy do zdobywania wiedzy. Nigdy do ataku.

— Ale powiedz mi, dlaczego... — zaczął Luke.

— Nie! Nie ma „dlaczego”. Nic więcej nie powiem ci.

Oczyść umysł z pytań. Spokojnym bądź, pogódź się... — głos mistrza zanikł, ale jego słowa wywarły hipnotyczny efekt. Młody uczeń przestał się sprzeciwiać i zaczął odczuwać spokój, odprężając ciało i umysł.

— Tak... — mruknął Yoda. — Spokojnie. Powoli oczy Luke'a zamknęły się, a on sam wyrzucił

z umysłu rozpraszające go myśli. Odprężyć się. Dać się unieść uczuciom...

— Pasywnie...

Słyszał, jak uspokajający głos Yody dociera do podatnej ciemności jego umysłu. Siłą woli towarzyszył słowom mistrza, dokądkolwiek miałyby go poprowadzić.

— Daj się ponieść uczuciom...

Kiedy Yoda stwierdził, że Luke jest tak odprężony, jak tylko mógł być młody uczeń na tym etapie, zrobił prawie niedostrzegalny gest. Dwie samonaprowadzające się kule runęły znad jego głowy w kierunku chłopca wyrzucając jednocześnie ładunki ogluszające.

W tym momencie Luke nagle ożył i uruchomił miecz laserowy. Zerwał się na nogi i z najwyższą koncentracją zaczął odbijać pędzące na niego ładunki. Nieustraszenie stawiał czoła atakowi; ruszał się i wykonywał uniki z niezwykłą gracją. Skoki, jakie robił, aby zablokować strumień energii, były wyższe, niż cokolwiek, co udało mu się osiągnąć do tej pory. Nie zmarnował ani jednego ruchu, koncentrując się tylko na ładunkach pędzących w jego kierunku.

A potem, tak niespodziewanie, jak się zaczął, atak szperaczy skończył się. Świejące kule wróciły na swoje miejsca po obu stronach głowy swego pana.

Erdwa Dedwa, nieskończenie cierpliwy jako obserwator, wydał elektroniczne westchnienie i potrząsnął metalową kopulastą głową.

Luke spojrzał w kierunku Yody z dumnym uśmiechem.

— Wielkie postępy czynisz, młodzieńcze — powiedział Mistrz Jedi. — Silniejszym się stajesz.

Młody mężczyzna był przepełniony dumą z powodu swego wspaniałego osiągnięcia. Przyglądał się nauczycielowi, czekając na dalsze pochwały, ale ten nie poruszył się ani nic więcej nie powiedział. Siedział spokojnie, a potem uniosły się zza niego kolejne dwie samonaprowadzające się kule i ustawiły się w szyku z dwoma poprzednimi.

Uśmiech Luke'a powoli zamarł.

Dwaj szturmowcy w białych pancerzach podnieśli ciało kapitana Needy z podłogi gwiazdowego niszczyciela Dartha Vadera.

Needa wiedział, że śmierć jest prawdopodobnym następstwem jego niepowodzenia w schwytaniu „Sokoła Millenium”. Wiedział też, że musi zameldować o tej sytuacji swemu panu i formalnie go przeprosić. Ale w wojsku Imperium nie było litości dla tych, którzy zawiedli. I Vader z niesmakiem spowodował śmierć kapitana.

Czarny Lord odwrócił się, a admirał Piett i dwóch jego kapitanów podeszło z meldunkiem o tym, co znaleźli.

— Lordzie Vader — powiedział Piett — nasze statki zakończyły przeczesywanie obszaru i nic nie znalazły. „Sokół Millenium” z całą pewnością wszedł w prędkość nadświatłą. Prawdopodobnie jest teraz gdzieś na drugim końcu Galaktyki.

Vader zasyczał zza maski oddechowej.

— Postawić w stan alarmu wszystkie eskadry. Obliczyć każdy możliwy port przeznaczenia wzdłuż ich ostatniej znanej trajektorii i wysłać flotę na poszukiwania. Proszę mnie znowu nie zawieść, admirale, mam już naprawdę tego dosyć!

Piett pomyślał o kapitanie „Mściciela”, którego przed chwilą wyniesiono jak worek kartofli. Pamiętał też bolesną śmierć admirała Ozzela.

— Tak jest, panie — odpowiedział, próbując ukryć strach. — Odnajdziemy ich. Następnie odwrócił się od adiutanta.

— Proszę rozwinąć flotę — rozkazał. Kiedy adiutant odszedł, aby wykonać rozkazy, po twarzy admirała przebiegł cień zmartwienia. Wcale nie był pewien, czy będzie miał większe szczęście niż Ozzel czy Needa.

Gwiazdny niszczyciel Lorda Vadera ruszył majestatycznie w przestrzeń. Wokół niego krążyła ochraniająca go flota mniejszych statków; armada Imperium oddalała się od „Mściciela”.

Nikt na jego pokładzie ani w całej flocie Vadera nie miał pojęcia, jak blisko są swej ofiary. Kiedy gwiazdny niszczyciel odpływał w przestrzeń, aby kontynuować poszukiwania, niósł ze sobą niezauważony, przyklejony do jednej strony ogromnej wieży na mostku, frachtowiec w kształcie smoka — „Sokoła Millenium”.

Wewnątrz sterowni „Sokoła” panowała cisza. Hań Solo zatrzymał statek i wyłączył wszystkie systemy tak szybko, że nawet zwykle rozmowny Če Trzypeo milczał. Stał, nie

drgnąwszy nawet jednym nitem, z wyrazem zdumienia zastygł na złocistej twarzy.

— Mogłeś go ostrzec, zanim go wyłączyłeś — powiedziała księżniczka Leia, patrząc na robota stojącego nieruchomo jak pomnik spiżu.

— Och, jak mi przykro — powiedział Hań z udawaną troską. — Nie chciałem urazić twojego robota. Myślisz, że hamowanie i wyłączenie wszystkiego w tak krótkim czasie jest łatwe?

Leia miała wątpliwości, co do całej strategii.

— W dalszym ciągu nie jestem pewna, co osiągnąłeś.

Zbagatelizował jej uwagę wzruszeniem ramion. Pomyślał, że dowie się wystarczająco szybko: po prostu nie było innego wyboru. Odwrócił się do swego pilota.

— Chewie, sprawdź ręczne zwolnienie łap ładownika.

Wookiee szczerknął, a potem wy dostał się z fotela i poszedł w kierunku rufy.

Leia obserwowała, jak zaczął odłączać łapy ładownika tak, żeby statek mógł wystartować bez żadnych mechanicznych przeszkód.

Potrząsając z niedowierzaniem głową, odwróciła się do Hana.

— Jaki ma być twój następny ruch?

— Flota wreszcie rozproszy się — powiedział, pokazując na iluminator. — Mam nadzieję, że będą trzymać się standardowej procedury Imperium i wyrzucą śmieci zanim wejdą w świetlną.

Księżniczka zastanawiała się przez chwilę nad tą strategią, a potem zaczęła się uśmiechać. Ten szaleniectwo właściwie mógł wiedzieć, co robi. Będąc pod tym wrażeniem, pogłaskała go po głowie.

— Nieźle, pistolecie, nieźle. A co potem?

— Potem musimy znaleźć bezpieczny port gdzieś tutaj. Masz jakiś pomysł?

— To zależy. Gdzie jesteśmy?

— Tutaj — powiedział Hań pokazując na konfigurację małych punktów świetlnych — koło Układu Anoat.

Leia wysunęła się z fotela i podeszła do pilota, aby lepiej widzieć ekran.

— To zabawne — stwierdził Hań po chwili namysłu — mam wrażenie, że już gdzieś tutaj byłem. Sprawdzę w logach.

— Masz logi? — księżniczka z każdą minutą była pod większym wrażeniem. — No, no, ale jesteś zorganizowany — zadrwiła.

— No cóż, czasami jestem — odpowiedział, śledząc dane na ekranie komputera. — Aha, wiedziałem! Lando, to powinno być interesujące.

— Nigdy nie słyszałam o tym układzie — powiedziała Leia.

— To nie układ. To człowiek, Lando Calrissian. Hazardzista, arcyoszust, łajdak — zrobił przerwę na tyle długą, aby to ostatnie słowo dobrze do niej dotarło i mrugnął — ...facet w twoim stylu, Układ Bepin. Dość daleko, ale osiągalny.

Spojrzała na jeden z monitorów komputera i odczytała dane. — Kolonia wydobywcza — zauważyła.

— Kopalnia gazu Tibanna — dodał Hań. — Lando wygrał ją w partyjce sabacc, a przynajmniej tak twierdzi. Znamy się od bardzo dawna.

— Czy można mu zaufać? — spytała.

— Nie. Ale nie kocha Imperium, tyle wiem.

Wookie szczeknął przez interkom.

Błyskawicznie reagując, Korelianin pstryknął kilkoma przełącznikami wprowadzając nowe informacje na ekrany komputera, a potem wychylił się, żeby spojrzeć przez iluminator.

— Widzę, Chewie, widzę — powiedział. — Przygotuj ręczne zwolnienie. — Następnie, odwracając się do księżniczki: — Nic z tego, kochanie — odchylił się w fotelu i uśmiechnął się zapraszająco.

Leia potrząsnęła głową, a potem uśmiechnęła się nieśmiało i szybko go pocałowała. — Miewasz swoje chwile — przyznała niechętnie. — Nieliczne, ale je miewasz.

Hań przyzwyczał się do wątpliwych komplementów księżniczki i nie można było powiedzieć, żeby tak naprawdę miał coś przeciwko nim. Coraz bardziej podobało mu się, że dzieli z nim jego własne sarkastyczne poczucie humoru. I był prawie pewien, że jej się też to podoba.

— Odrrywamy się, Chewie — krzyknął radośnie.

W podbrzuszu „Mściciela” otworzył się na całą szerokość luk. I podczas gdy galaktyczny krążownik Imperium wchodził z rykiem w nadprzestrzeń, wyrzucał z siebie jednocześnie własny pas sztucznych asteroidów — śmieci i części popsutego sprzętu, który rozsypał się w czarnej pustce przestrzeni. Ukryty wśród tych odpadków, „Sokół Millenium” odpadł niezauważony od kadłuba większego statku i pozostał daleko w tyle, a „Mściciel” błyskawicznie zniknął.

„Nareszcie bezpieczni” — pomyślał Hań Solo.

„Sokół Millenium” zapalił silniki jonowe i popędził w kierunku innego układu przez dryfujące kosmiczne śmieci.

Ale wśród tych rozrzuconych odpadków był jeszcze jeden statek.

I kiedy „Sokół” z rykiem runął na poszukiwanie Układu Bepin, ten drugi statek zapalił własne silniki. Boba Fett, najbardziej osławiony i wywołujący największy strach łowca nagród w Galaktyce, obrócił swój mały statek w kształcie głowy słonia, „Niewolnika I”, rozpoczynając pościg. Gdy Boba Fett nie zamierzał zgubić „Sokoła Millenium” z pola widzenia. Za głowę jego pilota wyznaczono zbyt dużą cenę. A była to nagroda, którą przerażający łowca chciał stanowczo odebrać.

Luke czuł, że robi zdecydowane postępy.

Biegł przez dżunglę — z Yodą przycupniętym mu na karku — i skakał z wdziękiem gazeli przez gęste zarośla i korzenie drzew rosnących na bagnach.

Zaczął wreszcie pozbywać się uczucia dumy. Czuł się lekki i w końcu był otwarty na pełne przeżycie przepływu Mocy.

Kiedy jego maleńki instruktor rzucił mu nad głowę srebrną sztabkę zareagował błyskawicznie. W jednej chwili odwrócił się rozcinając sztabkę na cztery błyszczące kawałki, zanim spadła na ziemię.

Yoda był zadowolony i skwitował wyczyn uśmiechem.

— Cztery tym razem! Moc czujesz. Ale Luke nagle zdekoncentrował się. Wyczuł coś niebezpiecznego, coś złego.

— Coś jest nie w porządku — powiedział do mistrza. — Czuję niebezpieczeństwo... Śmierć.

Rozejrzał się, próbując dostrzec, co tak silnie emanowało. Odwrócił się i zobaczył ogromne drzewo o splątanych konarach i suchej, poczerniałej, odpadającej korze. Podstawę drzewa otaczał mały stawek, a gigantyczne korzenie tworzyły ponure wejście do ciemnej groty.

Delikatnie zdjął Yodę z karku i postawił go na ziemi. Wpatrywał się jak sparaliżowany w ciemne monstrum. Oddychał ciężko i nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Przeprowadziłeś mnie tutaj celowo — powiedział w końcu.

Mistrz Jedi usiadł na powykręcany korzeniu i włożył w usta gałązkę gimer. Nie odezwał się, patrząc spokojnie na Luke'a.

Chłopak zadrżał.

— Zimno mi — powiedział, ciągle patrząc na drzewo.

— Ciemna strona Mocy zawładnęła tym drzewem. Sługa zła jest ono. Wejść tam musisz. Luke poczuł dreszcz niepokoju.

— Co tam jest?

— Tylko to, co weźmiesz ze sobą — powiedział Yoda niejasno.

Młody mężczyzna spojrzął ostrożnie na nauczyciela, a potem na drzewo. W milczeniu postanowił zebrać odwagę, chęć nauki i wejść w tę ciemność, aby stawić czoła temu, co może go tam czekać. Nie weźmie nic oprócz...

Nie. Weźmie też swój miecz świetlny.

Uruchamiając broń, przeszedł przez płytką wodę stawu w kierunku otworu ciemniejącego pomiędzy wielkimi, groźnymi korzeniami.

Ale zatrzymał go głos mistrza.

— Twoja broń — skarcił go Yoda. — Nie będziesz jej potrzebował.

Luke zatrzymał się i znowu spojrzął na drzewo. Wejść do złej groty zupełnie bez broni? Mimo to, że stawał się coraz sprawniejszy, czuł, że nie jest jeszcze zupełnie przygotowany do tej próby. Chwycił miecz silniej i potrząsnął głową.

Yoda wzruszył ramionami i spokojnie żuł gałązkę gimer.

Luke wziął głęboki oddech i ostrożnie wszedł do drzewnej jaskini.

Wewnątrz ciemność była tak gęsta, że czuł ją na skórze, tak czarna, że światło rzucane przez jego laserowy miecz zostało szybko wchłonięte i oświetlało niewiele więcej niż metr ziemi przed nim. Kiedy powoli ruszył naprzód, coś oślizłego, ociekającego wodą otarło mu się o twarz, a wilgoć

z nasiąkniętego wodą podłoża jaskini zaczęła przesiąkać mu do butów.

W miarę jak posuwał się przez ciemność, jego oczy zaczęły się do niej przyzwyczajać. Zobaczył przed sobą jakiś korytarz, ale kiedy ruszył w jego kierunku, zaskoczyła go gruba, lepka błona, która go całkowicie owinęła. Przylegała mu ściśle do ciała jak pajęczyna jakiegoś gigantycznego pająka. Wymachując mieczem świetlnym, w końcu wyplątał się i oczyścił przed sobą ścieżkę.

Trzymając świetlny miecz przed sobą, zauważył coś na dnie jaskini. Skierował miecz w dół i oświetlił czarnego, błyszczącego żuka wielkości jego dłoni, który błyskawicznie wbiegł po ośliszej ścianie, dołączając do skupiska swych pobratymców.

Luke wstrzymał oddech i cofnął się. Zaczął zastanawiać się nad znalezieniem wyjścia — ale zebrał się w sobie i ruszył w głąb czarnego pomieszczenia.

Poczuł, jak przestrzeń wokół niego rozszerza się. Szedł do przodu, używając miecza jak słabej latarni. Wytężał wzrok w ciemności i usilnie nasłuchiwał. Nie było żadnego dźwięku. Nic.

I nagle głośny świst.

Dźwięk był znajomy. Luke zastygł w miejscu. Słyszał ten syk nawet w koszmarach; był to pełen wysiłku oddech czegoś, co kiedyś było człowiekiem.

W ciemności pojawiło się światelko — błękitny płomień właśnie uaktywnionego miecza laserowego. W jego świetle zobaczył, jak groźnie mająca postać Dartha Vadera unosi świetlisty miecz do ataku i rzuca się na niego.

Rygorystyczne szkolenie Jedi przygotowało chłopaka na to. Uniósł własny miecz i wykonał perfekcyjny unik. Tym samym ruchem odwrócił się do Vadera i, całkowicie koncentrując umysł i ciało, wezwał Moc. Czując w sobie jej siłę, uniósł laserową broń i opuścił ją z trzaskiem na głowę przeciwnika.

To jedno potężne cięcie oddzieliło głowę Czarnego Lorda od jego ciała. Głowa i hełm uderzyły o ziemię i potoczyły się po jaskini z głośnym metalicznym dźwiękiem. Luke patrzył ze zdumieniem, jak ciemność całkowicie pochłania ciało Vadera. Potem spojrzął w dół na hełm, który zatrzymał się tuż przed nim. Przez chwilę leżał bez ruchu. Potem rozpadł się na połowy.

Wstrząśnięty chłopak patrzył z niedowierzaniem, jak pęknięty hełm odpada i odsłania nie znaną, wyimaginowaną twarz Dartha Vadera, ale jego własną twarz, twarz Luke'a, patrzącą w górę na niego.

Przeżaszony tym widokiem wstrzymał oddech. A potem, tak nagle, jak się pojawiła, odcięta głowa zniknęła jak upiorna wizja.

Luke wpatrywał się w ciemne miejsce, gdzie leżała głowa i kawałki hełmu. Jego umysł zawirował, a emocje szalejące mu w sercu były prawie nie do zniesienia.

Drzewo! pomyślał sobie. To wszystko było jakąś sztuczką tej okropnej groty, jakąś zagadką Yody, zain-scenizowaną dlatego, że wszedł do drzewa z bronią.

Zastanawiał się, czy rzeczywiście walczył sam z sobą, czy, gdyby padł ofiarą ciemnej strony Mocy, sam mógłby stać się tak zły jak Darth Vader.

Głowił się, czy za tą niepokojącą wizją nie kryje się jakieś nawet bardziej ponure znaczenie.

Dopiero po dłuższej chwili Luke Skywalker potrafił ruszyć się z tej głębokiej, ciemnej jaskini.

Tymczasem mały Mistrz Jedi siedział na korzeniu i spokojnie żuł swoją gałązkę gimer.

XI

Na gazowej planecie Bespin był świt. Rozpoczynając podejście przez atmosferę planety, „Sokół Millennium” minął kilka z wielu księżyców Bespin. Sama planeta świeciła tym samym miękkiem blaskiem świtu, który zabarwiał kadłub pirackiego statku. Zbliżając się, statek zboczył z kursu, aby uniknąć wąwozu kłębiących się chmur, które wirowały wokół planety.

Kiedy Hań Solo w końcu przebił się statkiem przez chmury, on sam i jego załoga po raz pierwszy zobaczyli gazowy świat Bespin. Manewrując wśród chmur, zauważyli, że leci za nimi jakiś obiekt latający, w którym Hań rozpoznał dwukabinowy pojazd konwekcyjny. Był zdumiony, kiedy maszyna zaczęła zbliżać się do frachtowca. „Sokół” nagle zachwiał się od trafienia salwą laserowego ognia. Nikt we frachtowcu nie oczekiwał takiego powitania.

Statek nadał przez system radiowy „Sokoła” zniekształconą zakłóceniami wiadomość.

— Nie — warknął Korelianin w odpowiedzi. — Nie mam pozwolenia na lądowanie. Mój numer rejestracyjny jest...

Ale jego słowa utonęły w głośnym trzasku zakłóceń radiowych.

Dwukabinowy pojazd najwyraźniej nie zamierzał przyjąć zakłóceń za odpowiedź. Znowu otworzył ogień do „Sokoła”, który trząśł się i trzeszczał od każdego trafienia.

Z głośników frachtowca dobiegł wyraźnie ostrzegawczy głos:

— Uwaga. Jakikolwiek agresywne posunięcie spowoduje wasze zniszczenie!

W tej chwili Hań nie miał najmniejszego zamiaru wykonywać żadnych agresywnych posunięć. Bespin była ich jedyną nadzieją na schronienie i nie planował zrazić do siebie swych przyszłych gospodarzy.

— Dość drażliwi, prawda? — skomentował w stylu Če Trzypeo.

— Myślałam, że znasz tych ludzi — powiedziała Leia karcąco, rzucając mu podejrzliwe spojrzenie.

— No — powiedział Korelianin z rezerwą — upłynęło już trochę czasu.

Chewbacca warknął i zaszczekał, niedwuznacznie potrząsając głową w kierunku Hana.

— To było dawno temu — odpowiedział ostro. — Jestem pewien, że zupełnie o tym zapomniał. — Ale zaczął się zastanawiać, czy Lando zapomniał o przeszłości...

— Pozwolenie lądowania na stanowisku 327. Jakakolwiek zmiana kursu spowoduje wasze...

Pilot ze złością wyłączył radio. Dlaczego mu tak dokuczano? Przybywał w pokojowych zamiarach; czy Calrissian nie zamierzał puścić urazów w niepamięć? Chewbacca mruknął i zerknął na Solo, który odwrócił się do Lei i jej zmartwionego robota.

— Pomoże nam — powiedział, próbując pocieszyć ich wszystkich. — Znamy się od bardzo dawna... naprawdę. Nie martwcie się.

— Kto się martwi? — skłamała nieprzekonywająco. Teraz już wyraźnie widzieli przez okno sterowni Miasto Chmur Bepin. Było ogromne i kiedy wyłoniło się z białej atmosfery, wydawało się, że unosi się w chmurach. Gdy „Sokół Millenium” zbliżył się do miasta, stało się jasne, że jego rozległa struktura wspiera się od spodu na cienkim unipodzie. Podstawę tego wspornika stanowił duży okrągły reaktor unoszący się na skłębionym morzu chmur.

„Sokół Millenium” opadł niżej i skręcił w kierunku lądowiska, przelatując obok wznoszących się iglic i wież rozsianych na całym terenie. Wokół tych budowli krążyło wiele dwukabinowych pojazdów, szybując bez wysiłku wśród mgieł.

Hań delikatnie posadził „Sokoła” na stanowisku 327; kiedy jonowe silniki statku zatrzymały się z jękiem, kapitan i jego załoga zobaczyli idący w kierunku stanowiska komitet powitalny z bronią w ręku. Jak wszędzie wśród mieszkańców Miasta Chmur, tak i w tej grupie byli obcy, roboty i ludzie wszystkich ras i wyglądu. Jednym z tych ludzi był przywódca grupy, Lando Calrissian.

Lando, przystojny czarnoskóry mężczyzna, może w tym samym wieku co Solo, był ubrany w eleganckie szare spodnie, niebieską koszulę i obszerny płaszcz. Stał bez uśmiechu czekając, aż załoga „Sokoła” wyjdzie na zewnątrz.

Hań Solo i księżniczka Leia pojawili się w otwartym luku statku z dobytymi miotaczami. Za nimi stał ogromny Wookiee ze swoją bronią w ręku i pasem z amunicją przewieszonym przez lewe ramię.

Korelianin nic nie mówił, ale spokojnie przyglądał się groźnej grupie powitalnej, która maszerowała do nich przez lądowisko. Zaczął wiać poranny wiatr, unosząc płaszcz Lando jak ogromne ciemnoniebieskie skrzydła.

— Nie podoba mi się to — szepnęła Leia do Hana. Jemu też się to nie podobało, ale nie zamierzał okazać tego księżniczce.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział cicho. — Zaufaj mi. — A potem przestrzegł ją: — Ale miej oczy otwarte. Zaczekaj tu.

Hań i Chewbacca zostawili księżniczkę na straży „Sokoła” i zeszli po pochylni, aby stanąć twarzą

w twarz z Calrissianem i jego pstrą gwardią. Obie grupy szły naprzeciw siebie, aż wreszcie dwaj mężczyźni zatrzymali się w odległości trzech metrów od siebie. Przez długą chwilę patrzyli jeden na drugiego w milczeniu.

W końcu Calrissian odezwał się, potrząsając głową i mrużąc oczy:

— Ty oślizły, przebiegły, nic nie warty oszuście — powiedział ponuro.

— Mogę ci wszystko wyjaśnić, stary — powiedział Korelianin szybko — jeśli tylko zechcesz posłuchać.

Ciągle nie uśmiechając się, Lando zaskoczył zarówno obcych, jak i ludzi mówiąc:

— Cieszę się, że cię widzę. Hań uniósł sceptycznie brew.

— Bez urazy.

— Żartujesz? — spytał ten chłodno.

Hań robił się nerwowy. Przebaczone mu czy nie?

Obstawa i adiutanci nie opuścili jeszcze broni, a postawa Lando była tajemnicza. Usiłując ukryć zmartwienie, Korelianin dodał wspaniałomyślnie:

— Zawsze mówiłem, że jesteś gentlemanem. Calrissian wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jasne — zachichotał.

Hań roześmiał się z ulgą i dwaj starzy przyjaciele w końcu objęli się jak dawno rozdzieleni wspólnicy

— jakimi byli.

Lando zamachał ręką do Wookiego, który stał za swym szefem.

— Jak ci leci, Chewbacca? — zapytał przyjaźnie.

— Dalej marnujesz czas z tym pajacem, co? Wookie warknął z rezerwą na powitanie. Calrissian nie był pewien, jak rozumieć to warknięcie.

— Świetnie — uśmiechnął się półgębkiem, wyglądając dość niepewnie. Ale jego uwagę od tej kudłatej masy mięśni i futra odciągnęła Leia schodząca po pochylni. Zaraz za tym ślicznym zjawiskiem szedł robot protokolarny, który ostrożnie zerknął dookoła idąc w kierunku mężczyzn.

— Hola! A co my tu mamy? — gospodarz Bespin przywitał ją z podziwem. — Jestem Lando Calrissian, zarządca tej placówki. A kim ty możesz być?

Księżniczka była chłodno uprzejma.

— Możesz mówić mi Leia — odpowiedziała. Lando skłonił się formalnie i delikatnie ucałował jej rękę.

— A ja — powiedział towarzyszący jej robot przedstawiając się administratorowi — jestem Če Trzypeco, stosunki między ludźmi i cyborgami, do u...

Ale zanim mógł zakończyć, Hań położył rękę na ramieniu Lando i odprowadził go na bok z dala od księżniczki.

— Ona podróżuje ze mną — poinformował starego przyjaciela — i nie zamierzam jej przegrać. Więc równie dobrze możesz zapomnieć o jej istnieniu.

Przecinając lądowisko, Lando spojrział tęsknie przez ramię na idących za nimi Leię, Trzypeco i Chewbaccę. — To nie będzie łatwe, przyjacielu — powiedział z żalem. A potem odwrócił się do Hana. — Co cię tu właściwie sprowadza?

— Naprawy.

Twarz zarządcy przybrała wyraz udawanej paniki.

— Co zrobisz z moim statkiem?

Uśmiechając się, Solo obejrzał się na Leię. — Lando był kiedyś właścicielem „Sokoła” — wyjaśnił — i czasami zapomina, że stracił go uczciwie i raz na zawsze.

Lando wzruszył ramionami uznając chętlive twierdzenie Hana.

— Ten statek uratował mi życie wiele razy. To najszybszy kawał złomu w Galaktyce. Co jest nie w porządku?

— Hipernapęd.

— Każę moim ludziom natychmiast zabrać się do roboty — rzekł Carlissian. — Nie zniosę myśli, że „Sokół Millennium” jest pozbawiony swej duszy.

Przeszli przez wąski mostek łączący lądowisko z miastem i natychmiast oszołomiło ich jego piękno. Zobaczyli mnóstwo małych placów otoczonych wieżami, iglicami i budynkami o gładkich krawędziach. Budowle składające się na mieszkaniowe i profesjonalne części błyszcząły bielą, rzucając blaski w porannym słońcu. Populację miasta tworzyły liczne obce rasy i wielu z tych mieszkańców spacerowało szerokimi ulicami obok gości z „Sokoła”.

— Jak ci idzie z kopalnią? — spytał Hań.

— Nie tak dobrze, jakbym chciał — odparł Calrissian. — Jesteśmy małą i niezbyt samowystarczalną placówką. Mam problemy z wszelkimi dostawami i...

— administrator zauważył rozbawienie Korelianina.

— Co cię tak śmieszy?

— Nic — zachichotał Hań. — Nigdy bym nie zgadł, że w środku tego dzikiego kombinatora, jakiego znałem, siedzi odpowiedzialny przywódca i człowiek interesu. — Musiał przyznać, choć niechętnie, że jest pod wrażeniem. — Dobrze ci z tym.

Lando spojrział w zamyśleniu na starego przyjaciela.

— Twój widok z pewnością ożywia parę wspomnień. —

Potrząsnął głową z uśmiechem. — Tak, jestem teraz odpowiedzialny. To cena sukcesu. I wiesz co? Miałeś zupełną rację. Jest przereklamowany.

Obaj wybuchnęli śmiechem, na co paru mieszkańców miasta przechodzących obok odwróciło głowy.

Če Trzypeo został nieco z tyłu, zafascynowany tłumami obcych spieszących ulicami Miasta Chmur, unoszącymi się pojazdami, wspaniałymi, wymyślnymi budynkami. Kręcił głową, próbując wszystko to zarejestrować w swych komputerowych obwodach.

Gapiąc się na nowe widoki, złocisty robot minął drzwi wychodzące na pasaż. Słyszając, że się otwierają, odwrócił się, zobaczył, jak wychodzi z nich srebrzysta jednostka 3PO i stanął, żeby popatrzeć na robota. Kiedy tak stał, usłyszał przytłumione piski i gwizdy dochodzące zza drzwi.

Zajrzał do środka i zobaczył znajomo wyglądającego robota siedzącego w przedpokoju.

— Och, jednostka R2! — zaszczębiotał radośnie. — Prawie już zapomniałem, jakie wydają dźwięki.

Trzypeo przeszedł przez drzwi i znalazł się w środku. Natychmiast wyczuł, że on i jednostka R2 nie są sami.

Zaskoczony, wyrzucił w górę złociste ramiona, a na jego połączanej płycie twarzowej zastygł wyraz zdumienia.

— Ojej! — wykrzyknął. — Wyglądają jak...

Kiedy to mówił, promień z lasera trafił go w metalową pierś, posyłając jego części w dwudziestu różnych kierunkach. Jego ręce i nogi roztrzaskały się i opadły w dymiącą stertę z resztą jego mechanicznego ciała.

Drzwi z tyłu zatrzęsły się.

Trochę dalej Lando poprowadził swoją grupkę do biurowca. Idąc białymi korytarzami wskazywał obiekty godne uwagi. Nikt nie zauważył nieobecności Trzypeo.

Jedynie Chewbacca nagle zatrzymał się, spojrzał do tyłu, i zaczął węszyć z ciekawością. Następnie wzruszył ogromnymi ramionami i poszedł za innymi.

Luke był absolutnie spokojny. Nawet jego obecna pozycja nie powodowała wrażenia napięcia czy niepełności ani żadnych innych negatywnych odczuć, jakie miał, kiedy usiłował tego dokonać po raz pierwszy. Stał na jednej ręce, zachowując absolutną równowagę. Wiedział, że Moc jest z nim.

Jego cierpliwy Mistrz Yoda siedział spokojnie na podszwach tkwiących w górze stóp Luke'a. Chłopak skoncentrował się na swoim zadaniu i nagle oderwał od ziemi cztery palce. Zachowując równowagę, utrzymywał swą pozycję do góry nogami — na kciuku.

Determinacja chłopca spowodowała, że uczył się szybko. Bardzo chciał zdobyć wiedzę i nie zrażał się testami, jakie wymyślał dla niego Yoda. A teraz był pewny, że kiedy w końcu opuści tę planetę, zrobi to jako dojrzały Rycerz Jedi przygotowany do walki jedynie w najszlachetniejszych sprawach.

Szybko odkrywał w sobie coraz głębsze pokłady Mocy i rzeczywiście dokonywał cudów. Yoda był coraz bardziej zadowolony z postępów ucznia. Kiedyś, kiedy stał w pobliżu i patrzył, Luke używając Mocy uniósł dwie skrzynki na wyposażenie i zawiesił je w powietrzu. Nauczyciel był zadowolony, ale zauważył, że Erdwa Dedwa obserwuje to pozornie niemożliwe zjawisko i wydaje pełne niewiary elektroniczne piski.

Mistrz Jedi uniósł rękę i używając Mocy uniósł małego robota z ziemi.

Erdwa zawisł w powietrzu, a jego wytracone z równowagi obwody wewnętrzne i czujniki próbowały wykryć niewidzialną siłę, która utrzymywała go w powietrzu. I nagle niewidoczna ręka zrobiła mu jeszcze jeden żart: nagle odwróciła małego robota do góry nogami. Zaczął rozpaczliwie nimi wymachiwać i bezradnie kręcić kopulastą głową. Kiedy Yoda w końcu opuścił rękę, robot, razem z dwiema skrzynkami, zaczął spadać. Ale tylko pudła rozbiły się o ziemię. Erdwa został zawieszony w powietrzu.

Odwracając głowę, Erdwa zobaczył, że jego młody pan stał z wyciągniętą ręką, nie pozwalając mu się roztrzaskać.

Mistrz potrząsnął głową pod wrażeniem szybkości myślenia swego ucznia i jego opanowania.

Yoda wskoczył Luke'owi na ramię i obaj ruszyli do domu. Ale zapomnieli o czymś: Erdwa Dedwa wisiał w powietrzu gorączkowo piszcząc i gwizdząc, próbując zwrócić na siebie ich uwagę. Yoda po prostu jeszcze raz zażartował sobie z nerwowego robota i kiedy razem z młodym uczniem odchodzili, Erdwa słyszał, jak podobny do dzwonka śmiech Mistrza Jedi unosi się nagłymi wybuchami za nim, a on sam powoli opada na ziemię.

W jakiś czas potem, kiedy zmierzch pełził już przez gęstą roślinność bagna, robot czyścił kadłub X-skrzydłowca. Spryskiwał statek silnym strumieniem wody z węża biegnącego od stawu do otworu w jego kadłubie. Kiedy on pracował, Luke i Yoda siedzieli na polance. Chłopak zamknął oczy w koncentracji.

— Bądź spokojny — powiedział nauczyciel. — Dzięki Mocy różne rzeczy zobaczysz: inne miejsca, inne myśli, przyszłość, przeszłość, starych przyjaciół dawno odeszłych.

Luke koncentrował się coraz bardziej na słowach Yody. Tracił poczucie własnego ciała i pozwalał, aby jego świadomość unosiła się razem ze słowami mistrza.

— Umysł wypełnia mi wiele obrazów.

— Kontroli, kontroli nad tym, co widzisz, musisz się nauczyć — pouczał Mistrz Jedi. — Nie łatwo, nie szybko.

Luke zamknął oczy, odprężył się i zaczął wyzwalać umysł, zaczął kontrolować obrazy. W końcu coś się pojawiło, z początku niewyraźnie, coś białego, bez kształtowego. Stopniowo obraz wyostrzył się. Zdawało się, że jest to miasto, miasto, które unosiło się w skłębionym białym morzu.

— Widzę miasto w chmurach — powiedział w końcu.

— Bospin — zidentyfikował je Yoda. — także je widzę.

Przyjaciół tam masz, he? Skoncentruj się, a ujrzysz ich.

Koncentracja Luke'a pogłębiła się. Miasto w chmurach stało się wyraźniejsze. W miarę koncentracji dostrzegał znajome postacie ludzi, których znał.

— Widzę ich! — wykrzyknął mając oczy ciągle zamknięte. Nagle wstrząsnął nim ostry ból fizyczny i psychiczny. — Oni cierpią.

— To przyszłość widzisz — wyjaśnił głos Yody. Przyszłość, pomyślał Luke. A więc ból, jaki poczuł, nie został jeszcze zadany jego przyjaciołom. Więc może przyszłość nie jest niezmiennalna.

— Czy oni umrą? — zapytał mistrza.

Yoda potrząsnął głową i delikatnie wzruszył ramionami. — Trudno dostrzec. Zawsze w ruchu jest przyszłość.

Chłopak z powrotem otworzył oczy. Wstał i szybko zaczął zgarniać swój sprzęt. — To moi przyjaciele — powiedział domyślając się, że Mistrz Jedi mógłby spróbować odwieść go od tego, co wiedział, że musi zrobić.

— I dlatego — dodał Yoda — zdecydować musisz, jak usłużyć im najlepiej. Jeśli odejdziesz teraz, pomóc im mógłbyś. Ale zniszczyłbyś wszystko, o co walczyli i za co cierpieli.

Na te słowa Luke stanął jak wryty. Osunął się na ziemię czując, jak ogarnia go uczucie przygnębienia. Czy naprawdę

mógłby zniszczyć wszystko, dla czego pracował, a być może zniszczyć też swoich przyjaciół? Ale jak mógł nie spróbować ich uratować?

Erdwa wyczuł rozpacz swego pana i potoczył się do niego, aby pocieszyć go, jak potrafił.

Chewbacca, który zaczął się martwić o Trzypeo, odłączył się od Hana Solo i innych; zaczął szukać robota. Wystarczyło tylko, że wędrując nieznanymi białymi korytarzami i pasażami Bepin kierował się wyczulonym instynktem właściwym rasie Wookie.

Kierując się zmysłami, Chewbacca trafił w końcu na ogromne pomieszczenie w korytarzu na zewnątrz Miasta Chmur. Kiedy zbliżył się do wejścia do hali, usłyszał szcęk uderzających o siebie metalowych przedmiotów. Oprócz brzęku słychać było niskie pomrukiwania istot, z jakimi nigdy przedtem się nie zetknął.

Pomieszczenie, które znalazł, było halą odpadków Miasta Chmur — składnicą zniszczonych urządzeń z całego miasta i innych wyrzuconych metalowych śmieci. Wśród porozrzucanych kawałków metalu i splątanego drutu stały cztery wieprzopodobne istoty. Głowy miały pokryte gęstymi białymi włosami, które też częściowo porastały ich pomarszczone świńskie twarze. Te humanoidalne zwierzęta — nazywane na tej planecie Ugnaughtami — były zajęte sortowaniem wyrzuconych kawałków metalu i wrzucaniem ich do rozpalonego pieca.

Chewbacca wszedł do hali i od razu zauważył, że jeden z Ugnaughtów trzyma znajomo wyglądający kawałek złocistego metalu.

Świniopodobna istota już unosiła rękę, aby wrzucić odciętą metalową nogę do rozpalonej czeluści, kiedy Chewbacca ryknął na nią desperacko, Ugnaught upuścił nogę i uciekł do swoich towarzyszy, kuląc się ze strachu.

Wookie chwycił metalową nogę i uważnie się jej przyjrzał. Nie mylił się. Kiedy warknął gniewnie na zbitych w gromadkę Ugnaughtów, zadrżeli i zaczęli pochrząkiwać jak stadko przestraszonych świń.

Do okrągłego salonu apartamentów przydzielonych Hanowi Solo i jego grupie wpadało światło słoneczne. Salon był biały i prosto umeblowany — poza kanapą i stołem nie było w nim wiele więcej. Każde z czworga rozsuwanych drzwi, umieszczonych wzdłuż kolistej ściany, prowadziły do jednego z przyległych apartamentów.

Hań wychylił się z dużego werandowego okna salonu, aby objąć wzrokiem panoramiczny widok Miasta Chmur. To, co zobaczył, zaparło dech nawet takiemu staremu gwiazdnemu wyjadaczowi jak on. Patrzył jak pojazdy konwekcyjne mijają się pomiędzy wysokimi budynkami, a potem spojrzął w dół, na ludzi poruszających się po ulicach. Chłodne, czyste powietrze opływało mu twarz, i przynajmniej w tej chwili czuł się, jakby w całym wszechświecie nie istniały żadne troski.

Drzwi za nim otworzyły się, odwrócił się i zobaczył stojącą u wejścia do swego apartamentu księżniczkę Leię.

Sprawiała oszałamiające wrażenie. Ubrana w czerwień ze śnieżnobiałym płaszczem spływającym na podłogę, Leia wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Długie, ciemne włosy miękko okalające jej owalną twarz miała przewiązane wstążkami. Patrzyła na niego, uśmiechem kwitując jego pełne zdumienia spojrzenie.

— Na co się gapisz? — zapytała czerwieniąc się.

— Kto się gapi?

— Wyglądasz głupio — powiedziała ze śmiechem.

— Wyglądasz wspaniale.

Odwrociła wzrok, zmieszana. — Czy Trzypeo już wrócił? — zapytała, próbując zmienić temat.

Zaskoczyła tym Solo. — Hę? Aha. Chewie poszedł go szukać. Zbyt długo go nie ma, żeby tak po prostu się zgubił. — Poklepał miękką kanapę. — Chodź tutaj. — Skinął na Leię. — Chcę ją wypróbować.

Zastanowiła się przez chwilę nad jego zaproszeniem, a potem podeszła i usiadła obok niego. Był uradowany jej widoczną uległością i pochylił się, aby objąć ją ramieniem. Odsunęła się trochę i powiedziała:

— Mam nadzieję, że Luke'owi udało się dotrzeć do Yody.

— Luke! — Hań zaczynał się denerwować. Jak długo musiał jeszcze bawić się w „trudne-do-zdobycia”? To była jej gra i jej zasady. Ale on przecież zdecydował, że wchodzi do gry. Leia była zbyt śliczna, aby się jej oprzeć.

— Jestem pewien, że nic mu nie jest — powiedział uspokajająco. — Prawdopodobnie siedzi gdzieś tam i zastanawia się, co teraz robimy.

Przysunął się do niej i objął ją ramieniem przyciągając do siebie. Spojrzała na niego zachęcająco, więc zbliżył się, aby ją pocałować — i właśnie wtedy rozsunęły się jedne z drzwi. Do pokoju wtoczył się Chewbacca niosąc dużą skrzynkę wypełnioną niepokojąco znajomymi metalowymi częściami — kawałkami, jakie pozostały z Če Trzypeo. Wookie postawił skrzynkę na stole. Machnął ręką w stronę Hana; szczeniem i warczeniem dał wyraz niepokojowi.

— Co się stało? — spytała podchodząc bliżej, aby przyjrzeć się stercie luźnych części.

— Znalazł Trzypeo w hali śmietnikowej. Leia wstrzymała oddech.

— Ale płatanina! Chewie, jak sądzisz, potrafisz go naprawić?

Wookie przyjrzał się kolekcji części robota, a potem spojrzał na księżniczkę, wzruszył ramionami i zaryczał. Wyglądało to na niewykonalne zadanie.

— Może przekażemy go Lando do naprawy? — zasugerował Hań.

— Nie, dziękuję — odparła z zimnym błyskiem w oku. — Coś tu nie gra. Twój przyjaciel Lando jest bardzo czarujący, ale ja mu nie ufam.

— A ja tak — Solo stanął w obronie ich gospodarza. — Słuchaj, no, kochanie, nie mam zamiaru, żebyś oskarżała mojego przyjaciela o...

Ale przerwało mu brzęczenie rozsuwających się drzwi i do salonu wszedł Lando Calrissian. Podeszedł do nich

uśmiechając się serdecznie. — Przepraszam, nie przeszkadzam?

— Niezupełnie — odpowiedziała wyniośle księżniczka.

— Moja droga — powiedział Lando ignorując jej chłodną rezerwę — twoja piękność jest niezrównana. Zaiste twoje miejsce jest u nas. Wśród chmur.

Uśmiechnęła się lodowato.

— Dziękuję.

— Czy zechciałabyś towarzyszyć mi przy skromnym posiłku?

Hań musiał przyznać, że jest trochę głodny. Jednak z jakiegoś powodu, którego nie potrafił całkowicie określić, ogarnęła go fala podejrzeń, co do przyjaciela. Nie pamiętał, żeby Calrissian kiedykolwiek był tak uprzejmy. Tak przymilny. Może Leia żywiła słuszne podejrzenia...

Tok jego myśli zakłóciło entuzjastyczne szczeknięcie Chewiego na wzmiankę o jedzeniu. Na myśl o solidnym posiłku ogromny Wookie aż się oblizał.

— Oczywiście wszyscy są zaproszeni — powiedział Lando.

Księżniczka przyjęła jego ramię. Kiedy ruszyli do drzwi, Calrissian dostrzegł pudło ze złocistymi częściami robota. — Jakieś problemy z waszym robotem? — spytał.

Hań i Leia wymienili przelotne spojrzenie. Jeśli Ko-relianin chciał poprosić zarządcę Bepin o pomoc w naprawie robota, teraz byłby właściwy moment.

— Wypadek — mruknął. — Nic takiego. Poradzimy sobie.

Wyszli z salonu zostawiając w nim roztrzaskane szczątki robota protokolarnego.

Szli długimi białymi korytarzami, Leia między Ha-nem i Lando. Solo nie był wcale pewien, czy podoba mu się wizja współzawodnictwa o względy dziewczyny — szczególnie w tych warunkach. Ale teraz byli na łasce Lando. Nie mieli innego wyboru.

Przyłaczył się do nich osobisty adiutant Calrissiana, wysoki, łysy mężczyzna w szarej kurtce z obszernymi żółtymi rękawami. Miał urządzenie radiowe, przylegające mu do potylicy i zakrywające oboje uszu. Szedł z Chewbacca trochę z tyłu za gośćmi i gospodarzem, który po drodze do swej jadalni opisywał im sposób rządzenia planetą.

— Więc widzicie — wyjaśnił Lando — że jesteśmy wolną placówką i nie podlegamy jurysdykcji Imperium.

— Więc jesteście częścią gildii wydobywczej? — spytała Leia.

— Niezupełnie, jesteśmy na tyle mali, że nas nie widać. Wiele z tego, co robimy, jest, no... nieoficjalne.

Weszli na werandę dającą widok na spiralny szczyt Miasta Chmur. Zobaczyli kilka pojazdów konwekcyjnych wdzięcznie śmigających wokół pięknych wieżyc miasta. Był to spektakularny widok i wywarł na gościach duże wrażenie.

— To urocza placówka — zachwyciła się księżniczka.

— Tak, jesteśmy z niej dumni — odparł gospodarz.

— Przekonasz się, że tutejsze powietrze jest dość specjalne... bardzo pobudzające. — Uśmiechnął się do niej znacząco. — Mogłabyś je polubić.

Hań nie przeoczył kokieterijnego spojrzenia Lando i wcale mu się ono nie podobało. — Nie planujemy zostać tu tak długo — powiedział szorstko.

Leia uniosła brew i spojrzała szelmowsko na wściekłego już Korelianina. — Jest bardzo odprężające — rzekła.

Lando parsknął śmiechem i wyprowadził ich z werandy. Zbliżyli się do jadalni z jej masywnymi zamkniętymi drzwiami i kiedy się przed nimi zatrzymali, Chewie uniósł głowę i z ciekawością wciągnął powietrze. Odwrócił się i z niepokojem szczeknął do Hana.

— Nie teraz, Chewie — skarcił go partner i zwrócił się do Calrissiana. — Lando, nie boisz się, że Imperium w końcu odkryje to małe przedsięwzięcie i zamknie cię?

— Zawsze istnieje to niebezpieczeństwo — odparł administrator. — Kładzie się cieniem na wszystko, co tu zbudowaliśmy. Ale zaistniały warunki, które zapewnią nam bezpieczeństwo. Widzisz, dobiłem targu, na mocy którego Imperium nigdy się tu nie wtrąci.

Przy tych słowach potężne drzwi rozsunęły się i Hań natychmiast zrozumiał, czego musiał dotyczyć ten „targ”. Przy końcu ogromnego stołu bankietowego stał łowca nagród Boba Fett.

Fett stał obok fotela, na którym spoczywała czarna esencja samego zła — Darth Vader. Lord Sith powoli wyprostował się na całą swą groźną dwumetrową wysokość.

Hań rzucił Lando swoje najbardziej pogardliwe spojrzenie.

— Przykro mi, stary — powiedział zarządca lekko przeproszającym tonem. — Nie miałem wyboru. Przylecieli tuż przed tobą.

— Mnie też jest przykro — warknął Korelianin, wyrwał miotacz z kabury. Wycelował go prosto w czarną postać i zaczął posyłać w jej kierunku promienie laserowe.

Ale człowiek, który pewnie był najszybszym strzelcem w Galaktyce, nie był dość szybki, aby zaskoczyć Vadera. Zanim ładunki znalazły się w połowie drogi, Czarny Lord uniósł chronioną rękawicą dłoń i bez wysiłku odbił je tak, że eksplodowały w zetknięciu ze ścianą nieszkodliwym deszczem latających białych odłamków.

Zdumiony tym, co właśnie zobaczył, Hań spróbował wypalić ponownie. Ale zanim wystrzelił kolejny ładunek laserowy, coś — coś niewidzialnego, ale niewiarygodnie silnego — wyrwało mu broń z ręki i rzuciło ją prosto w dłoń Vadera. Kruczoczarna postać spokojnie położyła broń na stole.

Sycząc przez obsydianową maskę, Czarny Lord zwrócił się do swego niedoszłego napastnika: — Będziemy zaszczytzeni twoim towarzystwem.

Erdwa Dedwa czuł, jak deszcz bębni o jego metalową kopułkę. Posuwał się z wysiłkiem wśród błotnistych kałuż

bagna. Szedł do chatki Yody i wkrótce jego czujniki optyczne uchwyciły złocisty blask padający z jej okien. Zbliżając się do tego przytulnego domku odczuł ulgę, że wreszcie ochromił przed tym denerwującym, uporczywym deszczem.

Ale kiedy spróbował wejść do środka, odkrył, że jego sztywny metalowy korpus po prostu nie może przecisnąć się przez drzwi; spróbował najpierw z jednej strony, potem z drugiej. W końcu do jego komputernego mózgu dotarło, że ma po prostu niewłaściwy kształt.

Ledwo wierzył czujnikom. Zaglądając do środka, zarejestrował jakąś postać krzątającą się po kuchni, mieszającą coś w parujących garnkach, siekającą jakieś produkty, biegającą w różnych kierunkach. Ale postać w małej kuchni Yody, wykonująca jego prace kuchenne, nie była Mistrzem Jedi — lecz jego uczniem.

Yoda, jak wynikało z obserwacji Erdwa, po prostu siedział w przyległym pokoju i ze spokojnym uśmiechem przyglądał się swemu młodemu adeptowi. Nagle Luke zatrzymał się, jakby pojawił się przed nim jakiś przykry widok.

Mistrz zauważył zatroskane spojrzenie chłopaka. Kiedy tak obserwował swego ucznia, zza jego pleców wychyły się trzy świetliste szperacze i bezgłośnie runęły w kierunku młodego Jedi, aby zaatakować go od tyłu. Luke natychmiast odwrócił się do nich z pokrywką w jednej ręce i łyżką w drugiej.

Szperacze wysłały ładunek za ładunkiem prosto w młodego mężczyznę, ale on parował je wszystkie ze zdumiewającą zręcznością. Jeden ze szperaczy odleciał w kierunku otwartych drzwi, skąd Erdwa obserwował popis swego pana. Wierny robot dostrzegł błyszczącą kulę zbyt późno, aby uniknąć ładunku, jaki wystrzeliła w jego kierunku. Siła uderzenia przewróciła skrzeczącego robota na ziemię powodując wstrząsy, od których niemal obłuzowały się jego elektroniczne wnętrza.

Wieczorem, po pomyślnym przejściu kilku testów, zmęczony Luke Skywalker zasnął w końcu na ziemi przed domkiem Yody. Spał niespokojnie, rzucając się i cicho jęcząc. Obok stał jego zaniepokojony robot. Wysunął wysięgnik i przykrył swego pana kocem, który zsunął się z niego do połowy. Ale kiedy chciał odjechać, Luke zaczął stękać i drzeć, jakby miał okropny koszmar.

Yoda usłyszał jęki wewnątrz domku i pośpieszył do drzwi.

Chłopiec gwałtownie obudził się. Rozejrzał się w oszołomieniu, zobaczył jak jego nauczyciel przygląda mu się z progu domu z troską w oczach. — Nie potrafię pozbyć się tego obrazu — powiedział Luke.

— Moi przyjaciele... mają kłopoty... a ja czuję, że...

— Nie wolno ci tam iść — ostrzegł nauczyciel.

— Ale Hań i Leia zginą, jeśli tego nie zrobię.

— Tego nie wiesz — to był szept Obi-wana, który zaczął się przed nimi materializować. Obraz postaci w

ciemnych szatach migotał i skrzył się. — Nawet Yoda nie potrafi dostrzec ich losu.

Jednak Luke był szczerze zmartwiony i zdecydowany coś zrobić.

— Mogę im pomóc! — upierał się.

— Nie jesteś jeszcze gotowy — powiedział Ben łagodnie.

— Masz jeszcze wiele nauki.

— Czuję Moc — odparł komandor.

— Ale nie potrafisz nad nią panować. To niebezpieczne stadium. Teraz jesteś najbardziej podatny na pokusy ciemnej strony.

— Tak, tak — dodał Yoda. — Obi-wana słuchaj, młodzieńcze. Drzewo. Wspomnij niepowodzenie z drzewem. Hę?

Luke przypomniał sobie z bólem, chociaż czuł, że w tym doświadczeniu zyskał wiele siły i zrozumiał wiele rzeczy.

— Dużo się nauczyłem od tego czasu. I wrócę, żeby dokończyć naukę. Obiecuję, mistrzu.

— Nie doceniasz Imperatora — rzekł Ben z powagą.

— On chce właśnie ciebie. Dlatego cierpią twoi przyjaciele.

— I dlatego muszę iść — odpowiedział. Kenobi był stanowczy. — Nie zamierzam cię stracić na rzecz Imperatora, tak jak kiedyś straciłem Vadera.

— Nie stracisz mnie.

— Tylko w pełni wyszkolony Rycerz Jedi, z Mocą jako sprzymierzeńcem, pokona Vadera i jego Imperatora — powiedział Ben z naciskiem. — Jeśli zakończysz nauki teraz, jeśli wybierzesz prostą i łatwą ścieżkę; tak jak Vader staniesz się narzędziem zła, a Galaktyka jeszcze głębiej pogąrzy się w otchłani rozpacz i nienawiści.

— Zatrzymać ich trzeba — wtrącił Yoda. — Słyszysz? Od tego zależy wszystko.

— Jesteś ostatnim Jedi, Luke. Jesteś naszą jedyną nadzieją. Cierpliwości.

— Mam poświęcić Hana i Leię? — zapytał chłopak z niedowierzaniem.

— Jeśli wierzysz w to, o co walczą — rzekł Yoda i zrobił długą przerwę — ...tak!

Rozpacz ogarnęła Luke'a. Nie był pewien, czy potrafi pogodzić rady tych wielkich mędrców z własnymi uczuciami. Jego przyjaciele znajdują się w straszliwym niebezpieczeństwie, więc oczywiście musi ich ratować. Ale nauczyciele uważają, że nie jest gotowy, że może być zbyt słaby dla potężnego Vadera i Imperatora, że może sprowadzić na siebie i swoich przyjaciół nieszczęście — i nawet na zawsze zagubić się na ścieżce zła.

A jednak jak mógł się bać tych abstrakcji, kiedy Hań i Leia byli prawdziwi i cierpieli? Jak mógł pozwolić sobie na strach przed możliwym niebezpieczeństwem grożącym jemu, kiedy przyjaciele znajdowali się teraz w obliczu rzeczywistego niebezpieczeństwa śmierci?

Nie miał już żadnych wątpliwości, co musi zrobić.

O zmierzchu następnego dnia Erdwa Dedwa usadowił się w swoim gnieździe za kokpitem w myśliwcu.

Yoda stał na jednej ze skrzynek, patrząc, jak chłopiec ładuje pojemniki jeden za drugim do spodniej części X-skrzydłowca przy świetle jego reflektorów.

— Nie mogę cię ochraniać, Luke — przypląnął głos Bena Kenobiego, a jego odziana w długą szatę postać przybrała wyraźną formę. — Jeśli zdecydujesz się stawić czoła Vaderowi, zrobisz to sam. Kiedy już podejmiesz tę decyzję, ja nie będę mógł się wtrącać.

— Rozumiem — odparł młody mężczyzna spokojnie. Następnie odwrócił się do swego robota i powiedział: — Erdwa, włącz konwektory mocy.

Erdwa, który już wcześniej zwolnił sprzęgła napędu na statku, zagwizdał uszczęśliwiony, że wreszcie opuszcza ten ponury świat bagien, który z pewnością nie jest miejscem dla robota.

— Luke — przestrzegł Ben — używaj Mocy tylko dla zdobycia wiedzy i obrony, nigdy jako oręża. Nie ulegaj nienawiści i gniewowi. One prowadzą na ciemną stronę.

Ledwo go słuchając, chłopak skinął głową. Myślał już o długiej podróży i czekających go trudnych zadaniach. Musi uratować przyjaciół, których życie znalazło się w niebezpieczeństwie z jego powodu. Wspiął się do kokpitu i spojrzał na małego mistrza.

Yoda bardzo się niepokoił o swego ucznia. — Silny jest Vader — ostrzegł złowieszczym tonem. — Niewyraźny jest twój los. Pamiętaj, czego się nauczyłeś. Zwracaj uwagę na wszystko, wszystko. Może cię to uratować.

— Dobrze, mistrzu — obiecał mu Luke. — Będę uważał i wrócę, aby skończyć to, co zacząłem. Daję ci moje słowo!

Erdwa zamknął kokpit i pilot włączył silniki.

Yoda i Obi-wan Kenobi obserwowali, jak X-skrzydłowiec kołuje do startu.

— Przecież ci mówiłem — powiedział Yoda ze smutkiem, kiedy lśniący myśliwiec wzbijał się w zamglone niebo. — Nierozważny jest. Teraz sprawy przybiorą zły obrót.

— Ten chłopak jest naszą ostatnią nadzieją — powiedział Ben głosem stłumionym od emocji.

— Nie — poprawił go jego były nauczyciel z mądrym błyskiem w dużych oczach. — Jest ktoś jeszcze.

Yoda uniósł głowę ku ciemniejącemu niebu, gdzie statek Luke'a był już tylko ledwo rozpoznawalną plamką światła wśród migocących gwiazd.

XII

Chewiemu wydawało się, że oszaleje! Celę więzienną zalewało jaskrawe, oślepiające światło, które raniło wrażliwe oczy Wookiego. Nawet jego ogromne dłonie i kudłate ramiona, którymi zakrył twarz, nie mogły całkowicie osłonić przed blaskiem. Jego cierpienia powiększał przeszywający gwizd, który wdzierał się do kabiny i torturował jego delikatny słuch. Przenikliwy, ostry dźwięk całkowicie pochłaniał gardłowe ryki bólu wydawane przez niego.

Wookiee chodził tam i z powrotem po ciasnej celi. Jęczał żałośnie i walił w grube ściany, pragnąc rozpaczliwie, aby

przyszedł ktoś, ktokolwiek, i uwolnił go. Nagle gwizd, który nieomal rozsadził mu bębenki, urwał się, a potoki światła zamigotały i zgasły.

Przerwanie tortury było tak nagłe, że Chewbacca zatoczył się do tyłu. Podeszedł do jednej ze ścian celi próbując stwierdzić, czy ktoś nie nadchodzi, aby go uwolnić. Ale gruba ściana niczego nie wyjawiała i oszalały z wściekłości Chewbacca uderzył weń ogromną pięścią.

Lecz ona stała jak stała, nienaruszona i nie do przebicia, a Chewie zdał sobie sprawę, że do rozwalenia jej potrzeba by było czegoś więcej, niż samej tylko zwierzęcej siły rasy Wookie. Zwątpiwszy w szansę wyrwania się na wolność, Chewbacca powłókł się w stronę łóżka, gdzie leżała skrzynka z częściami Trzypeo.

Początkowo bezmyślnie, a potem z coraz większym zainteresowaniem, zaczął w niej grzebać. Przyszło mu na myśl, że może da się naprawić zdemontowanego robota. Pozwoliłoby mu to nie tylko zabić czas, ale i doprowadzić Trzypeo do stanu używalności, co mogłoby się okazać przydatne.

Podniósł złocistą głowę i wpatrzył się w jej zgasłe oczy. Szczeknął kilka słów jakby chciał tym monologiem przygotować robota do radości z powrotu do działania — lub rozczarowania ewentualnym niepowodzeniem we właściwym zrekonstruowaniu go.

Następnie bardzo delikatnie jak na istotę jego rozmiarów i siły, ogromny Wookie umieścił głowę z wytrzeszczonymi oczami na złocistym torsie. Zaczął eksperymentować z płataniną drucików i obwodów. Zdolności mechaniczne wypróbował uprzednio jedynie w naprawach „Sokoła Millenium”, więc wcale nie był pewny, czy potrafi sprostać tak delikatnemu zadaniu. Chewbacca potrząsał i manipulował drucikami, zbity z tropu tym skomplikowanym mechanizmem, kiedy oczy Trzypeo rozbłysły znienacka.

Ze środka robota wydobył się jęklivy dźwięk. Przypominał jakby normalny głos, ale był tak niski i wolny, że nie dało się rozróżnić słów.

— Szszturrr... emm... owww... cy... imm... perrr...
Chewbacca w oszołomieniu podrapał się po kudłatej głowie i uważnie przyjrzał zepsutemu robotowi. Przyszło mu coś na myśl i spróbował przełożyć jeden z kabelków do innej wtyczki. W tym samym momencie Trzypeo zaczął mówić swoim zwykłym głosem. To, co miał do powiedzenia, zabrzmiało jak kwestia ze złego snu.

— Chewbacca! — wykrzyknęła głowa Će Trzypeo.
— Uważaj, szturmowcy Imperium ukrywają się w...
— zatrzymał się, jakby jeszcze raz przeżywał całe to straszliwe wydarzenie, i zaraz krzyknął: — Och, nie! Zastrzelili mnie!

Chewie potrząsała głową ze współczuciem. W tej chwili mógł jedynie spróbować złożyć w całość resztę Će Trzypeo.

Zdarzyło się to chyba pierwszy raz, że Hań Solo krzyczał. Nigdy nie cierpiał tak straszliwego bólu. Był przymocowany do blatu nachylonego do podłogi pod kątem około czterdziestu pięciu stopni. Jego ciało przeszywały w krótkich

odstępach czasu potężne ładunki elektryczne, a każdy wstrząs był silniejszy od poprzedniego. Zwijął się z bólu chcąc się uwolnić, ale uderzenia prądu były tak ostre, że ledwo udawało mu się zachować przytomność.

Darth Vader stał obok tego łoża tortur i w milczeniu obserwował cierpienia Hana. Nie sprawiał wrażenia ani zadowolonego, ani niezadowolonego. Napatrzwszy się Czarny Lord odwrócił się plecami do wijącej się z bólu postaci i wyszedł z celi. Drzwi zasunęły się za nim, tłumiąc krzyki Solo.

Na zewnątrz sali tortur czekał na Lorda Sith Boba Fett z Lando Calrissianem i osobistym adiutantem administratora.

Vader zwrócił się do Fetta z nieukrywaną pogardą. — Łowco nagród — rzekł do człowieka w srebrzystym hełmie z czarnym oznakowaniem — jeśli czekasz na swoją nagrodę, zaczekasz do chwili, kiedy będę miał Skywalkera.

Ta wiadomość nie zrobiła wrażenia na pewnym sobie łowcy. — Nie spieszy mi się, Lordzie Vader. Mnie obchodzi tylko to, żeby kapitan nie został uszkodzony. Huta Jabba płaci podwójnie za żywego.

— Solo doznaje znacznego bólu, łowco — wysyczał Vader — ale nie stanie mu się krzywda.

— A co z Leia i Wookiem? — zapytał Lando z lekką troską.

— Będą się czuli wystarczająco dobrze — odparł Czarny Lord. — Ale — dodał tonem nie znoszącym sprzeciwu — nigdy nie będą mogli opuścić tego miasta.

— To wcale nie było warunkiem naszej umowy — zaproponował Calrissian. — Tak samo jak oddanie Hana temu łowcy nagród.

— Może uważasz, że jesteś traktowany niesprawiedliwie — powiedział Vader sarkastycznie.

— Nie — odparł zarządca zerkając na swego adiutanta.

— To dobrze — ciągnął Lord dodając zawołowaną groźbę: — Byłoby bardzo szkoda, gdybym musiał zostawić tu stały garnizon.

Schylając z szacunkiem głowę Lando zaczął, aż Darth Vader, z łowcą nagród odwrócił się i wszedł zamasyżycie do czekającej windy. Następnie administrator Miasta Chmur i jego adiutant ruszyli szybkim krokiem korytarzami o białych ścianach.

— Umowa robi się coraz gorsza — poskarżył się Calrissian.

— Może powinieneś spróbować pertraktacji — zasugerował adiutant.

Lando spojrzał na niego ponuro. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że umowa z Darthem Vaderem nic mu nie dawała. Poza tym krzywdziła ludzi, których mógłby nazywać przyjaciółmi. W końcu powiedział na tyle cicho, aby nie usłyszał go żaden ze szpiegów Vadera:

— Mam co do tego złe przeczucia.

Če Trzypeo zaczynał wreszcie czuć się po staremu. Wookie pracowicie łączył ze sobą liczne przewody i układy wewnętrzne robota, a w tej chwili właśnie zaczynał

domyślać się, jak przymocować kończyny. Do tej pory osadził głowę na torsie i udało mu się przyłączyć jedno ramię. Reszta części Trzypeo leżała na stole, a z porozrywanych stawów zwisały obwody i kabelki. Ale choć pilnie pracował nad ukończeniem dzieła, złoisty robot zaczął skarżyć się wniebogłose.

— No przecież coś jest nie w porządku, bo teraz nic nie widzę.

Cierpliwy Wookiee szczerknął i poprawił jakiś przewód w szyi Trzypeo. W końcu robot odzyskał wzrok i odetchnął z mechaniczną ulgą.

— No, teraz lepiej.

Ale nie było o wiele lepiej. Kiedy rzucił świeżo uruchomionym czujnikiem wzrokowym tam, gdzie powinna być jego pierś, zobaczył swoje plecy!

— Czekaj... Ojejku. Co ty narobiłeś? Jestem tyłem do przodu! — bełkotał w zdenerwowaniu. — Ty zżerana przez pchły kupo kłaków! Tylko taki przerośnięty kłab futra jak ty mógł być na tyle głupi, żeby osadzić mi głowę...

Chewie warknął groźnie. Zapomniał, jakim robot jest malkontentem. A ta cela jest za mała, żeby musiał wysłuchiwać czegoś takiego. Zanim Trzypeo zorientował się, co się dzieje, podszedł do niego i pociągnął za jakiś przewód. Narzekania natychmiast się skończyły, a w pomieszczeniu z powrotem zapanowała cisza.

A potem do celi zaczął zbliżać się znajomy zapach.

Wookiee wciągnął nosem powietrze i pośpieszył do drzwi.

Otworzyły się z buczeniem i dwóch szturmowców Imperium wepchnęło do celi obszarpanego, wyczerpanego Hana Solo. Szturmowcy wyszli, a Chewbacca szybko podszedł do przyjaciela i objął go z ulgą. Hań miał bladą twarz i podkrążone oczy. Wydawało się, że jest na granicy wytrzymałości. Chewbacca szczerknieniem wyraził swoje zaniepokojenie.

— Nie — powiedział Korelianin ze znużeniem w głosie — nic mi nie jest.

Drzwi znowu się otworzyły i szturmowcy wrzucili do celi księżniczkę. Miała jeszcze na sobie elegancki płaszcz, ale podobnie jak Hań była rozczochrana i wyglądała na zmęczoną.

Kiedy szturmowcy wyszli i drzwi zasunęły się za nimi, Chewbacca pomógł Lei podejść do Hana. Popatrzyli na siebie z wielkim uczuciem, a potem objęli się. Po chwili całowali się czule.

Leia, ciągle w jego ramionach, odezwała się słabo:

— Dlaczego oni to robią? Nie rozumiem, o co im chodzi.

Mężczyzna był równie zdezorientowany. — Wyłem na ich skanerze, ale nie zadali mi ani jednego pytania.

Drzwi znowu się rozsunęły i do pomieszczenia wszedł Lando z dwoma strażnikami z załogi Miasta Chmur.

— Wyjdź stąd! — warknął Hań. Gdyby czuł się lepiej, rzuciłby się na zdradzieckiego przyjaciela.

— Zamknij się na chwilę i posłuchaj — uciął zarządca. — Robię, co mogę, żeby to jakoś załagodzić.

— Świetnie — zauważył Korelianin uszczypliwie.

— Vader zgodził się przekazać Leię i Chewiego mnie — wyjaśnił Lando. — Będą musieli tu zostać, ale przynajmniej będą bezpieczni.

Księżniczka wstrzymała oddech. — A co z Hanem?

Calrissian spojrzał poważnie na przyjaciela. — Nie wiedziałem, że wyznaczono za ciebie nagrodę. Vader oddał cię łowcy nagród.

Dziewczyna spojrzała z troską na Hana.

— Nie za bardzo jesteś zorientowany, jeśli myślisz, że Vader nie będzie chciał naszej śmierci, zanim to wszystko się skończy — powiedział Hań do Calrissiana.

— Nie jesteście mu potrzebni — rzekł Lando. — Poluje na jakiegoś Skywalkera.

Więźniowie wstrzymali oddech na dźwięk tego przypadku wymienionego nazwiska.

— Luke? — Hań sprawiał wrażenie zaintrygowanego. — Nie rozumiem.

Myśli księżniczki pędziły jak szalone. Wszystkie fakty zaczynały układać się w straszną mozaikę. W przeszłości Lord Sith ścigał Leię z powodu jej politycznego znaczenia w wojnie między Imperium a Przymierzem Rebeliantów. Teraz nie raczył się nią interesować, z wyjątkiem jednej roli, jaką mogła odegrać.

— Darth Vader zastawił na niego pułapkę — dodał Lando — i... Leia skończyła za niego.

— Jesteśmy przynętą.

— Wszystko po to, żeby złapać tego dzieciaka?

— zdziwił się Hań. — Dlaczego on jest taki ważny?

— Nie pytaj mnie, ale on tu leci.

— Luke? Tutaj?

Lando Calrissian skinął głową.

— Nieźle nas wszystkich załatwiłeś — warknął Ko-relianin — ...przyjacielu!

W momencie, kiedy wyrzucił z siebie ostatnie, oskarżające słowa, poczuł nagły przyływ energii. Całą swoją siłę włożył w cios, od którego Lando się zatoczył.

Natychmiast dwaj byli przyjaciele zwarli się we wścieklej walce. Dwóch strażników zarządcy zbliżyło się do mocujących się przeciwników i zaczęli tłuc Hana kolbami swoich karabinów laserowych. Mocne uderzenie w podbródek posłało go przez cały pokój; ze szczęki ciekła mu krew.

Z groźnym pomrukiem Chewbacca rzucił się na strażników. Widząc, że unoszą broń, Lando krzyknął:

— Nie strzelać!

Z trudem łapiąc oddech poturbowany administrator zwrócił się do Solo:

— Zrobiłem dla was, co mogłem. Żałuję że nie mogłem więcej, ale mam własne problemy. — I od wracając się do wyjścia, dodał: — I tak już za bardzo nadstawiłem karku.

— Jasne — odparł Hań Solo odzyskawszy zimną krew — jesteś prawdziwym bohaterem.

Kiedy Lando wyszedł ze strażnikami, Leia i Chewbacca pomogli Hanowi wstać i podejść do pryczy. Delikatnie

położyli zmalretowane ciało na materac, a Leia zabrała się do osuszania skrawkiem płaszcza krwi sączącej się z rany.

W trakcie tej czynności parsknęła śmiechem.

— Ty to potrafisz postępować z ludźmi — rzekła kpiąco.

Erdwa Dedwa obracał głową, rejestrując usianą gwiazdami próżnię Układu Bepin.

X-skrzydłowiec właśnie wszedł w układ i pędził w czarnej przestrzeni jak wielki biały ptak.

Jednostka R2 miała wiele do zakomunikowania swemu pilotowi. Jej elektroniczne myśli cisnęły się bezładnie jedna za drugą na ekran w kokpicie. W monitorze odbijała się zacięta twarz Luke'a.

Szybko odpowiedział na pierwsze z natarczywych pytań Erdwa:

— Tak, jestem pewien, że Trzypeo jest z nimi. Mały robot gwizdnął z podnieceniem.

— Jeszcze trochę — powiedział pilot cierpliwie. — Za chwilę tam będziemy.

Obracając głowę, Erdwa dostrzegł skupiska gwiazd, a jego elektroniczne wnętrzości ogarnęło lube ciepło, kiedy X-skrzydłowiec leciał jak strzała niebieska ku planecie z miastem w chmurach.

Lando Calrissian i Darth Vader stali obok hydraulicznej platformy wypełniającej prawie całkowicie halę zamrażania węgla. Czarny Lord był spokojny; adiutanci pospiesznie przygotowywali pomieszczenie.

Platforma, otoczona niezliczonymi przewodami pary i ogromnymi pojemnikami chemicznymi o różnych kształtach, spoczywała w głębokim szybie w środku hali.

Czterech opancerzonych szturmców Imperium stało na straży zaciskając dłonie na laserowych karabinach.

Obrzuciwszy krytycznym spojrzeniem halę, Darth Vader zwrócił się do Calrissiana:

— Urządzenie jest prymitywne, ale powinno zaspokoić nasze potrzeby. Jeden z oficerów podbiegł do Lorda Sith.

— Lordzie Vader — zameldował — zbliża się jakiś statek; klasa X-skrzydłowiec.

— Dobrze — powiedział zimno Vader. — Rejestrować podejście Skywalkera i pozwolić mu wylądować. Niedługo hala będzie gotowa na jego przyjęcie.

— Używamy tego urządzenia tylko do zamrażania węgla — odezwał się nerwowo administrator Miasta Chmur. — Jeśli zostanie tam umieszczony, może zginąć.

Ale Vader wziął już tę możliwość pod uwagę. Miał sposób na stwierdzenie, jaką mocą dysponuje to urządzenie zamrażające. — Nie zamierzam uszkodzić zdobyczy Imperatora. Zrobimy najpierw próbę. — Skinął na jednego ze swoich szturmców. — Przyrowadź Solo — rozkazał Czarny Lord.

Lando rzucił szybkie spojrzenie na Vadera. Nie był przygotowany na czyste zło ucieleśnione przez tę przerażającą postać.

X-skrzydłowiec szybko obniżał lot i zaczął przebijać gęsty dywan chmur otaczających planetę.

Luke sprawdzał ekrany z rosnącą troską. Może Er-dwa ma więcej informacji niż przepływało przez jego własną tablicę rozdzielczą. Wystukał pytanie do robota.

— Nie wykryłeś żadnych statków patrolowych?

Odpowiedź robota była negatywna.

Tak więc Luke, przekonany, że jak dotąd jego przybycie nie zostało wykryte, prowadził statek ku miastu ze swojej niepokojącej wizji.

Sześciu świniokształtnych Ugnaughtów gorączkowo przygotowywało do uruchomienia halę zamrażania węgla, czemu przyglądali się Lando Calrissian i Darth Vader — obecnie prawdziwy władca Miasta Chmur.

Błagając po platformie Ugnaughtowie opuścili do szybu sieć rur przypominającą system krążenia jakiegoś olbrzyma. Podnieśli karbonitowe przewody i wbili je w odpowiednie otwory. Następnie sześciu humanoidów podniosło ciężki, podobny do trumny kontener i ustawiło go na platformie.

Do hali wpadł Boba Fen na czele oddziału sześciu szturmowców. Popychali przed sobą Hana, Leię i Wookiego, zmuszając ich do biegu. Do szerokich pleców Chewiego był przymocowany częściowo zmontowany Če Trzypeo; jego jedna ręka i nogi były prowizorycznie przywiązane do torsu. Głowa robota, zwrócona w kierunku przeciwnym niż głowa Chewiego, gorączkowo odwracała się w drugą stronę, aby zobaczyć dokąd idą i co ich czeka.

Vader zwrócił się do łowcy nagród.

— Umieścić go w komorze zamrażania węgla.

— A jeśli nie przeżyje? — spytał wyrachowany Boba Fett — Ma dla mnie dużą wartość.

— Imperium wynagrodzi ci tę stratę — rzekł Czarny Lord zwięźle.

Leia zaprotestowała pełnym udręki „Nie!”. Chewbacca odrzucił do tyłu grzywiastą głowę i wydał ogłuszający ryk. W następnej chwili rzucił się na strażników pilnujących Hana.

Krzycząc w panice, Če Trzypeo uniósł jedyną sprawną rękę, aby osłonić twarz.

— Zaczekaj! — wrzasnął robot. — Co robisz? Ale Wookiee mocował się ze szturmowcami, nie zwracając uwagi ani na ich przewagę, ani na pełne przerażenia okrzyki androidu.

— Och, nie... Nie bij mnie! — błagał robot usiłując ochronić ręką resztę swoich części. — Nie! On wcale nie chciał! Uspokój się, włochaty durniu!

Do hali wpadło więcej żołnierzy i natychmiast przyłączyli się do walki. Niektórzy z nich zaczęli okładać Wookiego kolbami karabinów, trafiając przy okazji Trzypeo.

— Auuu! — wrzeszczał robot. — Ja nic nie zrobiłem!

Szturmowcy zaczęli uzyskiwać przewagę nad Wo-okiem i już mieli zmiażdżyć mu twarz bronią, kiedy w hałasie walki dał się słyszeć krzyk Hana: — Chewie, nie! Przestań, Chewbacca!

Tylko Hań Solo mógł odciągnąć rozszalonego przyjaciela od walki. Wyrwawszy się strażnikom, podbiegł, aby przerwać bijatykę.

Vader gestem nakazał puścić go, a walczącym szturmowcom skończyć zamieszanie.

Hań ujął kudłatego przyjaciela za potężne przedramiona, aby go uspokoić, a potem spojrział na niego surowo.

Wzburzony Trzypeo jeszcze się awanturował i złościł.

— Och, tak... przestań, przestań. — A potem rzekł z mechanicznym westchnieniem ulgi. — Dzięki Bogu!

Hań i Chewbacca stali naprzeciw siebie; Korelianin patrzył przyjacielowi ponuro w oczy. Objęli się mocno, a potem Hań powiedział: — Zachowaj siły na następny raz, współniku, kiedy szansę będą większe. — Zdo był się na uspokajające mrugnięcie, ale Wookie był pogrążony w smutku i tylko żałośnie szczeknął.

— Tak — powiedział Hań usiłując błysnąć uśmiechem — wiem. Czuję się tak samo. Trzymaj się. — Potem zwrócił się do jednego ze strażników. — Lepiej skujcie go, aż będzie po wszystkim.

Pokonany Chewbacca nie opierał się, kiedy strażnicy nałożyli mu na przeguby rąk pierścienie blokujące. Korelianin po raz ostatni uścisnął partnera i zwrócił się do księżniczki Lei. Wziął ją w ramiona; obejmowali się, jakby nigdy nie mieli przestać.

A potem Leia przycisnęła usta do jego warg w długim, namiętym pocałunku. Kiedy je oderwała, w oczach miała łzy. — Kocham cię — powiedziała cicho. — Nie mogłam ci powiedzieć wcześniej, ale to prawda.

Odpowiedział jej swoim charakterystycznym, pewnym siebie uśmiechem.

— No to nie zapomnij o tym, bo ja wrócę. — Wyraz jego twarzy złagodniał; ucałował ją delikatnie w czoło.

Łzy potoczyły się po jej policzkach, kiedy odwrócił się i spokojnie, bez strachu, ruszył do czekającej platformy.

Ugnaughtowie podbiegli do niego i ustawili go na platformie, mocno przywiązując mu ręce i nogi do hydraulicznego blatu. Stał tam samotny i bezradny, patrząc po raz ostatni na przyjaciół. Chewbacca wpatrywał się w niego żałośnie, a zza jego ramienia wystawała głowa Trzypeo, który chciał po raz ostatni spojrzeć na dzielnego kapitana. Administrator, Calris-sian, patrzył na tę ciężką próbę z wyrazem żalu widocznym w każdym rysie twarzy. Leia, choć stała w królewskiej postawie próbując być silną, twarz miała zastygłą w maskę bólu.

Ta twarz była ostatnią, jaką zobaczył, kiedy poczuł, że platforma nagle opada. Wookie wydał ostatni pożegnalny ryk.

W tym strasznym momencie zboląta Leia odwróciła się, a twarz Lando wykrzywiła się w smutku.

Rozpalony płyn runął do szybu w ogromnej chmurze iskier.

Chewbacca odwrócił się od przerażającego widoku, pozwalając Trzypeo lepiej wszystko widzieć.

— Zatapiają go w karbonicie — oznajmił robot. — To stop wysokiej jakości. O wiele lepszy niż mój. Powinien być zakonserwowany całkiem dobrze... To znaczy, jeśli przeżyje proces zamrażania.

Chewbacca rzucił spojrzenie przez ramię ucinając techniczny opis Trzypeo gniewnym szczeknięciem.

Kiedy płyn w końcu się zestalił, ogromne metalowe szczytce wyciągnęły dymiącą figurę z szybu. Gwałtownie stygła, miała rozpoznawalny ludzki kształt, ale twarz była pozbawiona rysów i całość wyglądała jak niedokończona rzeźba z kamienia.

Kilku świniołudzi podeszło do zamkniętego w me-talu Hana Solo i przewróciło blok rękami chronionymi przez grube czarne rękawice. Figura runęła na płat-»formę z metalicznym hukiem. Ugnaughtowie umieścili ją w pojemniku w kształcie skrzyni, przymocowali do jego boku jakieś wyglądające jak pudełko urządzenie elektroniczne i cofnęli się.

Lando ukląkł, przekręcił parę gałek na urządzeniu i sprawdził temperaturę ciała Hana. Westchnął z ulgą i skinął głową.

— Żyje — poinformował niespokojnych przyjaciół Solo — i jest w doskonałej hibernacji. Darth Vader zwrócił się do Boba Fetta.

— Jest twój, łowco nagród — wysyczał. — Przygotować komorę dla Skywalkera.

— Właśnie wylądował, panie — oznajmił adiutant.

— Dopilnować, aby tu trafił.

Wskazując na Leię i Chewiego, Lando rzekł do Vadera:

— Zabieram, co należy do mnie. — Był zdecydowany wyrwać ich z rąk Czarnego Lorda, zanim ten wycofa się z kontraktu.

— Zabierz ich — odparł Vader — ale zostawiam tu do pilnowania ich oddział szturmowców.

— Tego nie było w warunkach umowy — zaprotestował zarządca z gniewem. — Powiedziałeś, że Imperium nie będzie się wtrącać do...

— Zmieniam warunki umowy. Módl się, żebyśmy nie zmienili ich jeszcze bardziej.

Lando poczuł nagły ucisk w gardle; była to groźna zapowiedź tego, co się z nim stanie, jeśli będzie sprawiał przedstawicielowi Imperatora jakiegokolwiek kłopoty. Ręka powędrowała automatycznie do szyi, ale w następnej sekundzie niewidzialny uchwyt rozluźnił się i administrator odwrócił się do Lei i Wookiego. Ich wzrok mógł wyrażać rozpacz, ale żadne z nich nie zaszczyciło go spojrzeniem.

Luke i Erdwa ostrożnie szli pustym korytarzem. Chłopak był zaniepokojony, że jak dotąd nie zostali zatrzymani. Nikt ich nie pytał o zezwolenie na lądowanie, o papiery identyfikacyjne, o cel wizyty. Wydawało się, że absolutnie nikogo w Mieście Chmur nie interesowało, kim może być ten młody człowiek i jego mały robot — albo co tu robią.

Wszystko to wydawało się dość groźne i Luke zaczynał czuć się bardzo nieswojo.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk w końcu korytarza. Zatrzymał się i przyglądał do ściany. Erdwa, podekscytowany myślą, że mogą wrócić między znajomych i roboty, zaczął gwizdać i buczeć. Chłopak posłał mu rozkazujące spojrzenie i robot wydał ostatni, słaby pisk. Następnie Luke wyrztał za róg i dostrzegł jakąś grupę zbliżającą się od strony bocznego korytarza. Prowadziła ją imponująca postać w powgniatanym pancerzu i hełmie. Za nią dwaj uzbrojeni strażnicy z Miasta Chmur popychali przezroczystą skrzynię. Z miejsca, gdzie stał, wydawało mu się, że skrzynia zawiera unoszącą się w środku podobną do rzeźby ludzką postać. Za nią szło dwóch szturmowców Imperium, którzy spostrzegli komandora i natychmiast otworzyli ogień.

Uchylił się jednak przed ich laserowymi ładunkami i zanim mogli wystrzelić drugą serię, użył swego miotacza wypalając dwie dziury w opancerzonych klatkach piersiowych szturmowców.

Gdy żołnierze zwalili się na ziemię, dwaj strażnicy błyskawicznie wepchnęli zatopioną postać do innego korytarza, a chroniona zbroją postać wymierzyła swój laserowy miotacz w Luke'a posyłając mu śmiertelny ładunek. Promień minął chłopca o włos i wyszarpnął spory kawałek ściany obok niego, rozbijając go w pył. Gdy chmura opadła, znowu wyrztał zza rogu i zobaczył, że bezimienny napastnik, strażnicy i skrzynia zniknęły za grubymi metalowymi drzwiami.

Usłyszawszy coś za sobą, Luke odwrócił się i ujrzał Leię, Wookiego, Če Trzypeo i nieznanego mężczyznę idących jeszcze innym korytarzem pod strażą małego oddziału szturmowców Imperium.

Machnął ręką, aby zwrócić na siebie uwagę księżniczki.

— Leia! — zawołał.

— Luke, nie! — krzyknęła głosem pełnym strachu. — To pułapka!

Zostawiając powolnego Erdwa z tyłu, pobiegł za nimi. Ale kiedy dotarł do małego przedsionka, Leia i inni zniknęli. Słyszał gorączkowe gwizdy mechanicznego przyjaciela pędzącego za nim. Gdy jednak się odwrócił, zobaczył, że ogromne metalowe drzwi opadają z grzmiącym hukiem tuż przed zdumionym robotem.

Luke był odcięty od głównego korytarza. A kiedy odwrócił się, żeby znaleźć inne wyjście, ujrzał, jak zatrząskują się wszystkie inne drzwi prowadzące z pomieszczenia.

Tymczasem Erdwa stał nieco oszołomiony niebezpieczeństwem, jakiego uniknął o włos. Gdyby wtoczył się odrobinę dalej do pomieszczenia, drzwi zmiażdżyłyby go na złom. Przycisnął do nich swój metalowy nos, a potem wydał gwizd ulgi i odjechał w przeciwnym kierunku.

Przedsiónek, w którym znalazł się Luke, pełen był syczących rur i pary buchającej z podłogi. Kiedy zaczął badać pomieszczenie, zauważył nad głową otwór, który

proceedził nie wiadomo dokąd. Podeszedł nieco bliżej, aby móc się lepiej przyjrzeć, i część podłogi, na której stał, zaczęła powoli unosić się do góry. Stał na platformie zdecydowany stanąć twarzą w twarz z przeciwnikiem, dla którego odbył tak daleką podróż.

Ściskając miotacz w rękę, wjechał do hali zamrażania węgla. Panowały w niej śmiertelna cisza, gdyby nie syk pary ulatniającej się z niektórych rur. Lu-ke'owi wydawało się, że jest jedyną żywą istotą w tym pomieszczeniu, pełnym dziwnych urządzeń i pojemników na chemikalia, ale wyczuwał, że nie jest sam.

— Vader...

Wymówił to imię do siebie rozglądając się po hali.

— Lordzie Vader, czuję twoją obecność. Pokaż się

— chciał wywołać swego niewidocznego wroga.

— A może się mnie boisz?

Kiedy mówił, uchodząca para zaczęła kłębić się całymi chmurami. Wtem, nieczuły na gorąco, ukazał się Lord Sith, krocząc przez syczące opary do wąskiej galeryjki nad komorą; jego płaszcz omiatał podłogę.

Luke ostrożnie postąpił parę kroków w kierunku demonicznej czarnej postaci i schował miotacz do kabury. Poczł przyptłw pewności siebie i to, że jest zupełnie gotowy stanąć naprzeciw Czarnego Lorda jak Jedi naprzeciw Jedi. Nie potrzebował miotacza. Wyczuł w sobie Moc i to, że jest w końcu gotów do tej nieuniknionej walki. Powoli zaczął wchodzić na schody.

— Moc jest z tobą, młody Skywalkerze — odezwał się z wysoka Darth Vader — ale nie jesteś jeszcze Jedi.

Słowa te zmroziły Luke'a. Zawahał się przez moment, przypominając sobie słowa innego byłego Rycerza Jedi: „Luke, używaj Mocy tylko dla zdobycia wiedzy i obrony, nigdy jako oręża. Nie ulegaj nienawiści i gniewowi. One prowadzą na ciemną stronę”.

Ale odrzucając jakiegokolwiek wątpliwości, chwycił gładko wykończoną rękojeść swego miecza świetlnego i szybko włączył laserową klingę.

W tej samej chwili Vader włączył własny miecz laserowy i spokojnie czekał na atak młodego Skywal-kera.

Ogromna nienawiść przeciwnika kazała Luke'owi zrobić gwałtowny wypad i zewrzeć iskrzącą klingę z jego klingą. Ale Czarny Lord bez wysiłku odbił uderzenie obronnym skrętem własnej broni.

Luke zaatakował ponownie. Jeszcze raz zwały się ostrza energii.

Po czym stali niekończącą się chwilę patrząc na siebie poprzez skrzyżowane miecze.

XIII

Sześciu szturmowców pilnowało administratora, księżniczki i Wookiego. Idąc wewnętrznym korytarzem Miasta Chmur doszli do skrzyżowania, gdzie drogę zastąpiło im dwunastu strażników Lando i jego adiutant.

— Kod postępowania — siedem — rozkazał administrator, zatrzymując się przed adiutantem.

W tej samej chwili dwunastu strażników wymierzyło swą laserową broń w zaskoczonych szturmowców, a adiutant spokojnie odebrał im miotacze. Jeden z nich podał Lei, drugi Lando i czekał na następny rozkaz.

— Zatrzymaj ich w wieży więziennej — powiedział administrator. — Tylko cicho! Nikt nie może o tym wiedzieć.

Strażnicy i adiutant odprowadzili pod bronią szturmowców do wieży.

Leia obserwowała ten nagły zwrot w sytuacji ze zdumieniem. Lecz zdumienie zmieniło się w kompletną dezorientację, kiedy Calrissian, człowiek, który zdradził Hana Solo, zaczął zdejmować więzy Che-wiemu.

— Chodźcie. Wynosimy się stąd.

Ogromne ręce Wookiego były wreszcie wolne. Nie czekając na wyjaśnienia, Chewbacca odwrócił się do człowieka, który go uwolnił i, ze ścinającym krew-w żyłach rykiem, rzucił się na niego i zaczął dusić.

— Po tym, co zrobiłeś Hanowi — powiedziała Leia — nie wierzyłabym ci ani...

Lando próbował wyjaśnić, usiłując rozpaczliwie uwolnić się z dzikiego uścisku Chewiego:

— Nie miałem wyboru — zaczął, ale Wookie przerwał mu gniewnym szczeknięciem.

— Jest jeszcze szansa uratowania Hana — wyrzęził.

— Są na Platformie Wschodniej.

— Chewie — powiedziała w końcu księżniczka

— puść go!

Ciągle wściekły Chewbacca rozluźnił chwyt i wpatrywał się groźnie w próbującego odzyskać oddech człowieka.

— Miej go na oku, Chewie — rozkazała, a Wooke zawarczał groźnie.

— Mam wrażenie — mruknął Lando pod nosem — że popełniam kolejny wielki błąd.

Przysadzista jednostka R2 błąkała się korytarzem, wysuwając czujniki we wszystkich możliwych kierunkach, próbując wykryć jakiś sygnał pochodzący od jego pana — albo w ogóle jakiegokolwiek formy życia. Zdał sobie sprawę, że kręci się w kółko i stracił rachubę przebytych metrów.

Okrążywszy róg dostrzegł kilka postaci poruszających się korytarzem. Wygwizdując robocie pozdrowienia miał nadzieję, że są to przyjazne jednostki.

Jedna z istot odebrała jego piski i zaczęła wołać:

— Erdwa... Erdwa... — to był Trzypeo. Chewbacca dźwigający na plecach na wpół zmontowany Će Trzypeo szybko odwrócił się i zobaczył krępego R2 toczącego się w ich kierunku. Tym samym jednak zakrył sobą Trzypeo przed wzrokiem przyjaciela.

— Czekaj! — zażądał zdenerwowany android. — Obróć się, ty kudłaty... Erdwa, pospiesz się! Próbuujemy uratować Hana przed łowcą nagród.

Erdwa pośpieszył naprzód piszcząc cały czas, a Trzypeo cierpliwie odpowiadał na jego gorączkowe pytania.

— Wiem. Ale panicz Luke sam może o siebie zadbać. —
Tak sobie przynajmniej powtarzał złoisty robot podczas poszukiwań Hana.

Na Platformie Wschodniej lądowiska Miasta Chmur dwóch strażników wepchnęło zamrożone ciało Hana Solo przez boczny luk do „Niewolnika I”. Boba Fett wspiął się po drabinie obok otworu. Kiedy tylko wszedł na pokład statku i znalazł się w sterowni kazał go zamknąć.

Włączył silniki i maszyna ruszyła wzdłuż platformy przygotowując się do startu.

Lando, Leia i Chewbacca wbiegli na platformę akurat na czas, żeby zobaczyć jak „Niewolnik I” odrywa się od podłoża i wznosi się w pomarańczowofioletowy zachód nad „Miastem Chmur. Wookie uniósł miotacz, zawył i wypalił w kierunku oddalającego się statku.

— To nie ma sensu — powiedział Lando. — Wyszli z zasięgu.

Wszyscy oprócz Trzypeo obserwowali odlatujący statek. Ciągłe przymocowany do pleców Chewiego, zobaczył coś, czego inni jeszcze nie zauważyli.

— Ojejku, nie! — wykrzyknął.

Oddział szturmowców Imperium zaatakował grupę z wyciągniętymi laserami, z których biegły już strumienie energii. Pierwszy strzał o mało nie trafił księżniczki, Lando szybko zareagował otwierając ogień i po chwili powietrze rozbłysło od krzyżujących się świetlistych smug zielonych i czerwonych promieni z laserów.

Erdwa potoczył się do windy na platformie i schował w środku, obserwując rozszalałą bitwę z bezpiecznej odległości.

Lando przekrzyczał hałas miotaczy: — Prędeż, ruszamy się stąd! — i rzucił się do otwartej windy strzelając w biegu do szturmowców.

Ale Chewbacca i Leia zostali. Utrzymywali się na swoich pozycjach i równym ogniem odpierali atak szturmowców. Żołnierze padali z jękiem, a ich klatki piersiowe, ręce i brzuchy wybuchały pod śmiertelnie celnym ogniem jednego człowieka-kobiety i jednego Wookiego-mężczyzny.

Administrator wytknął głowę z windy i usiłował zwrócić na siebie ich uwagę gestami przynaglając do biegu. Ale wydawało się, że coś ich opętało; zapamiętali się w walce, biorąc odwet za cały gniew, niewolę i stratę człowieka, którego oboje kochali. Byli zdecydowani odebrać życie tym sługom Galaktycznego Imperium.

Trzypeo chętnie byłby gdziekolwiek indziej. Niezdolny do ucieczki mógł jedynie gorączkowo wzywać pomocy.

— Erdwa, pomóż mi! — krzyczał. — Jak ja się w to wpakowałem? Cóż to za los gorszy od śmierci być przywiązany do pleców Wookiego!

— Chodźcie tutaj — Lando krzyknął znowu. — Pośpieszcie się! Prędeż!

Leia i Chewbacca ruszyli do niego, unikając laserowych wybuchów i wpadli do czekającej windy. Przez zamykające

się drzwi zobaczyli pędzących w ich kierunku pozostałych przy życiu szturmowców.

Miecze świetlne zwały się z sobą w pojedynku Luke'a Skywalkera i Dartha Vadera na platformie nad komorą zamrażania węgla.

Luke czuł, jak platforma trzęsie się i drży z każdym ciosem broni. Ale nie zrażał się, bo z każdym jego atakiem Czarny Lord cofał się.

Parował mieczem ataki młodego Jedi i spokojnie mówił w trakcie walki:

— Strach nie ma do ciebie przystępu. Nauczyłeś się więcej niż oczekiwałem.

— Przekonasz się, że mogę sprawić mnóstwo niespodzianek — odparł pewny siebie chłopak, grożąc Vaderowi kolejnym wypadem.

— Ja też — brzmiała spokojna złowroga odpowiedź.

Dwoma eleganckimi ruchami Czarny Lord wytrącił Luke'owi broń z ręki i odrzucił ją daleko. Cięcie klingi będącej czystą energią wymierzone w stopy zmusiło chłopaka do odskoczenia w tył. Potknął się i stoczył ze schodów.

Rozciągnięty na platformie, spojrzął w górę i zobaczył złowieszczą ciemną postać majaczącą u szczytu schodów. Wtem runęła prosto na niego, a czarny płaszcz zatrzepotał za nią jak skrzydła potwornego nietoperza.

Luke błyskawicznie odtoczył się na bok nie spuszczając wzroku z Vadera, a wysoka postać wylądowała bezgłośnie obok niego.

— Twoja przyszłość jest związana ze mną, Skywalker — wysyczał Vader, nachylając się złowrogo nad chłopakiem.

— Teraz przejdziesz na ciemną stronę. Obi-wan wiedział, że to prawda.

— Nie! — wrzasnął Luke próbując uwolnić się od złej obecności.

— Obi-wan nie powiedział ci wielu rzeczy — ciągnął Lord Sith. — Chodź, dokończę twego szkolenia.

Wpływ Vadera był niewiarygodnie silny; wydawało się młodemu mężczyźnie, że jest jak żywa istota.

„Nie słuchaj go”, powiedział do siebie. „Próbuje mnie oszukać, zwieść, przeciągnąć na ciemną stronę Mocy, tak jak ostrzegał mnie Ben!”

Zaczął się cofać przed postępującym naprzód Lordem. Za plecami chłopaka otworzyła się cicho pokrywa windy hydraulicznej, gotowej na jego przyjęcie.

— Prędzej umrę — oznajmił Luke.

— To nie będzie konieczne — Czarny Lord zaatakował go nagle mieczem z taką siłą, że chłopak stracił równowagę i wpadł do ziejącego otworu.

Vader odwrócił się od szybu zamrażającego i niedbale wyłączył miecz świetlny. — Zbyt łatwo poszło — wzruszył ramionami. — Może nie jesteś tak silny, jak sądzi Imperator.

Tymczasem roztopiony metal zaczął wypełniać otwór za nim. I kiedy ciągle był odwrócony, jakaś smuga wystrzeliła w górę.

— Czas pokaże — cicho odpowiedział Luke na uwagę Vadera.

Czarny Lord błyskawicznie odwrócił się. W tym stadium procesu zamrażania jego tebiekt z pewnością nie powinien móc mówić! Rozejrzał się po komorze, a potem uniósł ku sufitowi głowę ukrytą w hełmie.

Wyskoczywszy jakiś pięć metrów w górę, aby uniknąć karbonitu, Luke wisiał na jakichś przewodach udrapowanych pod sufitem.

— Imponujące — przyznał Vader. — Twoja zręczność jest imponująca.

Młody mężczyzna zeskoczył na platformę po drugiej stronie parującego szybu. Wyciągnął rękę i jego miecz, leżący w innej części platformy, znalazł się z powrotem w jego dłoni. Natychmiast się zapalił.

W tym samym momencie ożył miecz Lorda Sith. — Ben dobrze cię nauczył. Opanowałeś strach. Teraz pofolguj gniewowi. Zniszczyłem twoją rodzinę. Zemścij się.

Ale tym razem chłopak był ostrożny i bardziej opanowany. Jeśli potrafi pokonać gniew, tak jak w końcu pokonał strach, nie ulegnie.

„Pamiętaj nauki”, przestrzegł sam siebie. „Pamiętaj, czego uczył Yoda! Odrzuć całą nienawiść i gniew i otwórz się na Moc!”.

Odzyskawszy kontrolę nad negatywnymi uczuciami, zaczął postępować naprzód, ignorując prowokacje przeciwnika. Zrobił wypad i po krótkiej wymianie ciosów zaczął zmuszać Vadera do cofania się.

— Twoja nienawiść może dać ci siłę potrzebną do zniszczenia mnie — kusił Lord. — Użyj jej.

Luke zaczął zdawać sobie sprawę, jak straszliwie potężny jest jego mroczny wróg i powiedział sobie cicho: — Nie zostanę niewolnikiem ciemnej strony Mocy. — Ruszył ostrożnie w kierunku Vadera.

Ten powoli wycofywał się. Luke zamachnął się. Kiedy jednak Vader zablokował uderzenie, stracił równowagę i wpadł w zewnętrzny krąg parujących rur.

Kolana prawie ugięły się pod chłopakiem od wysiłku walki ze strasznym przeciwnikiem. Zebrał siły i ostrożnie spojrzął zza krawędzi w dół. Nie zobaczył jednak ani śladu Vadera. Wyłączył miecz, powiesił go u pasa i opuścił się do szybu.

Opadł na dno i stwierdził, że jest w dużym pomieszczeniu kontrolnym wychodzącym na reaktor zasilający całe miasto. Rozglądając się wokół, zauważył duże okno, na jego tle stała nieruchoma postać Dartha Vadera.

Luke ruszył powoli w kierunku okna i włączył miecz świetlny.

Lecz Vader ani nie zapalił miecza, ani nie próbował się bronić, kiedy podszedł bliżej. Jediną bronią Czarnego Lorda był teraz jego kuszący głos.

— Zaatakuj — drażnił młodego Jedi. — Zniszcz mnie.

Zdezorientowany jego zachowaniem, Luke zawahał się.

— Jedyne mszcząc się, możesz się uratować... Chłopak stał jak skamieniały. Czy powinien posłuchać Vadera i użyć Mocy jako narzędzia zemsty? Czy może powinien teraz wycofać się z walki, mając nadzieję na jeszcze jedną okazję, kiedy osiągnie większy stopień kontroli?

Nie, jak mógłby opóźnić możliwość zniszczenia tej złej istoty? Teraz miał szansę i nie wolno mu odwlekać...

Może już nigdy nie będzie miał takiej okazji!

Chwycił swój miecz świetlny rękami, mocno ściskając gładką rękojeść jak starożytny miecz dwusieczny i uniósł go do ciosu, który zabije tę potworność w masce.

Ale zanim się zamachnął, od ściany za nim oddzielił się duży kawał maszyny i runął na niego. Odwrócił się błyskawicznie i przeciął go mieczem na pół. Dwa spore kawałki rozbiły się na podłodze.

Na chłopaka ruszył drugi kawał maszyny i ponownie użył Mocy, aby odchylić jego tor. Ciężki obiekt odskoczył, jakby uderzył w niewidzialną osłonę. A potem nadleciał ku niemu wirujący kawał rury. Lecz w momencie, gdy odbił ten ogromny przedmiot, posypały się na niego ze wszystkich kierunków narzędzia i Tcawałki urządzeń. A potem zaatakowały go skręcające się, iskrzące i strzelające przewody, które wyszły ze ścian.

Bombardowany ze wszystkich stron, z całych sił opierał się atakowi, ale zaczynał już krwawić i był coraz bardziej potłuczony.

Jeszcze jeden fragment jakiegoś urządzenia odbił się o Luke'a i rozbił okno, wpuszczając do środka wyjący wiatr. Nagle wszystko w pomieszczeniu znalazło się w powietrzu miotane wichurą, która siekła chłopaka i wypełniła pomieszczenie upiornym wyciem.

A w samym środku stał nieruchomy, tryumfujący Darth Vader.

— Jesteś pokonany — Czarny Lord Sith napawał się widokiem. — Opór jest bezcelowy. Przystaniesz do mnie albo połączysz się z Obi-wanem w śmierci!

Kiedy mówił te słowa, ostatni kawał ciężkiego urządzenia wznosił się w powietrze, uderzył młodego Jedi i wypchnął go przez wybite okno. Wszystko zlało się w jedną smugę, gdy wiatr niósł go rzucając i obracając nim, aż w końcu udało mu się chwycić jedną ręką jakiegoś wspornika.

Kiedy wiatr nieco osłabł i odzyskał jasność widzenia, zdał sobie sprawę, że wisi na pomoście wychodzącym z wewnętrznej ściany szybu reaktora na zewnątrz rozdzielni. Pod nim ziała bezdenne przepaść. Ogarnęła go fala mdłości. Zacisnął powieki, aby nie ulec panice.

W porównaniu z podobnym do kokonu reaktorem, o który się zaczepił, Luke był tylko plamką wijącej się materii, a sam kokon — jeden z wielu wystających z okrągłej, upstrzonej światłami ściany wewnętrznej — był tylko plamką w porównaniu z resztą olbrzymiej komory.

Chwycił mocno belkę jedną ręką, drugą udało mu się zawiesić miecz u pasa, a następnie złapał się belki obiema rękami. Wciągnął się na pomost i stanął na nogi akurat w chwili, gdy Vader ruszył galeryjką w jego kierunku.

Kiedy zbliżał się do chłopaka, w sklepionych pomieszczeniach zadudnił echem system nagłośnienia:

— Uciekinierzy kierują się do Platformy 327. Zabezpieczyć wszystkie pojazdy. Alarm dla wszystkich sił porządkowych. Zmierzając w kierunku Luke'a, Vader rzekł:

— Twoi przyjaciele nie uciekną, tak jak i ty. Postąpił jeszcze krok i młody Jedi błyskawicznie uniósł miecz, gotów do podjęcia walki.

— Jesteś pokonany — stwierdził Czarny Lord z przerażającą pewnością i nieodwołalnością w głosie.

— Opór jest bezcelowy.

Jednak Luke nie słuchał. Zrobił wypad i z wściekłością spuścił warcząca laserową klingę na pancerz przeciwnika, sięgając ciała. Vader zachwiał się pod tym ciosem, a Luke'owi wydało się, że odczuł ból. Ale tylko przez chwilę. Wróg znów ruszył w jego kierunku.

Przy następnym kroku Czarny Lord przestrzegł:

— Nie daj się zniszczyć jak Obi-wan.

Luke oddychał ciężko. Z czoła skapywał mu zimny pot. Na dźwięk imienia Bena podjął nagle decyzję.

— Spokój... — napomniał się. — Bądź spokojny.

Ale po wąskim pomoście kroczyło ku niemu o-dziane w czerń widmo i wydawało się, że chciało zniszczyć życie młodego Jedi, albo, co gorsza, jego kruchą duszę.

Lando, Leia, Chewbacca i roboty pędzili korytarzem. Wypadli zza rogu i zobaczyli, że wrota platformy lądowiska są otwarte. Dostrzegli przez nie czekającego na nich „Sokoła Millenium”. Nagle brama zatrzasnęła się. Kryjący się w zagłębieniu ściany uciekinierzy, zobaczyli atakujący ich oddział szturmowców strzelających w biegu z broni laserowej. Kawały ścian rozpryskiwały się i wlatywały w powietrze, rozsadzane biegnącymi we wszystkich kierunkach promieniami energii.

Chewbacca warknął i odpowiedział na ogień żołnierzy z charakterystyczną dla swej rasy wściekłością. Oslaniał Leię rozpaczliwie walącą w płytkę kontroli wrót. Ani drgnęły.

— Erdwa! — zawołał Trzypeo. — Płytką kontrolna. Potrafisz złamać system alarmowy.

Złocisty android machnął ręką w kierunku płytki, popędzając tym gestem małego robota, po czym wskazał mu gniazdo komputera na płycie rozdzielczej.

Erdwa Dedwa potoczył się w kierunku płytki gwiżdżąc i piszcząc.

Wykręcając się na wszystkie strony, aby uniknąć trafienia promieniem lasera, Lando gorączkowo usiłował podłączyć swój mikrofon do gniazda interkomu.

— Tu Calrissian — nadał. — Imperium przejmuje kontrolę nad miastem. Radzę wszystkim się wynieść zanim przybędzie więcej wojska.

Wyłączył nadajnik. Wiedział, że zrobił, co mógł, aby ostrzec swoich ludzi; jego zadaniem było teraz bezpiecznie wydostać z planety nowych przyjaciół.

Tymczasem Erdwa usunął klapkę łącza i wsunął komputerowy wysięgnik do czekającego gniazda. Wydał krótki gwizd, który nagle przerodził się w ro-boci wrzask. Zaczął drzeć, obwody mu zapłonęły szaloną mozaiką błysków, a z każdego otworu w jego kadłubie zaczęły wydobywać się dym. Lando szybko odciągnął go od gniazda zasilania. Stygnąc, robot wydał kilka słabych pisków pod adresem Trzypeo.

— Następnym razem sam lepiej uważaj — odparł złoisty robot. — Nie do mnie należy odróżnianie gniazd zasilania od wejść komputera. Jestem tłumaczem...

— Czy ktoś ma jakieś pomysły? — wrzasnęła Leia nie przerywając ognia.

— Chodźcie — odpowiedział Lando przekrzykując hałas walki. — Spróbujemy innej drogi.

Wiatr wyjący w szybie reaktora całkowicie pochłaniał trzask uderzających o siebie mieczy świetlnych.

Luke przemknął po galerijce i schronił się przed ścigającym go wrogiem pod ogromnym blatem rozdzielczym. Lecz Vader znalazł się tam w jednej chwili, spuszczać miecz jak pulsujące ostrze gilotyny na instrumenty kontrolne i odcinając je od podłoża. Zestaw zaczął spadać, ale porwał go nagle wiatr i uniósł w górę.

Moment nieuwagi wystarczył Vaderowi. Luke mimowolnie spojrział na ulatujący blat, W tej sekundzie klinga Czarnego Lorda spadła na rękę chłopaka, przecięła ją i daleko odrzuciła jego miecz.

Ból był rozdzierający. Poczuł okropny swąd własnego spalonego ciała i wcisnął przedramię pod pachę, aby złagodzić potworny ból. Cofnął się wzdłuż galerijki aż doszedł do samego jej końca, cały czas ustępując przed czarno odzianym widmem.

Nagle wiatr ucichł, stwarzając niesamowite wrażenie, i Luke zdał sobie sprawę, że nie ma już dokąd się cofnąć.

*

— Nie masz odwrotu — ostrzegł Czarny Lord Sith, górując nad młodym Rycerzem Jedi, jak czarny anioł śmierci. — Nie zmuszaj mnie, abym cię zniszczył. Jesteś silny Mocą. Teraz musisz nauczyć się posługiwać jej ciemną stroną. Przyłącz się do mnie, a razem będziemy potężniejsi od Imperatora. Dokończę twego szkolenia i wspólnie będziemy rządzić Galaktyką.

Luke nie uległ namowom Vadera.

— Nigdy się do ciebie nie przyłączę!

— Gdybyś tylko znał siłę ciemnej strony — ciągnął Czarny Lord. — Obi-wan nigdy ci nie powiedział, co się stało z twoim ojcem, prawda?

Wzmianka o ojcu wzbudziła gniew chłopca.

— Powiedział mi wystarczająco, dużo! — krzyknął. — Powiedział mi, że go zabiłeś.

— Nie— odpowiedział spokojnie Vader. — Ja jestem twoim ojcem.

Oszołomiony Luke wpatrywał się z niedowierzaniem w czarno odzianego wojownika. Po chwili otrząsnął się z wrażenia. Ojciec i syn stali wpatrzeni w siebie.

— Nie, nie! To nieprawda... — Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. — To niemożliwe...

— Zawierz swym uczuciom — powiedział Vader, jakby był przepelnioną złem wersją Yody. — Uwierz, że to prawda.

Po czym zgasił klingę miecza i wyciągnął spokojną, zapraszającą dłoń.

Zdezorientowany i przerażony tymi słowami, Luke krzyknął:

— Nie! Nie!

Vader ciągnął z przekonaniem:

— Możesz zniszczyć Imperatora. On to przewidział. To twoje przeznaczenie. Przyłącz się do mnie, a będziemy wspólnie rządzić Galaktyką — ojciec i syn. Chodź ze mną. To jedyne wyjście.

Umysł Luke'a zawirował. Wszystko zaczynało w końcu pasować. A może jednak nie? Zastanawiał się, czy Vader mówi prawdę — czy szkolenie Yody, nauki szacownego starego Bena, jego własne dążenie ku dobru i wstręt do zła, czy wszystko, o co on walczył, jest jedynie kłamstwem.

Nie chciał uwierzyć swemu przeciwnikowi, usiłował przekonać sam siebie, że on kłamie, ale czuł prawdę w słowach Czarnego Lorda. Ale jeśli Darth Vader naprawdę mówił prawdę, to dlaczego Ben Kenobi go okłamał? Dlaczego? W głowie miał większy zamęt, niż gdyby szarpał nim jakikolwiek wiatr, który mógłby wezwać przeciwko niemu Czarny Lord.

Wydawało się, że odpowiedzi nie mają już znaczenia.

Jego ojciec.

Ze spokojem, którego nauczył go sam Ben i Mistrz Jedi Yoda, Luke Skywalker podjął decyzję, która może była jego ostatnią.

— Nigdy — krzyknął, dając krok w przepaść pod spodem. Jeśli chodzi o jej niezmierną głębokość, mógł spadać do innej Galaktyki.

Darth Vader podszedł na koniec pomostu i patrzył na koziołkującego chłopaka. Zaczął wiać silny wiatr wydymając czarny płaszcz Vadera.

Ranny Skywalker leciał w dół. Rozpaczliwie wyciągnął rękę, aby się czegoś chwycić i zatrzymać spadanie.

Czarny Lord obserwował, jak szeroka rura wentylacyjna w ścianie szybu reaktora wsysa chłopaka. Kiedy Luke zniknął — odwrócił się i szybko opuścił pomost.

Luke spadał szybem wentylacyjnym usiłując zahamować upadek wyciągniętymi rękami. Ale gładkie, błyszczące ścianki rury nie miały żadnych uchwytów czy zagłębień, w które mógłby się wczepić.

W końcu dotarł do końca tunelu. Stopami uderzył o kolistą kratkę. Kratka, która wychodziła na najwyraźniej bezdenną otchłań, ustąpiła przed rozpędzonym ciałem. Poczuł, że

zaczyna wysuwać się z otworu. Gorączkowo chwytając się gładkiego wnętrza rury, zaczął wołać o pomoc.

— Ben... Ben, pomóż mi — błagał rozpaczliwie. W tym samym momencie poczuł, jak palce obsuwają mu się po wewnętrznej ścianie rury, a on sam coraz bardziej zbliża się do zięjącego otworu.

W Mieście Chmur panował chaos.

Kiedy tylko w całym mieście dało się słyszeć wezwanie Lando Calrissiana, mieszkańcy wpadli w panikę. Niektórzy spakowali nieco rzeczy, inni wypadli na ulicę szukając ucieczki. Wkrótce miasto wypełniło się biegającymi na oślep ludźmi i obcymi. Szturmowcy Imperium atakowali uciekających mieszkańców, odpowiadając ogniem laserowym na ich ogień we wścieklej, hałaśliwej walce.

W jednym z głównych korytarzy miasta Lando, Leia i Chewbacca powstrzymywali oddział szturmowców potężnymi strumieniami energii. Utrzymanie tej pozycji było sprawą zasadniczą, ponieważ Lando i reszta dotarli do innego wejścia prowadzącego na platformę lądowiska. Gdyby tylko Erdwa udało się otworzyć drzwi.

Robot próbował usunąć klapkę z płytki kontrolnej. Lecz z powodu hałasu i laserowych wybuchów wokół trudno mu było skoncentrować się na swym zadaniu. Popiskiwał do siebie sprawiając na Trzypeo wrażenie trochę zamroczonego.

— O czym ty mówisz? — zawołał do niego złocisty android. — Nie interesuje nas hipernapęd „Sokoła Millenium”. Jest naprawiony. Każ tylko komputerowi otworzyć drzwi.

Kiedy Lando, Leia i Chewbacca przesunęli się w kierunku drzwi, kryjąc się przed silnym ogniem imperialnych laserów, Erdwa zagwizdał tryumfalnie i drzwi odskoczyły.

— Udało ci się! — wykrzyknął Trzypeo. Robot zakłaskałby, gdyby jego druga ręka znajdowała się na właściwym miejscu. — Nie wątpię w ciebie ani sekundę.

— Pośpieszcie się — krzyknął zarządca — bo nigdy się nam nie uda.

Pożyteczna jednostka R2 zadziałała jeszcze raz. Kiedy inni rzucili się do wejścia, krępy robot rozpylił gęstą mgłę — tak gęstą, jak chmury otaczające ten świat — która skryła jego przyjaciół przed atakującymi ich szturmowcami. Zanim mgła rozrzedziła się, Lando i reszta już pędzili do Platformy 327.

Szturmowcy ruszyli za nimi strzelając bez ustanku. Chewbacca i roboty wpadli na pokład „Sokoła Millenium”, podczas gdy Lando i Leia osłaniali ich, kosząc jeszcze kilku żołnierzy Imperium.

Kiedy niski pomruk silników „Sokoła” wzniósł się do rozdzierającego uszy wycia, Lando i Leia wystrzelili kilka oślepiających ładunków i rzucili się sprintem po pochylni. Wpadli do pirackiego statku, a główny luk zatrzasnął się za nimi. Kiedy frachtowiec ruszył z miejsca, usłyszeli taki trzask

ognia laserowego, jakby cała planeta rozpadała się od środka.

Luke już nie mógł opóźniać nieubłaganego ześlizgu rurą wentylacyjną. Obsunął się ostatnie kilka centymetrów, po czym wirując zaczął spadać przez chmury, usiłując natrafić rękami na coś dającego oparcie.

Po upływie chyba wieczności chwycił się elektronicznego wiatromierza wystającego z przypominającego misę dolnej części Miasta Chmur. Miotał nim wiatr, wokół kłębiły się chmury, ale on mocno trzymał się tego urządzenia. Jednak siły zaczęły go opuszczać; nie sądził, aby długo mógł tak wytrzymać wisząc nad gazową powierzchnią planety.

W sterowni „Sokoła Millenium” panowała głęboka cisza.

Leia właśnie odzyskiwała oddech siedząc w fotelu Hana Solo. Myśli o nim tłoczyły jej się w głowie, ale próbowała nie martwić się o niego, próbowała za nim nie tęsknić.

Za księżniczką stał w milczeniu wyczerpany Lando Calrissian, patrząc ponad jej ramieniem w przednie okno.

Statek ruszył i lecąc nad lądowiskiem nabierał szybkości.

Ogromny Wookie siedzący w swoim starym fotelu drugiego pilota włączył szereg przycisków, które rozświetliły główną konsolę rozdzielczą statku migającymi lampkami. Chewbacca pociągnął dźwignię i zaczął wyprowadzać statek w górę, ku wolności.

Chmury przemykały za oknami sterowni i wszyscy w końcu odetchnęli z ulgą, gdy „Sokół Millenium” wzbił się w czerwonopomarańczowe zmierzchające niebo.

Luke'owi udało się zaczepić jedną nogę o elektroniczny wiatromierz, na którym ciągle wisiał. Ale powietrze z rury wentylacyjnej wypadało wprost na niego, utrudniając mu utrzymanie się na wiatromierzu.

— Ben... — jęknął w strasznym bólu. — ...Ben.

Darth Vader wkroczył na puste lądowisko i patrzył na znikającą w oddali plamkę „Sokoła Millenium”.

Zwrócił się do dwóch adiutantów. — Sprowadzić mój strateid — rozkazał. Po czym odszedł powiewając czarnym płaszczem, aby przygotować się do podróży.

Gdzieś w pobliżu wspornika Miasta Chmur Luke przemówił znowu. Skupiając umysł na osobie, o której myślał, że jest jej bliski i która mogłaby mu jakoś pomóc, zawołał:

— Leia, usłysz mnie. — Jeszcze raz wykrzyknął żałośnie — Leia?

W tym momencie odłupał się duży kawał wiatromierza i spadł w chmury poniżej. Luke wzmocnił uchwyt na resztkach urządzenia i wytrzymał siły, aby utrzymać się wbrew uderzeniom powietrza wypływającego z rury nad nim.

— To wygląda jak trzy myśliwce — powiedział Lando do Chewiego, patrząc na obrazy pokazywane przez komputer. — Możemy im łatwo uciec — dodał znając możliwości frachtowca równie dobrze jak Hań Solo.

Spojrzał na Leię i z żalem wspomniął koniec swego administrowania. — Wiedziałem, że to zbyt piękne, aby miało trwać długo — wyjęczał. — Będzie mi tego brakować.

Lecz wydawało się, że księżniczka jest oszołomiona. Nie zwróciła uwagi na słowa Lando, ale patrzyła prosto przed siebie jak sparaliżowana. A potem odezwała się jak w transie:

— Luke? — jakby odpowiadając na coś, co usłyszała.

— Co? — spytał Lando.

— Musimy wrócić — powiedziała nagle. — Che-wie, skieruj w dół miasta. Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Chwileczkę. Wcale tam nie wracamy! Tym razem Chewie szczerknął popierając Lando.

— Bez dyskusji — rzekła Leia stanowczo przyjmując postawę osoby przyzwyczajonej do posłuchu. — Wykonaj. To rozkaz!

— A co z tymi myśliwcami? — upierał się Calrissian wskazując na trzy zbliżające się statki TIE. Poszukał wzrokiem wsparcia u Wookiego.

Ale Chewie dał znać groźnym pomrukiem, że wie, kto tu teraz rozkazuje.

— Dobrze już, dobrze — zgodził się cicho mężczyzna.

Z całym wdziękiem i szybkością, z której słynął, „Sokół Millenium” położył się w skręt przez chmury i zawrócił w kierunku miasta. A kiedy leciał kursem, który mógł okazać się samobójczy, trzy ścigające go myśliwce powtórzyły jego manewr.

Luke nie zdawał sobie sprawy ze zbliżania się frachtowca. Prawie nieprzytomny, utrzymywał się jakoś na trzęsącym i chwiejącym się wiatromierzu. Urządzenie w końcu zgięło się pod jego ciężarem, a potem kompletnie odłamało się i runął bezwolnie w dół. Wiedział, że tym razem nie będzie już niczego, za co mógłby się chwycić.

— Patrzcie! — wykrzyknął Lando wskazując spadającą w oddali postać. — Ktoś spada...

Lei udało się zachować spokój; wiedziała, że panika zgubi ich wszystkich.

— Podejdz pod niego, Chewie — powiedziała do pilota. — To Luke.

Chewbacca zareagował natychmiast i ostrożnie wprowadził „Sokoła Millenium” na trajektorię schodzenia.

— Lando — zawołała — otwórz luk.

Wybiegając ze sterowni Lando pomyślał, że jest to strategia godna samego Solo.

Chewbacca i Leia lepiej widzieli spadającego Luke'a i Wookie poprowadził statek w jego kierunku. Kiedy Chewie gwałtownie wytracił prędkość, rozpędzone ciało otarło się o przednią szybę i wylądowało z głuchym stuknięciem na kadłubie.

Lando otworzył górny luk. Daleko widział trzy myśliwce TIE zbliżające się do „Sokoła”, ich działka laserowe rozświetlały wieczorne niebo smugami pałającej destrukcji. Wychylił się z luku, chwycił zmaltretowanego rycerza i wciągnął go do środka. Właśnie w tej chwili frachtowiec zachwiał się od bliskiego wybuchu, co prawie wyrzuciło Luke'a za burtę. Jednak Lando złapał go mocno za rękę.

„Sokół Millennium” zaczął po łuku odchodzić od Miasta Chmur i wzbiał się nad grubą warstwę chmur. Księżniczka i Wookie walczyli o utrzymanie statku w powietrzu, klucząc między oślepiającymi salwami ognia myśliwców, wybuchającymi ze wszystkich stron. Hałas kanonady walczył o lepsze z wyciem Chewiego, który gorączkowo operował urządzeniami sterującymi.

Leia włączyła interkom. — Lando, czy nic mu nie jest? — starała się przekrzyczeć hałas panujący w sterowni. — Lando, słyszysz mnie?

Z tyłu kabiny dobiegł ją głos, który nie był głosem Calrissiana.

— Wyjdzie z tego — odpowiedział słabo Luke.

Leia i Chewbacca odwrócili się i zobaczyli, jak Lando podtrzymuje zmaltretowanego, skrwawionego, owiniętego kocem Luke'a. Księżniczka poderwała się z fotela i objęła chłopaka w uniesieniu. Chewbacca zajęty wyprowadzeniem statku z zasięgu ognia myśliwców odrzucił głowę i zaszczeakał radośnie.

Planeta Chmur znikwała w oddali za „Sokołem Millennium”. Jednak maszyny Imperium kontynuowały zawzięty pościg, strzelając z działek laserowych, a piracki statek drżał za każdym trafieniem.

Erdwa Dedwa pilnie pracował w ładowni, starając się mimo ciągłych przechyłów i wstrząsów złożyć swego złocistego przyjaciela. Mały robot gwizdał przy skomplikowanym zadaniu naprawienia niezamierzonych błędów Wookiego.

— Bardzo dobrze — pochwalił robot protokolarny. Głowę miał już zamontowaną prawidłowo, a jego druga ręka była prawie całkowicie przyłączona. — Jak nowy.

Erdwa gwizdnał z niepokojem.

— Nie, Erdwa, nie martw się. Jestem pewny, że tym razem się uda.

Ale w sterowni Lando nie był nastawiony tak optymistycznie. Zobaczył, że zaczynają mrugać światelka ostrzegawcze na płycie rozdzielczej; nagle włączyły się syreny alarmowe w całym statku.

— Tracimy osłony — poinformował Leię i Chew-baccę.

Księżniczka spojrzała ponad ramieniem Calrissiana i zauważyła jeszcze jeden punkt, złowrogo duży, który pojawił się na ekranie radaru. — Jeszcze jeden statek, o wiele większy, próbuje nas odciąć — powiedziała.

Luke spokojnie popatrzył przez okno na rozgwieżdżoną próżnię. Powiedział prawie do siebie: — To Vader.

Admirał Piett podszedł do Vadera, który stał na mostku tego największego ze wszystkich gwiazdnych niszczycieli Imperium i spoglądał w przestrzeń.

— Za chwilę wejda w zasięg promienia przyciągającego — zameldował admirał z pewnością siebie.

— Czy ich hipernapęd został wyłączony? — spytał Vader.

— Jak tylko ich schwytano, sir.

— Dobrze — odparła ogromna postać w czerni. —

Przygotować się do wejścia na pokład i ustawić broń na ogłuszanie.

Jak dotąd „Sokołowi Millenium” udało się wymknąć pościgowi myśliwców. Ale czy mógł uciec przed atakiem złowieszczego gwiazdowego niszczyciela, który zbliżał się do niego coraz bardziej?

— Nie mamy żadnego marginesu błędu — rzekła Leia z napięciem w głosie, wpatrując się w duży punkt na monitorach.

— Jeśli moi ludzie powiedzieli, że naprawili, to naprawili — zapewnił ją Lando. — Nie mamy się co martwić.

— Jakbym już to gdzieś słyszała — stwierdziła w zadumie.

Statek znowu zachwiał się od wybuchu, ale w tej samej chwili na płycie rozdzielczej zaczęło migać zielone światełko.

— Współrzędne są obliczone, Chewie — odezwała się Leia. — Teraz albo nigdy.

Wookie zgodził się szczenięciem. Był gotów do ucieczki w nadprzestrzeń.

— Wal! — krzyknął Lando.

Chewbacca wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że warto spróbować. Pociągnął do siebie przepustnicę prędkości światła, zmieniając nagle dźwięk, jaki wydawały silniki jonowe. Wszyscy na pokładzie modlili się po ludzku i po robociemu, aby układ zadziałał; nie było innej nadziei na ucieczkę. Lecz nagle silniki zakrzuszyły się i zamarły, a Chewbacca wydał ryk zawodu i rozpaczy.

Po raz kolejny układ hipernapędu zawiódł.

„Sokół Millenium” chwiał się pod ogniem myśliwców TIE.

Darth Vader był zafascynowany. Obserwował ze swego niszczyciela, jak myśliwce nieubłaganie rażą ogniem „Sokoła Millenium”. Statek Imperium doganiał uciekający frachtowiec — już niedługo Skywalker znajdzie się całkowicie w rękach Czarnego Lorda.

Luke też to wyczuł. Spokojnie patrzył przez okno, wiedząc, że Vader jest w pobliżu, że wkrótce odniesie pełne zwycięstwo nad osłabionym Jedi. Był ranny, wyczerpany; w głębi ducha był gotów poddać się losowi. Nie istniał już najmniejszy powód walki — nie było już nic, w co mógłby wierzyć.

— Ben — szepnął w czarnej rozpaczy — dlaczego mi nie powiedziałaś?

Lando usiłował wyregulować jakieś wskaźniki, a Chewbacca wyskoczył z fotela i popędził do ładowni. Leia zajęła jego miejsce i pomogła pilotować „Sokoła” przez wybuchające pociski.

Wbiegając do ładowni, Chewbacca minął Erdwa ciągle pracującego nad zmontowaniem Trzypeo. Jednostka R2 zaczęła pogwizdywać z niepokojem zarejestrowawszy gorączkowe wysiłki Wookiego przy naprawie układu hipernapędu.

— Mówiłem, że jesteśmy zgubieni! — odezwał się spanikowany Trzypeo. — Silniki prędkości świetlnej znowu nie działają.

Erdwa pisnął przymocowując mu nogę.

— Skąd miałbyś wiedzieć, co nie działa? — powiedział z drwiną w głosie złoisty robot.

— Auuu! Uważaj, stopa! I przestań tak trajkotać. W ładowni rozległ się głos Lando z interkomu.

— Chewie, sprawdź regulację dewiacji wtórnej.

Chewbacca zeskoczył do szybu. Przy pomocy ogromnego klucza walczył z jedną z płyt ściennych, która nie chciała ustąpić. Rycząc ze złości chwycił klucz jak maczugę i uderzył w płytę z całej siły.

Nagle płyta rozdzielcza w sterowni obsypała Lando i księżniczkę deszczem iskier. Podskoczyli w fotelach, ale wydawało się, że Luke nie zauważył niczego, co się dzieje wokół. Zniechęcony i zbolały zwiesił głowę.

— Nie potrafię mu się przeciwstawić — mruknął cicho.

Lando znowu przechylił „Sokoła Millennium” usiłując zgubić pościg. Mimo to odległość między frachtowcem i myśliwcami zmniejszała się z każdą chwilą.

W ładowni „Sokoła” Erdwa potoczył się do płyty rozdzielczej, zostawiając oburzonego i gniewnie bełkoczącego Trzypeo na jednej nodze. Mały robot szybko i polegając tylko na mechanicznym instynkcie zmienił program bloku obwodów. Światła migają jasno przy każdej regulacji i nagle przez statek poniósł się nowy, potężny ryk z głębi silników hipernapędu „Sokoła”.

Frachtowiec przechylił się gwałtownie, a gwizdzący robot R2 potoczył się po podłodze do szybu i wylądował na zaskoczonym Wookieem.

Lando, który stał obok pulpitu sterującego, poleciał aż na tylną ścianę sterowni. Ale padając ujrzał, jak gwiazdy na zewnątrz zmieniają się w oślepiające, nieskończone smugi światła.

— Udało się! — wrzasnął tryumfalnie.

„Sokół Millennium” wszedł zwycięsko w nadprzestrzeń.

Darth Vader stał w milczeniu. Patrzył w czarną pustkę, gdzie przed chwilą znajdował się „Sokół Millennium”. Jego głębokie, ponure milczenie poraziło strachem dwu ludzi stojących obok. Admirał Piett i kapitan czekali i, czując lodowate fale strachu, zastanawiali się, kiedy poczują na gardle niewidzialne, zaciskające się szpony.

Ale Czarny Lord nie poruszył się. Stał w zamyśleniu; ręce skrzyżował za plecami. A potem odwrócił się i zszedł powoli z mostku, powiewając czarnym płaszczem.

XIV

Statek piracki „Sokół Millenium” nareszcie stał bezpiecznie w doku ogromnego krążownika Rebelian-tów. Odległa, duża gwiazda promieniowała wspaniałym czerwonym światłem, zalewając blaskiem poobijany kadłub małego frachtowca.

Luke Skywalker odpoczywał w centrum medycznym gwiazdowego krążownika Rebelii, gdzie zajmował się nim robot chirurgiczny 2-1 B. Chłopak siedział spokojnie, pograżony w rozmyślaniach, a 2-1B zaczął delikatnie badać jego rękę.

Spojrząwszy w górę, Luke zobaczył Leię, Če Trzy-peo i Erdwa Dedwa. Przyjaciele przyszli do centrum medycznego dowiedzieć się o jego zdrowie i trochę go pocieszyć. Lecz młody mężczyzna wiedział, że najlepszym lekarstwem, jakie jak dotąd zaaplikowano mu na pokładzie krążownika, jest promieniująca postać stojąca przed nim.

Księżniczka uśmiechała się. Oczy miała szeroko otwarte i błyszczące wspaniałym blaskiem. Wyglądała dokładnie tak, jak wtedy, kiedy zobaczył ją pierwszy raz — wydawało się, że całe wieki temu — gdy Erdwa Dedwa wyświetlił jej holograficzny obraz. A w długiej do ziemi wysoko zapiętej pod szyją śnieżnobiałej szacie wyglądała anielsko.

Luke podniósł rękę i poddał się fachowym zabiegom 2-1B. Robot chirurgiczny zbadał elektroniczną protezę dłoni wszczepioną do ramienia chłopca. Następnie owinał dłoń miękkim metalizowanym paskiem i podłączył do niego małe urządzenie elektroniczne, lekko go napinając. Luke zwinął nową dłoń w pięść i poczuł uzdrawiające pulsowanie generowane przez aparacik robota. Po chwili rozluźnił mięśnie dłoni i ramienia.

Leia i dwa roboty przysunęli się do młodego komandora, a z głośnika interkomu dobiegł jednocześnie głos: — Luke, jesteśmy gotowi do startu.

Lando Calrissian siedział w fotelu pilota „Sokoła Millenium”. Brakowało mu przedtem starego frachtowca, ale teraz, kiedy znowu był jego kapitanem, czuł się dość nieswojo. Ogromny Wookie w fotelu drugiego pilota zauważył skrępowanie swego nowego kapitana. Zaczął pstrykać przełącznikami przygotowując statek do startu.

Z głośnika komunikatora Lando dał się słyszeć głos Luke'a:

— Spotkamy się na Tatoonie.

Calrissian znowu odezwał się do swego mikrofonu, ale tym razem mówił do księżniczki głosem pełnym emocji:

— Nie martw się, Leia. Znajdziemy Hana. Wychylając się ze swego fotela, Chewbacca szczerknął na pożegnanie do mikrofonu — szczerknięcie to mogło przekroczyć granice czasu i przestrzeni i zostać usłyszane przez Hana Solo, gdziekolwiek by go łowca nagród zabrał.

Ostatnie słowa należały do Luke'a, choć nie chciał się pożegnać.

— Trzymajcie się — powiedział z nową dojrzałością w głosie. — Niech Moc będzie z wami.

Leia stała przy wielkim okrągłym oknie gwiazdnego krążownika Rebelii. Jej szczupła biała postać wydawała się jeszcze mniejsza na tle ogromnego firmamentu usianego gwiazdami i dryfującymi statkami floty. Patrzyła na majestatyczną czerwoną gwiazdę, która płonęła w nieskończonym oceanie czerni.

Luke, mając za sobą Trzypeo i Erdwa, stanął obok niej. Rozumiał jej uczucia, bo sam wiedział, jak straszna może być taka strata.

Stojąc obok siebie, patrzyli w przyjazne niebo. „Sokół Millenium” wszedł w ich pole widzenia, a potem wzbił się w górę i z wielką godnością Dołożył się na kurs przez środek rebelianckiej floty. Wkrótce zostawił ją za rufą.

Nie potrzebowali słów. Luke wiedział, że umysł i serce Lei jest z Hanem, bez względu na to, gdzie się znajduje albo jaki go czeka los. Co do swego własnego przeznaczenia, to był go teraz tak niepewny, jak nigdy w życiu — nawet bardziej niepewny niż w czasach zanim jako prosty chłopak z farmy w odległym świecie po raz pierwszy usłyszał o tym nieuchwytnym czymś zwanym Mocą. Wiedział tylko, że musi wrócić do Yody i zakończyć naukę zanim wyruszy na ratunek Hanowi.

Powoli objął Leię ramieniem i razem z Trzypeo i Erdwa z odwagą popatrzył na niebo. Każde z nich wpatrywało się w tę samą szkarłatną planetę.